

TATERNIK

NR 3/2001 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU



<http://pza.org.pl>

Temperament polemiczny jest osobista rzecz autorów, ale jak długo nie wyrządza szkody zasadniczemu sprawom taternictwa i alpinizmu polskiego. Tymczasem artykuły (-) pełne podejrzeń, niesłusznych zarzutów i insynuacji, mogą jedynie wywołać zamęt w poglądach szerokich sfer na turystykę wysokogórską (-). Zaciętrzewienie regionalne, brak obiektywizmu i pomieszanie spraw osobistych z ideowymi zawsze wywierało wpływ szczególnie niekorzystny na tok naszych prac i zamierzeń. (-) Apelujemy zatem raz jeszcze do każdego taternika bez względu na to, czy jest członkiem klubu czy też niestowarzyszonym, o umiar, powściągliwość i przede wszystkim rzeczowość. I wierzymy, że apelu tego nie trzeba już będzie powtarzać.

TATERNIK, styczeń 1936



Od redakcji

Rozwinięty u nas nad podziw rynek czasopism górskich i tematycznych serwisów internetowych pozwala na szybki przepływ informacji. „Taternik”, jako kwartalnik, nie ma w tej konkurencji szans i niekoniecznie musi się ścigać. Jednakże rolę, której z pewnością nikt z naszego pisma nie zdejmie, jest rzetelne dokumentowanie działalności sportowej i organizacyjnej oraz publikowanie materiałów szkoleniowych. Właśnie dlatego zdecydowałem się na prezentację obszernego i bardzo starannie przygotowanego opracowania dotyczącego polskiej obecności w rejonie Tsaranoro na Madagaskarze. Ubiegłoroczna eskapada w ten mało dotąd znany masyw pozwoliła zaznaczyć naszą obecność wśród najlepszych.

Niektórych czytelników może też zaskoczyć wprowadzenie na łamy „Taternika” tematyki narciarstwa wysokogórskiego. Dlaczego? Wyjaśnia to tekst Jacka Mierzejewskiego, ale przypomnę, że temat ten nikogo przed laty w „Taterniku” nie dziwił, a o wyprawach, które dzisiaj określiłibyśmy jako ski-alpinistyczne, pisał np. Walery Goetel w artykule „Na nartach w Wysokie Tatry”.

Przewiduję, że głównym tematem dyskusji staną się jednak przedjazdowe artykuły Wojciecha Świąćickiego i Wacława Sonelskiego. Podsumowanie kadencji i rozpoczęcie dyskusji nad przyszłością związku to najważniejsze kwestie dla naszego środowiska. To także debata o przyszłości „Taternika”. Jeżeli pismo ma istnieć i odgrywać istotną rolę, musi funkcjonować na innych zasadach organizacyjnych i finansowych. To wszystko zależy od nowego Zarządu. Jeśli nasze zdania będą różne, następny numer przygotowuje już ktoś inny.

Zbigniew Piotrowicz



3

Wszystko w jednym
Wojciech Świącicki

5

Moje myśli
(przed) zjazdowe
Wacław Sonelski

8

Malgaski granit
Krew, pot, łzy i radocha
Michał Zieliński,
Waldemar Niemiec
Tomasz Samitowski

26

Polish Pilar w Pakistanie
Marcin Tomaszewski

27

Cho-Oyu' 2001
Pocztówki z wyprawy
Anna Czerwińska

30

Ciemność i błękit
Anne Sauvy

33

Galeria Gankowa

36

Z tatrzańskich szlaków

37

Archiwalia 1942-45
„Taternik” z Winterthur
zebrał Z. Piotrowicz

46

Jaskinie

55

Serwis prawie światowy

57

Hard Rock

58

W klubach

59

Listy do redakcji

61

Ucho skalne

63

Przegląd
okiem uczestnika
Jacek Mierzejewski

64

Barryvox
Piotr Jasiński

67

Dlaczego narciarstwo
wysokogórskie?
Jacek Mierzejewski

70

O szkoleniu
skałkowym słów kilka
Jakub Rozbicki

72

Pit Schubert
specjalnie dla „Taternika”

74

Nowa droga na
Mendenhall Towers
Ryszard Pawłowski

76

Przypadek
Doktora Weathersa
Anna Beutler

77

Pożegnania



Wszystko w jednym

Wojciech Świąćicki

Czas nie zwleka. Mijają właśnie trzy lata od ostatniego Walnego Zjazdu Delegatów. Mija też 15 rocznica mojej pracy w Zarządzie. W tym czasie wszystko zdążyło się na tym świecie zmienić: poczynając od formy ustrojowej naszego państwa, kończąc zaś na zupełnie niezwykłej sytuacji międzynarodowej. Zmiany nie ominęły też i PZA, oczywiście jeśli nie liczyć wiecznie młodej Hani Wiktorowskiej i równie odpornego na upływ czasu Andrzeja Sobolewskiego. Trochę wspominam, ale nie mogę oderwać swoich myśli od fotoplastykonu różnych twarzy i różnych zdarzeń. Piętnaście lat, to szmat czasu.... Szkocki poeta Robert Burns napisał: „*moje serce jest w górach*”, ja natomiast mogę pokusić się tylko o nieudolną trawestację (nie mylić z trawersowaniem) i powiedzieć, że moje serce jest w PZA. Ostatnią kadencję rozpoczęły i zakończyły dwa dość niespodziewane wydarzenia. Pierwszym była rezygnacja Prezesa PZA Leszka Cichego z pełnionej funkcji, drugim konsekwencje stanu finansów państwa wynikające z niesławnej *dziury budżetowej*. Tak zwany środek wypełniała rutynowa praca: zebrania Zarządu i posiedzenia Prezydium, spotkania, telefony, dużo pisaniny i długie godziny spędzone w podróży. Na szczęście miałem zaszczyt i przyjemność pracować w dobrym towarzystwie. Dziękuję w tym miejscu wszystkim Koleżankom i Kolegom z Zarządu PZA oraz działaczom z różnych większych i mniejszych komisji. Bez Was niewiele bym zdziałał!

Na ocenę mijającej kadencji pewnie jeszcze za wcześnie. Zwykle dopiero po paru latach widać, co było dobre, a co się całkiem nie udało. W swoim prywatnym rejestrze spraw organizacyjnych, które przynajmniej wedle mojej wiedzy na dzień dzisiejszy, uważam za istotne osiągnięcia Związku znalazły się: remont „Betlejemki”, zakończenie modernizacji sieci łączności radiowej w Tatrach, odrodzenie kwartalnika „Taternik”, upow-

szechnienie akcji „Junior”, rozpoczęcie programu powszechnej unifikacji, kontynuowanie osadzania stałych punktów asekuracyjnych, kontynuowanie akcji budowy sztucznych ścian wspinaczkowych w szkołach różnych szczebli, przeprowadzenie pierwszych prawdziwych badań antydropingowych, utworzenie sekcji narciarstwa wysokogórskiego oraz stworzenie we współpracy z T. U. COMPENSA oferty ubezpieczeniowej o nazwie *Assistance alpinistyczny*. Do ważnych wydarzeń zaliczam także podpisanie przez Prezesa Rady Ministrów rozporządzenia w sprawie uprawiania alpinizmu. Osiągnięciem w tym wypadku jest wynegocjowanie zapisów w brzmieniu sugerowanym przez PZA.

Rozporządzenie o którym mowa wynika z Ustawy o Kulturze Fizycznej i nie jest wymysłem biurokratów z PZA. Sprzeciw wobec projektu rozporządzenia wyartykułowało kilkanaście osób, po części nie zrzeszonych w żadnym z klubów należących do PZA. Większość dyskutantów w ogóle nie znała realiów prawnych, albo nie chciała przyjąć ich do wiadomości. Tryb i postępowanie nad tekstem rozporządzenia był znany Zarządowi oraz Komisji Rewizyjnej Związku i odbywał się przy pełnej akceptacji ze strony tych ciał. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że dla części wspinaczy (zwłaszcza tych spoza oficjalnych struktur) nie jest to wygodna regulacja prawna, ale taka była wola ustawodawcy. Natomiast dla PZA rozporządzenia oznacza bardzo poważny wzrost znaczenia Związku, gdyż staje się on organem administracji państwowej. Pozycja hegemonia w dziedzinie wszystkich dyscyplin alpinistycznych (wspinaczka sportowa, wspinaczka wysokogórska, taternictwo jaskiniowe i narciarstwo wysokogórskie) oznaczać będzie także sporo nowych obowiązków, których rozsądne rozdzielenie pomiędzy różne agendy Związku będzie jednym z pierwszych zadań dla nowego Zarządu PZA.

Skoro była mowa o osiągnięciach, to trzeba też wymienić porażki organizacyjne. W moim odczuciu największą z nich było całkowite fiasko w realizacji wniosku zgłoszonego oddolnie przez środowisko związane z uprawianiem wspinaczki sportowej. Chodziło o podjęcie działań zmierzających do usamodzielnienia wspinaczki sportowej i wspinaczki halowej jako odrębnej dyscypliny sportu o charakterze wyczynowym, zgodnie z brzmieniem Ustawy o Kulturze Fizycznej. Efektem tych działań miało być między innymi utworzenie w PZA całkowicie autonomicznej Komisji Wspinaczki Sportowej na wzór obecnie działającej Komisji Taternictwa Jaskiniowego. I co? Kompletnie nic! Wielokrotnie przy różnych okazjach podejmowałem ten temat, usiłowałem coś aranzować, motywować i nie znalazłem żadnego wsparcia. Podobno środowisko tego nie potrzebuje... Trzeba uczciwie powiedzieć, że jest to ewenement na skalę całego UIAA, bowiem jak okiem sięgnąć środowisko wspinaczy sportowych walczy o rozszerzenie swoich wpływów.

Są też i inne sprawy, które niestety się nie udały. Należy tutaj w pierwszym rzędzie wymienić: impas w rozmowach w sprawie dostępu do Tatr Zachodnich oraz zapaść witryny internetowej PZA. O ile sprawa negocjacji z TPN jest skomplikowana z wielu powodów, o tyle sprawa druga wydawała się dość prosta. Niestety, osoba, która się podjęła prowadzenia strony internetowej zawiodła na całej linii. Na szczęście znalazł się młody entuzjasta, który kończy modernizację strony www, ale ciągle pozostaje otwarta sprawa znalezienia redaktora, który tchnie ducha w naszą witrynę.

Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, co uważam za najważniejszy na obecną chwilę kierunek działania Związku, to bez wahania wskazałbym na rozpoczętą jeszcze w poprzedniej kadencji i cieszącą się coraz większym powodzeniem akcję „Junior”. Jej celem jest ułatwienie początkującym taternikom samodzielnej działalności w kilku pierwszych sezonach letnich i zimowych. I jeśli nawet nie wyrosną z nich mistrzowie skały i lodu, to jednak dzięki opiece ze strony Związku mają oni szansę przejść przez swoją górską przygodę bez większych siniaków. Dobre wykształcenie daje takie gwarancje. Sygnały płynące od kolegów ratowników z TOPR potwierdzają, że poziom wykształcenia taternickiego

wśród wspinaczy zrzeszonych w klubach jest co najmniej zadowalający.

Podobną rangę posiada moim zdaniem program powszechnej unifikacji. W ofercie znalazły się obozy unifikacyjne oraz dofinansowanie uczestnictwa w organizowanych przez PZA letnich i zimowych obozach w Alpach lodowcowych oraz w Dolomitach. To prawda, że początkowo reżonans środowiska był dość mizerny i na niektóre imprezy uczestników trzeba było brać z łapanki. Na szczęście jest już trochę lepiej.

Na marginesie tej sprawy muszę zauważyć, że wyczuwalna nieufność, a czasami nawet wrogość wobec wielu poczynań Związku często bierze swój początek w pożałowania godnym procederze dezauowania PZA przy każdej okazji. Oczywiście można stać na stanowisku, że w wolnej prasie czy też w internecie można napisać wszystko (a nawet się nie podpisać). Ja takie postępowanie uważam za wyjątkowe draństwo. Zamiast skonsolidowanego środowiska mamy zantagonizowane ze sobą grupy. Kto na tym traci? Niestety my sami! Nieprzypadkowo kończę podsumowanie ostatniej kadencji apelem o jedność środowiska. Bardzo nam tego brakuje!



Rys. Wojciech Leder



Moje myśli (przed) zjazdowe

Wacław Sonelski

Przed nami kolejny Walny Zjazd Polskiego Związku Alpinizmu. Będą otwarcia i zamknięcia, sprawozdania i podsumowania, obrady, komisje i wybory, czyli walka o stanowiska. Uchwali się trochę mniej lub bardziej sensownych wniosków. Będzie jak zwykle. I jak zwykle nie będzie mowy o problemach *istotnych*, np. o rozwoju i przyszłości polskiego wspinania. O tym się na zjazdach nie dyskutuje, bo delegatów absorbują przede wszystkim sprawy konkretne, a na futurologię brakuje czasu i konceptu. W tej sytuacji, energicznie zachęcany przez Redaktora Naczelnego, postanowiłem napisać o kilku sprawach, które – **moim zdaniem** – warto byłoby obgadać w trakcie przedjazdowych rozmów kolegów wspinaczy.

Zacznijmy *ab ovo*, czyli od jaja. **Do czego właściwie jest nam potrzebna „pezeta”?** Tę kwestię w pewnych kręgach naszego środowiska stawia się z całą powagą. To samo dotyczy wszelkich obowiązujących aktów prawnych, typu *Ustawa o wspinaniu*, traktowanych jako poronione plody Najwyższej Biurokracji. Pytanie brzmi: czy dałoby się bez tego wszystkiego obejść? Odpowiedź jest prosta: **nie**. Gdyby samorzutnie skasować PZA (nawiasem mówiąc spadkobiercę całej tradycji polskiego *wysokogórstwa*), niebawem z pewnością pojawiłoby się coś innego, bo życie nie znosi pustki. W Polsce wielu ludzi uprawia wspinaczkę i alpinizm, wobec czego *musi* istnieć organizacja uprawniona do reprezentowania ich sportowych interesów w kraju i na świecie. Tak działa system społeczny i jego porządek prawny. Konsekwentni anarchiści i kontestatorzy mogą co najwyżej zostać *outsiderami* (z własnego wyboru), albo... założyć własny, oczywiście *niezależny* klub. Nietrudno zresztą znaleźć kilka innych rozsądnych powodów istnienia ogólnokrajowej organizacji wspinaczkowej, ale nie tu czas i miejsce na taką polemikę.

Następny gorący temat: **skasować kartę taternika!** W tej kwestii pewien krakowski klub wspinaczkowy interpelował aż u rzecznika praw obywatelskich, przedstawiając różne argumenty przeciwko jej istnieniu. Jednym z nich były wysokie obecnie koszty uzyskania karty, przez co osoby mniej zamożne nie mają praktycznie możliwości uprawiania taternictwa. To zaś miałoby oznaczać, że pewna grupa społeczna podlega ustawowej dyskryminacji. Osobiście nie potrafię orzec, czy w kraju, w którym 40% rodzin ledwie wiąże koniec z końcem, konieczność zapłacenia prawie dwóch średnich pensji za licencję na wspinanie jest czy nie jest dyskryminacją. Ktoś zauważył, że nie wszyscy przecież muszą się wspiąć. Niby racja, ale w Polsce brak tej licencji pociąga za sobą ograniczenie dostępu do dobra powszechnego, jakim są góry. Jakoś mi to nie przystaje do odwiecznych zasad naszego środowiska ludzi gór. Gdyby tak myślano (i postępowano) w moim klubie w czasach, kiedy sam zaczynałem się wspiąć, nigdy nie zostałbym taternikiem, a później wspinaczem-alpinistą. Ale to były inne czasy i warunki. Wtedy Klub Wysokogórski, bynajmniej nie bogaty, jakoś potrafił zapewnić możliwość wspinania wszystkim chętnym, nawet jeśli ktoś miał mało kasy. Warto pamiętać, że monopol na udzielanie uprawnień nakłada wielkie zobowiązanie stowarzyszeniu powołanemu kiedyś do: *pracy około rozwoju taternictwa* (cytuje za *Taternikiem* z lat trzydziestych; W.S.).

Wysokie koszty to nie jedyny kłopot z kartą. Obowiązek jej posiadania stworzył bowiem mimochodem inną, niezbyt uchwytą, a znacznie dotkliwszą, formę dyskryminacji. Kartę często przyrównuje się do prawa jazdy. Ona także uprawnia do poruszania się po drogach, tyle że nie publicznych, a wspinaczkowych. Różnica polega na tym (poza ceną), że prawo jazdy można

otrzymać równie dobrze mając lat 18, jak i 50. Tymczasem przygniatająca większość naszych zdobywców karty tworzą ludzie młodzi. Czterdziestolatek jest wyjątkiem, a kursant pięćdziesięcioletni to okaz równie rzadki, jak tatrzański orzeł. Ktoś powie, że starsze osoby po prostu się nie zgłaszają. Zgoda, ale dlaczego? Bo nasz system promowania taternictwa w ogóle nie dostrzega osób starszych lub fizycznie mniej sprawnych, nie mówiąc już o niepełnosprawnych. To samo dotyczy zresztą dzieci i młodzieży.

Idźmy dalej. Z praktyki wynika, że chcąc otrzymać kartę, trzeba umieć się wspinąć na poziomie co najmniej V stopnia trudności. Wspinacz powiedzmy *dwójkowy* na samodzielne wspinanie nie ma szans. Dlaczego tak się dzieje? Właściwie nie wiadomo. Od kiedy sięgam pamięcią, kursy wspinania kończyły się na pułapie co najmniej *czwórki*. Taka już widać tradycja. To ona powoduje, że nie mamy w Polsce, typowej dla krajów zachodnich, licznej rzeszy wspinaczy niezależnych, właśnie takich *dwójkarzy*. Struktura naszego środowiska jest nielogiczna, wręcz chora. Zamiast przypominać piramidę, której szeroka podstawę tworzą masy *turystów z liną*, a wierzchołek elita ekstremalistów, istnieje coś na kształt wieży. Albowiem wspinacze chodzących po *dwójkach* i *trójkach* spotkamy w Tatrach równie często jak *sóstrkowych*. W tym miejscu pamięć podsuwa mi jedno z moich najpiękniejszych wspomnień instruktorskich: w piękny marcowy dzień w szkockim centrum szkolenia ucę zimowej wspinaczki bardzo sympatyczne małżeństwo... sześćdziesięciolatek.

Spitować czy wprost przeciwnie? Problem nadal aktualny. W różnych krajach i środowiskach wspinacze wciąż się o to spierają i nawzajem przekonują, a tymczasem... spitów na skale przybywa. I będzie przybywać! Między innymi dlatego, że wspinanie na naszych oczach staje się popularną formą rekreacji, **zabawą** dostępną bez mała każdemu, kogo stać na linę, uprzęż i karabinek. Kiedy zaczyna się masówka, przestają się liczyć tradycje elitarne kodeksy i zasady stylu. Dyskusja o tym, *czy i gdzie* spitować, traci sens, ponieważ dziś obija się skałę **totalnie**, ubezpieczając krok po kroku cały wspinaczkowy rejon wszystkie ściany, drogi, stanowiska zjazdowe etc. Wspinanie musi być wygodne i bezpieczne. Nic więc dziwnego, że gimnastyczny styl wspinania,

zawsze traktowany z wyższością przez przysięgłych zwolenników klasycznego etosu alpinizmu, zaczyna powszechnie dominować. W skałkach sprawa już jest przesądzona. W Tatrach ewolucja jeszcze się nie zakończyła.

A jednak wciąż istnieje spora grupa wspinaczy, którzy właśnie ten etos preferują. Dla nich ryzyko niebezpiecznego lotu nadal stanowi niezbywalną wartość, wręcz esencję **prawdziwego** wspinania. Oni najwyżej cenią sobie poprowadzenie trudnego wyciągu na własnej protekcji. Taki punkt widzenia zawsze był podstawą ideologii dawnego Klubu Wysokogórskiego, poprzednika PZA. Żelazną zasadą naszej wysokogórskiej tradycji jest pozostawienie wspinaczowi prawa wyboru sposobu i stylu, w jakim chciałby pokonać skalną drogę. Tymczasem nieubłaganie postępujący proces obijania tatrzańskich ścian narzuca nowe reguły gry. Spity pojawiają się znielnie na różnych drogach, niezależnie od ich charakteru i stopnia trudności. Powody także bywają różne: *obiektywnie* niebezpieczna kruszyzna, potrzeby szkolenia, komercja... Całkiem prawdopodobne, że już za parę lat nie znajdziemy w basenie Morskiego Oka ani kawałka ściany nieskażonej świecącymi plakietkami. Gdzie wówczas będą się wspinąć miłośnicy klasyki? Chyba w Alpach. Na naszych oczach napór stylu uprawianego przez wspinaczy-*gimnastyków* bezlitośnie odbiera *ryzykantom* kolejne enklawy dziewiczej skały. Pytanie brzmi: w imię jakich to racji wszyscy **będą musieli** wspinąć się tak samo? Tatry to nie Góry Skaliste zdolnych do wspinania ścian nie mamy zbyt wiele. Jeśli w jedynych naszych górach zabraknie miejsca do uprawiania i uczenia się wspinaczki w starym stylu, klasyczne taternictwo w Polsce zmarnieje i umrze. Już po kilku latach zabraknie wspinaczy gotowych do chodzenia *na ryzyku* i umiających to robić. PZA powinien wdrożyć jakiś **program ochrony ginącego gatunku wspinania**, zanim nie będzie za późno. Pierwszy wniosek sam się narzuca określić miejsca, w których pod żadnym pozorem spitów być nie może; a gdyby już się takowe pojawiły, zostałyby oficjalnie usunięte.

Zadajmy teraz pytanie dnia: **co zrobić, aby pezeta znów dała się lubić?** Zeby stała się organizacją-ideałem, na miarę naszych potrzeb i ambicji; żeby potrafiła sprostać wyzwaniom nowych czasów?

Przyczyną wielu minusów związku jest jego rosnący anachronizm. Po pierwsze struktura stworzona i dopasowana do konkretnych realiów niekoniecznie musi się sprawdzać po upływie ćwierćwiecza i w zmienionym ustroju. Organizacja z założenia oparta na dużym wkładzie pracy społecznej musi przeżywać ogromne trudności, gdy do takowej nie ma chętnych. Nasz związek **alpinizmu** w rzeczywistości obejmuje kilka **odrębnych** dyscyplin sportu. Kierowanie takim tworem, sprawne i dynamiczne prowadzenie wszystkich jego spraw pionów i referatów wymaga powołania starannie dobranej grupy specjalistów. To musi być robione profesjonalnie, jak w porządnej firmie. W takich firmach na ogół nie pracuje się społecznie, też nie zdarzają się problemy ze zwrotem kosztów delegacji członkom zarządu. Po drugie związek powstał w czasach, gdy wspinaczy mieliśmy w kraju co kolo trzech tysięcy i praktycznie **wszyscy** byli zrzeszeni w dobrze prosperujących klubach. Dziś mamy ich zapewne pięć razy tyle, z czego większość poza klubami, które na ogół tylko *jakoś* istnieją. Nie ma co się łudzić, ilość wspinaczy niezrzeszonych będzie wciąż rosła. Tym ludziom obce są piękne tradycje taternictwa i nic ich nie obchodzi niegdysiejsza chwała polskiego himalaizmu. Pytanie brzmi: czy mamy to zjawisko ignorować? Czy związek powinien przede wszystkim dbać o interesy swoich członków i pracować na rzecz zrzeszonych w nim klubów? Czy raczej powinniśmy się otworzyć, działając *około rozwoju polskiego wspinania*, bez dzielenia wspinaczy na *swoich i obcych*? Tu przykładem może być dla nas sytuacja istniejąca nie od wczoraj na Wyspach Brytyjskich. British Mountaineering Council, organizacja całkowicie różna od naszego *związku sportowego*, zrzesza kilkadziesiąt tysięcy wspinaczy, a prowadzi działalność programową na rzecz środowiska liczącego ich sobie (w dużym przybliżeniu) około... miliona. Byłoby wspaniale, gdyby działalność naszej kochanej pezetki była choć w połowie tak prężna, urozmaicona i skuteczna, jak to się udaje na co dzień Wyspiarzom. Choć to zapewne marzenia...

Na koniec trochę konkretów. Oto kilka propozycji dotyczących struktury, celów i metod pracy PZA w przyszłości. Są one wynikiem tzw. twórczej wymiany poglądów pomiędzy osobami znającymi funkcjonowanie naszego związku.

Władze związku

1. Prezesem powinna zostać osoba-symbol o nazwisku (i dorobku) znanym w świecie polityki, gospodarki, ewentualnie sportu; byłaby to funkcja w dużej mierze honorowa.
2. Rolę mózgu i menedżera, dyrektora na co dzień, pełniłby nowoczesny sekretarz generalny, będący jednocześnie rzecznikiem jego spraw na zewnątrz.
3. Referatem finansowym kierowałaby osoba znająca od środka realia świata pieniądza, dotacji, sponsoringu i reklamy. Warunki zaangażowania do przemyślenia i uzgodnienia.

Organizacja

4. Zarząd powinien się składać z czterech autonomicznych komisji reprezentujących dyscypliny: **alpinizm, wspinaczka sportowa, speleologia, ski-alpinizm**; w komisjach funkcjonowałyby zespoły: sportu, szkolenia i bezpieczeństwa (ewentualnie inne).
5. Powołane zostałyby *Wydawnictwo Taternik*, które przejęłoby zadania związane z gromadzeniem i rozpowszechnianiem informacji (dokumentacja, bank danych itp.), popularyzacją sportów górskich, wydawaniem *Taternika*, książek, materiałów szkoleniowych itp.
6. Podniesiona powinna być ranga i zwiększona samodzielność (także finansowa) Centralnego Ośrodka Szkolenia PZA. Stanowisko kierownika (obsadzone w drodze konkursu) podlegałoby rotacji co dwie 3, 4-letnie kadencje.

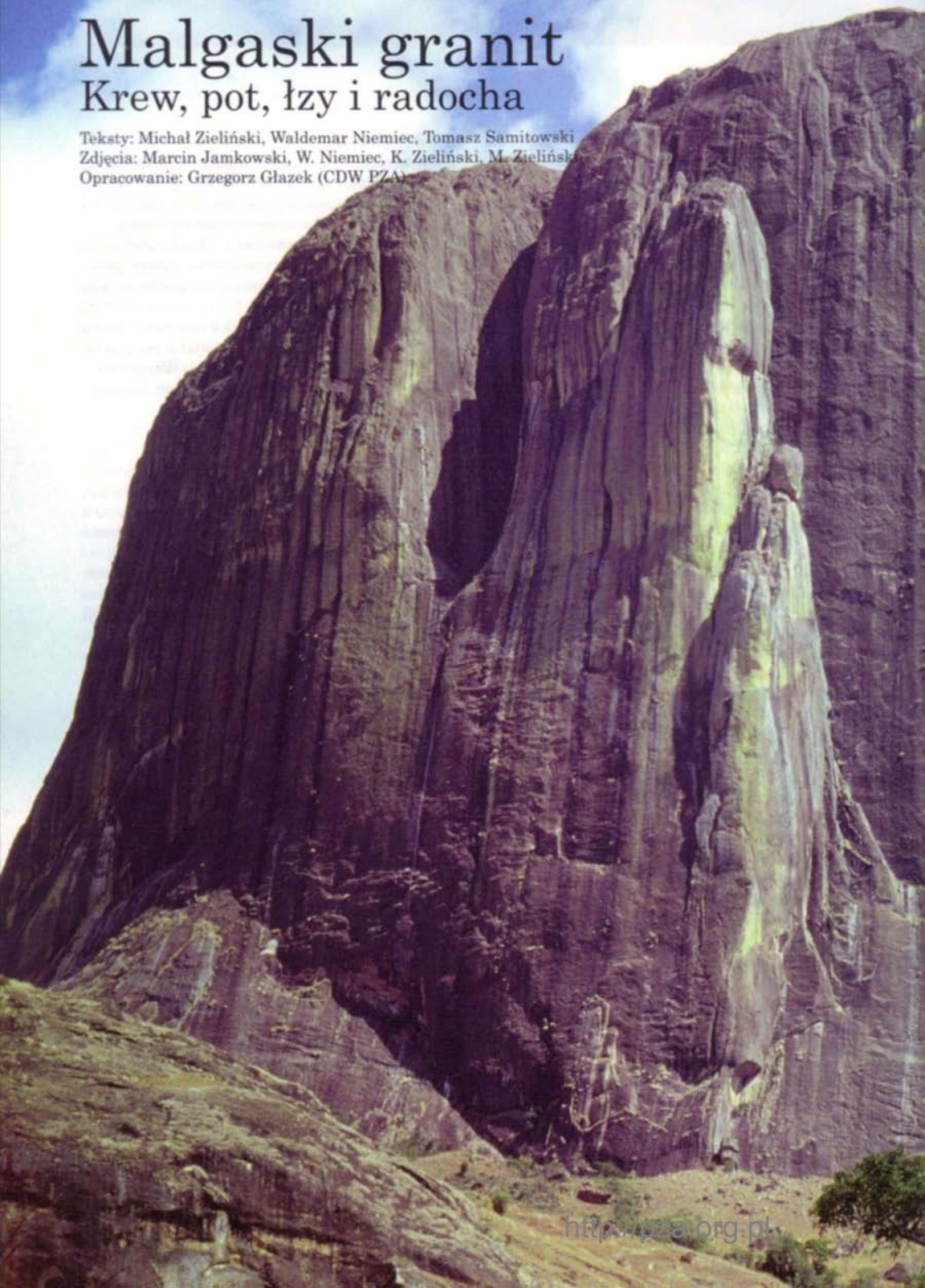
Cele programowe

7. Związek sponsorowałby wyłącznie cele o charakterze strategicznym dla rozwoju polskiego alpinizmu i sportów górskich.
8. Związek powinien popierać cele oraz imprezy klubowe (na określonych warunkach).
9. Związek określałby priorytetowe cele i kierunki działalności, które mogłyby się stać *polską specjalnością* na arenie światowej.
10. Związek popierałby wszelkie działania służące rozwojowi sportów górskich w Polsce, ułatwianiu dostępu do tychże i poprawie bezpieczeństwa ich uprawiania, zarówno w sferze sportu wyczynowego, jak i rekreacji. W szczególności dotyczy to poszerzenia i urozmaicenia oferty programów szkoleniowych.

Malgaski granit

Krew, pot, łzy i radocha

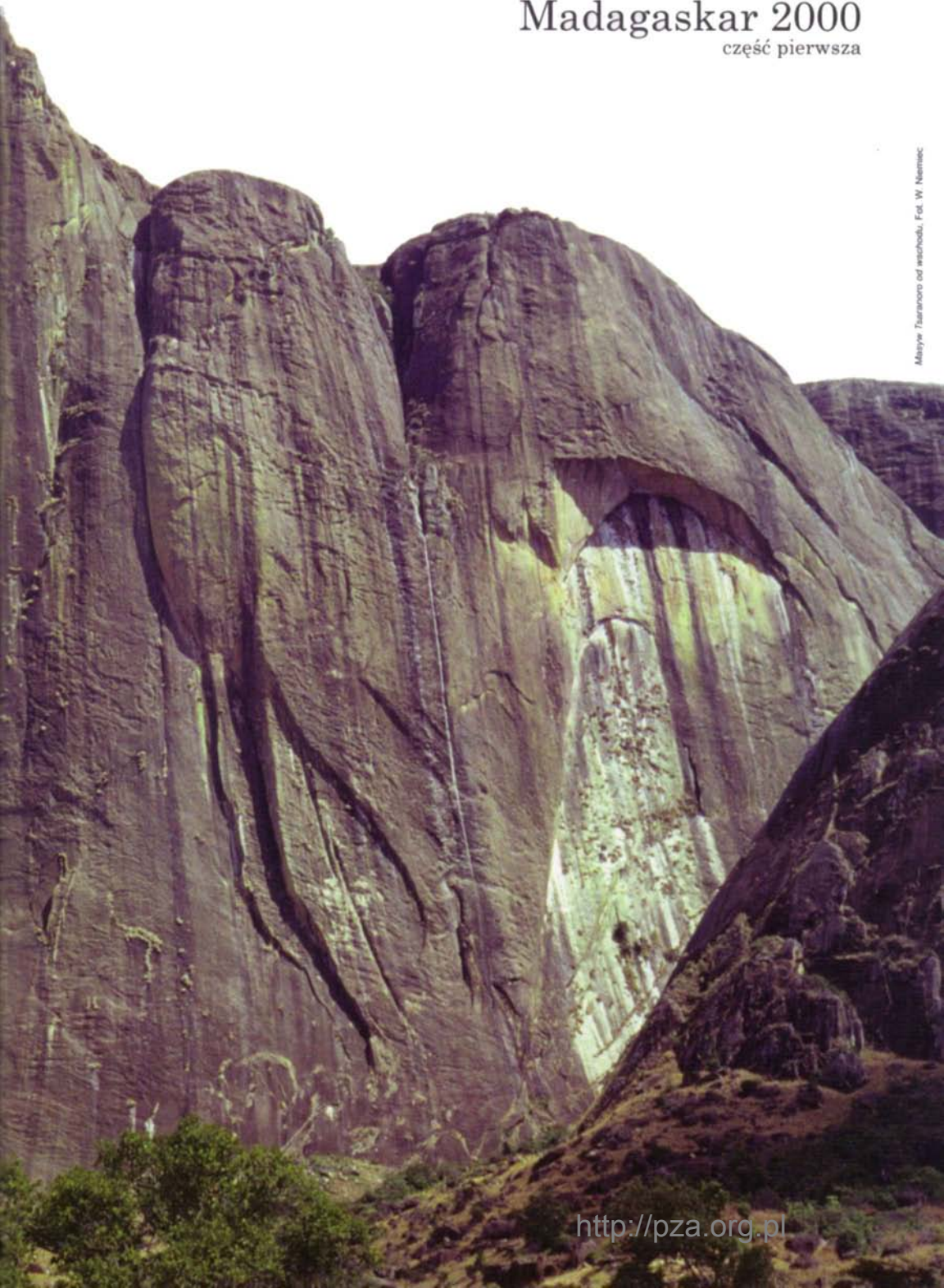
Teksty: Michał Zieliński, Waldemar Niemiec, Tomasz Samitowski
Zdjęcia: Marcin Jamkowski, W. Niemiec, K. Zieliński, M. Zieliński
Opracowanie: Grzegorz Głazek (CDW PZA)



Madagaskar 2000

część pierwsza

Małyje Taranoro od wschodu. Fot. W. Némec



<http://pza.org.pl>

Madagaskar

- I to, i to, i to też jeszcze wy... - tymi (hm, w zasadzie) słowami Kierownik skutecznie pozbaawił mnie nadmiaru bagażu, który jeszcze godzinę wcześniej wydawał mi się niezbędny. No cóż. Kierownik swoje prawa ma, a nadbagaż w samolocie słono kosztuje. Tak się kiedyś zdarzyło. Kiedyś...

Pomny sytuacji sprzed półtora roku podczas wyjazdu do Mali, tym razem postanowiłem zabrać się do sprawy inaczej.

Madagaskar 2000 – kolejna wyprawa Klubu Wysokogórskiego Kraków, z dodatkiem trojga warszawiaków, była uwieńczeniem naszych długich starań. Wielomiesięczna praca nad zebraniem niezbędnych informacji, przygotowanie wyjazdu od strony organizacyjnej, mozolne acz systematyczne deptanie kolejnych ścieżek do sponsorów dały się nam solidnie we znaki. Dopiero na miesiąc przed planowanym wyjazdem odetchnęliśmy z ulgą, kiedy PZU Życie zgodziło się objąć patronat nad naszą wyprawą. Spokój i ulga, jakich wtedy doznaliśmy, wynikły z faktu cudownego zniknięcia fatalnej, i niemożliwej do załatwienia dziury w budżecie.

Świat stanął przed nami otworem, czy może bardziej taternicko – skończyło się przewieszanie, a teren przed nami położy. Koniec udreki.

W drużynie zapanował nastrój euforii i hurraoptymizmu, tylko poniekąd uzasadnionego. Zgrany zespół, co to z niejednego murzyńskiego kotła strawę jadł i nieraz wypijał całe piwo w napotkanych wioskach, jest po prostu skazany na sukces. Niezmiennie dobre mniemanie o sobie, które poprawia samopoczucie, pozwoliło zapomnieć o minionych miesiącach. To zaś sprawiło, że postanowiłem oprócz wspinania zrealizować jeszcze jedno marzenie.

Loty na parolotni z napędem, tuż obok pięknych pionowych ścian **Tsaranoro**, z kamerą na czole. Chłopaki się wspinają, ja filmuję z powietrza. Ach, cóż za perspektywa. Jedynym problemem stojącym pomiędzy mną a lotami z kamerą był Kierownik. Jak nocna mara przypomniała mi się scena z poprzedniego roku z lotniska Okęcie oraz słowa, spokojne i silne, zrozumiałe nawet dla kogoś w zupełnym amoku:

- I to też wyp..... !

Tym razem jednak, chcąc zabrać napęd do glajta roztoczyłem przed Kierownikiem i kolegami wizję fantastycznych ujęć wspinania kręconych

z powietrza. No i poszli na ten lep. Mogłem spokojnie przekroczyć nadbagaż.

Długa podróż lotnicza do **Antananarivo** zakończyła się lekkim zaskoczeniem. Zamiast spodziewanych upałów ledwo 13 stopni. Po krakowskich +30°C trzeba wskoczyć w polary. Ale nic to. Samochód jest, cargo jest, kamera od czola odkręcona, kasa wymieniona, beczki załadowane i tylko osłony od śmigła mojej zabawki nie ma. Szlag ją trafił gdzieś w Air Cosair. Awantury po polsku czy angielsku nie robią wrażenia na francuskojęzycznej obsłudze lotniska. Czas wyruszać.

Stary terenowy autobus, z rurą wydechową skierowaną do kabiny, wiezie nas w głąb czerwonej wyspy. W nocy docieramy do **Fianarantsoa**, gdzie z ciężkimi głowami i płucami wypełnionymi spalinami padamy spać w przytulnym hoteliku. Następnego dnia, po zmyleniu drogi i nadrobieniu około 100 km, już o 2 w nocy docieramy do **Camp Catta**.

Wyładunek po ciemku kończy się dla mnie fatalnie. Noga skręcona w kostce jest – o czym jeszcze nie wiem – zapowiedzią dalszych kłopotów, o których wspinaczom na ogół się nie śniło.

Pierwszy poranek w **Camp Catta** jest nagrodą za wszystkie poniesione do tej pory trudy.

Rozległa dolina, łańcuchy gór i grani dookoła oraz niesamowite ściany **Tsaranoro** i **Karam bony** tuż nad obozem, zapierają dech w piersiach. Monolityczne bryły o wysokości 400 do 800 metrów, fantastyczna pogoda oraz klimat jak z bajki wprawiają nas w zachwyt. Nawet Krokodyl Genio, z którym przyszło mi spędzić pierwszą noc w namiocie, zapomniał o moim wrodzonym balaganiarstwie i nie pomstuje, dyskretnie pomijając milczeniem swoje niezadowolone z faktu przymusowej koegzystencji.

Zaczyna się Wielka Przygoda. Naszym głównym celem na tym wyjeździe było oczywiście wspinanie, a nie latanie z kamerą na czole, co mogłoby wynikać z początku tej opowieści.

Już w parę godzin po przyjeździe, rozstawieniu namiotów – no może nie wszystkich – oraz wyrzebaniu szpeju z beczek, w ścianę wyrusza zespół. Kierownik z Uśmiechem w ramach rekonesansu – turystycznego oczywiście – spacerują po drodze **Ebola** (250m, 6b+) na ścianie **Lemur Wall**. Wracają bardzo zadowoleni. Lite, pionowe granity nie wymagają siły tylko techniki. Ale jak

Madagaskar

ktos daje 5 razy ze szmaty, to żadne siłowe wspinanie mu nie odpowiada. Woli technikę, to jasne. Dla mnie też jest to jasne. W końcu nigdy nie dałem ani razu ze szmaty, więc tylko technika! Dopiero następna droga w wykonaniu tej strasznej pary otwiera nam oczy na to, co nas tu czeka. Po zrobieniu w 6 godzin *Out of Africa (Pożegnanie z Afryką, 600 m, 7a)* na **Tsaranoro Kely** chłopcy wracają w euforii. O ile można mówić o euforii w przypadku dwóch takich egzemplarzy jak oni. Z całkowitym spokojem, sącąc piwko, rzucają tylko półgłosem:

- Piękna droga.
- Za...ste wspinanie.
- Super skała, tylko tarcie i technika!
- Ale lufa!

Tych kilka słów dobitnie świadczy o stanie pobudzenia emocjonalnego. Kto zna, to wie.

Następnego dnia Gienio z Kierownikiem powtarzają *Pectorine (260m, 6b)* na **Karambony**, a jeszcze chwilę później Uśmiech z Gieniem robią 2. lub 3. (wg szefa campu Christiana) przejście *Veloma Madagasikara (320m, 7a)* na **Vato Varindry**.

Tymczasem w obozie panuje marazm, spowodowany jakimiś głupimi kontuzjami.

Jamkoś na tydzień przed wyjazdem złamał nogę w śródstopiu i mimo wielkich starań, wciąż występuje jako czworonóg. Ja oglądam swoją prawą kostkę wielkości piłki do tenisa i w kolorach tęczy. Waldi siedzi, pali fajkę, pije piwko i najwyraźniej mu to pasuje, bo może zajmować się synem Igozem. Marzena z powodu nogi Jamkosia biega sama po okolicy i robi foty. I też jej to pasuje. Jednak coś wisi w powietrzu. Któregoś dnia moja odporność psychiczna się skończyła. Zaczynam porykiwać na Waldiego, który aczkolwiek z ociąganiem, ale w końcu ulega mojej presji i zaczyna się pakować. Tydzień gapienia się na przeciwną stronę doliny – tak usytuowana była jadalnia – wystarczył, aby w mojej głowie powstał chytry plan. Stała tam sobie piękna góra **Le Dondy**, której 900-metrowa ściana kusila swoją pozorną przystępnością. Poza tym miała w sobie coś tatrzańskiego, coś co było nam bliskie.

Na dodatek były tam tylko dwie drogi. Jedna prawym filarem, druga prawą grania. Cała ogromna ściana stała przed nami, czekając na inwencję twórczą. No i stało się.

O poranku, objuczeni worami ze szejmem, spa-

niem i wodą zostaliśmy przewiezieni na drugą stronę doliny. Dzielną łada niva, z wieku i wyglądu podobna do Hierza, prowadzona przez Christiana dotoczyła się razem z nami pod zbroczą **Le Dondy**.

Michał Zieliński „Ogór”

TATO, TATO

Palenie fajki przy kuflu piwa jest miłą formą spędzania czasu na rajskiej wyspie zwłaszcza jak się jest w słusznym wieku wspinaczkowo-przed-merytalnym. Gorzej z pilnowaniem 6-letniego urwisa Igora, który po tacie odziedziczył ciekawość świata i nieprzejarty pociąg do przygód. Ale wszystko ma swoje granice. W tym wypadku wystarczyły trzy dni.

Tak czy inaczej, mnie też pociągnęła Ogórowa wizja zrobienia nowej drogi na sporej ścianie, prawie całkowicie dziewiczej. I do tego bez przygotowań, ot tak, z marszu.

Minęliśmy ostatnią wioskę (chyba była dekoracją dla pierwszych scen w filmie „Willow”) i początkowo widoczna ścieżyna gdzie się zagubiła. Ja także, czego efektem było przedzieranie się przez dzunglę porastającą każdy parów. Nie słyzałem za sobą wrzasków Ogóra, więc jemu chyba poszło lepiej. Po dwóch godzinach meldujemy się pod ścianą, w miejscu, które wypatrzyliśmy na start drogi. Godzina „w plecacy”, więc trzeba się spieszyć.

Odtąd zmieniliśmy się z Ogórem na prowadzeniu. *Spiritus movens* całego przedsięwzięcia zgodził się na jasny podział zadań. Ja prowadzę całą drogę, on ciągnie wór. Przez pierwszy wyciąg był nawet zadowolony, biedaczysko. Początek był łatwy, kilka następnych wyciągów poszło jak z płatka. Atmosferę zabawy psuły tylko porykiwania i przekleństwa Ogóra, przegrzywającego nierówną wałkę z worem. Nieco byłem też zmartwiony asekuracją a raczej jej brakiem. Do braku jakichkolwiek cieńszych rysek już się przyzwyczaiłem, kostki i haczyki pobrzękiwały miło w plecaku. Lecz to, że ani jeden friend nie siedział dobrze i asekurowałem się z pętelek zaczepionych o kalafory, było już niepokojące. Mieśliśmy ze sobą co prawda „demoną Hilti”, ale Kierownik wysupłał nam tylko 11 spitów (reszta „nabierała mocy” przed Tsaranoro). Przy tysiącu metrów wspinania wypadało po pół spita na wy-

Madagaskar

ciąg. Póki było łatwo, problem odsuwałem od siebie. Ale gdy zameldowaliśmy się na półce w środku dolnej partii ściany, zaczęły się „schody”. Na gładkiej ścianie postanowiłem zaszaleć z asekuracją i trzy spity naraz otworzyły przed nami resztę dolnej ściany.

Po osiągnięciu wielkiej skośnej półki wyszukaliśmy miejsce na „kibel” (pod palmą – w końcu to Afryka!) i zdecydowaliśmy, którą uderzymy na jutro. Ogór jeszcze znalazł małe oczka wypełnione wodą więc pełnia szczęścia. Niestety, w nocy zaczęło wiać i siać z chmury, która nie wiadomo dlaczego owinęła akurat nasz wierzchołek. Mieliliśmy jeden śpiwór, a Ogór mistrzostwo świata w przeciąganiu go na swoją stronę. Po nieprzespanej nocy mój zapal do wspinania przywróciły dopiero suszone morelki i Isostar.

Górna część ściany zaczęła się łatwo, ale dalsza jej partia znowu nas przytrzymała. Byliśmy bliscy odwrotu. Dopiero gdy za namową Ogóra wychyliłem się za przelamanie ściany i zobaczyłem rząd fantastycznych grzybków skalnych, wystających z pionowej płyty, zrozumiałem, że droga „jest nasza”. Kilka wyciągów w pionie i jakieś 200-300 metrów po pochyłym wyprowadziło nas wkrótce na wierzchołek.

Było samo południe, pogoda i widoki jak zawsze na Czerwonej Wyspie precudne, czas więc na fotki. Ogór w takiej pozycji, Ogór na boczek, Ogór z liną, Ogór bez liny, Ogór uśmiechnięty, Ogór-zdobowca. To samo ze mną. Współczułem modelkom i ich fotografom. Jeszcze trochę morelek i batonik na deser.

Było miło, ale coraz częściej spoglądaliśmy w dół. A tam strasznie daleko, i nie znaleźmy zejścia. Informacje z obozu mówiły: „gdzieś w lewo w dół, mniej więcej”.

To „mniej więcej” zajęło nam 4 godziny przedzierania się przez dżunglę, jak z koszmarnego snu. Spionowane, wymyte żłebki i rynienki porośnięte akacjami, draczeniami, kaktusami i wszelakim kolczastym zielskiem, rozdrapującym skórę jak stary pergamin. Modliliśmy się choć o krzaczek pocziwiej tatrańskiej kosówki.

Jak zwykle po trudnym zejściu, na dole pod ścianą opadły z nas emocje i mogliśmy sobie pogratulować. Nowa droga zrobiona, a my żyjemy. I to całkiem niezłe, bo jak tylko doczłapaliśmy do obozu, czekała nas dobra wyzerka i piwo. A na mnie jeszcze Igor, wołający jak zwykle co dwie minuty:

– Tato, tato!

Tak też postanowiliśmy nazwać naszą drogę.

Życie jest piękne!

Waldemar Niemiec „Waldi”

LATANIE PRZY ŚCIANIE

Jak już pisałem na wstępie, nic tak nie poprawia samopoczucia jak dobre mniemanie o sobie.

Podbudowany psychicznie i fizycznie po przejściu „od strzału” nowej drogi, której nie trzeba się wstydić, i do tego pierwszej polskiej na Madagaskarze, nabrałem animuszu.

Dwa dni odpoczynku postanowiłem poświęcić na przygotowania do latania. Oczywiście osłona śmigła przepadła jak kamień w wodę, a bez niej z napędem latać się nie da. Natomiast swobodne latanie na parolotni jest jak najbardziej możliwe. Znalazłem odpowiednie miejsce do startu pod ścianą Lemur Wall, jakieś 350 m nad obozem, i zdecydowałem się na pierwszy lot. Przez pierwszy tydzień przymusowego lenistwa w obozie miałem dużo czasu do obserwacji warunków pogodowych. Jeżeli chodzi o szybowanie, nie był specjalnie zachęcający. Bardzo silne i wąskie kominie termiczne zmiatały ze stolików obrusy i tumanami kurzu przypominały o potędze natury. Na szczęście stabilna pogoda umożliwiała zrobienie grafiku, w jakich porach „terma” (termika) jest najsilniejsza i kiedy ewentualnie można podejmować próby latania. Klamka zapadła. Ekipa pracowała w ścianie Tsaranoro, nikt z pozostałych w obozie nie miał ochoty na okropne podejście na startowisko, w trawie po czubek głowy i 30-stopniowym upale.

– „A niech was chudy byk...” pomyślałem i poszedłem sam.

Rozebrany całkiem do gołego, tylko w butach, po 40 minutach podchodzenia mokry jak szczur i tocząc pianę z pyska, stanąłem na startowisku. Upał był niemiłosierny i jak na złość w ogóle nie wiało. Porozkładałem sprzęt i wytarłem się z potu majtkami. Efekt był taki, jakbym ich nie zdejmował. Ubrałem się w resztę ubrania i uprząż. Przypięcie taśm od glajta, kontrola linek i czaszy. Jestem gotowy. Znowu mokry od potu czekam na korzystny powiew w twarz, marząc o starcie.

Całe to latanie jest zresztą podobnie upierdliwe jak wspinanie. No bo wygląda to tak: stoi



Madagaskar

człowiek poubierany, gorąco, pot wciska się wszędzie, stres przed lotem, uprząż cięża. Okropieństwo. Najgorsza dla mnie chwila w lataniu to oczekiwanie na podniesienie skrzydła. W powietrzu jest już dobrze, bo siedzi się wygodnie, powiew chłodzi, widoki fantastyczne, poczucie wolności i swobody rozpięta pierś. Krąży się wysoko, wysoko coraz wyżej i dalej. Az do momentu, kiedy terma zaczyna składać skrzydło i wywijać glajciarzem jak gaciami na sznurku do bielizny. Wtedy człowiek znowu się poci, wracają stres i „hercklekoty”. Ale jak już się wylądzuje, to się mówi: „Ale było supeeer!”.

Tak też wyglądał mój lot nad Camp Catta. W 15 minut wywinąłem parę koziołków w powietrzu, poskładało skrzydło z lewej, prawej i w środku. Wylądowałem i powiedziałem do siebie „Ale było supeeer”. Czasem się zastanawiam, czy to wszystko nie jest chore.

Oczywiście te wstępne akrobacje nie zaspokoiły moich ambicji. Latanie z kamerą na czole ciągle miałem w planie.

Tymczasem i na mnie przyszła kolej na pracę w ścianie Tsaranoro. Moja rola na naszych wyprawach, kiedy trzeba się wspinać w terenie, w którym najłatwiejsze zejście to 6.2, sprowadza się do roli samobieżnego przyrządu transportowo-asekuracyjnego. Jak już wspomniałem, nigdy nie „zadawałem ze szmaty”, więc z kolegami mogę wspinać się wyłącznie „czysto technicznie”. To znaczy korzystając z osiągniętej techniki, typu małpa, croll itd. Za karę niestety, muszę zawsze coś nosić. Tym razem miałem ze sobą wodę, liny, spity i coś tam jeszcze.

Pałując do góry po poręczówkach podziwiałem wiszący 300 m wyżej zespół. Wisieli na przelamaniu przewieszenia. Gienek na stanowisku, Boguś prowadził. Pocąc się znowu, dołączyłem technicznie do stanowiska, zastanawiając się, jak, do diabła, Uśmiech od razu klasycznie i do tego wierząc spity przeprowadził przewieszony wyciąg 7a. Po rozłożeniu portaledza doniesionego wcześniej przez Jamkosa wypakowuję towar i przysłuchuję się ciekawym pogawędkom kolegów. W pewnym momencie Boguś omsknął się z jakąś pętelką. Zadzwonił szpej, lina lekko się napięła, z góry doleciał o jakiegoś przekleństwo.

– Jak wszystko wyleci, to będziemy mieli ładny lot waszeci – pocieszył Gienio Kierownika.

– Czy cię poj...ło , co ty k..... pie....., asekuruj! –

Kierownik na to.

Tymczasem pod ścianę dotarł Waldi, który miał donieść resztę towaru. Zapakował wór i rażno zaczął techniczną wspinaczkę po poręczówkach. Filmując go z góry i doszedłem jednak do wniosku, że coś jest nie tak. Wór był wzrostu tragarza. Tragarz zaś poruszał się bardzo ospale. Musiałem już zjeżdżać, żeby zrobić miejsce dla następnego. Pożegnałem serdecznie kolegów i rozpocząłem zjazd. W połowie drogi spotkałem Waldka.

– No i co jest z tobą pytam co tak pomału?

– K..... nie mogę, jakie to ciężkie, pomóż mi go wpiąć.

Pomogłem. Oniemiałem przy tym.

– Coś ty tu napchał?

– No, żarcie, spity, liny.

– A kto będzie tyle żarł?

– No, nie wiem.

– No to na razie – powiedziałem i pomknąłem w dół. Będąc już na ziemi i filmując akcję z dołu, zostałem świadkiem sceny i dialogu, którego ekspresja poraziła mnie swoją wymową.

Wór pokonał Waldiego. Wciągnął go pod okapy. Ponieważ ciężar zawieszony na linie wisi raczej pionowo, niewielki trawers okazał się pułapką. Niegłodne z początku pojękiwania Waldiego zamieniły się w ryki. Na pomoc ruszył Gienio. Zjechał do stanowiska, pod którym jeszcze jakieś 20 metrów niżej wisiał nieszczęśnik z worem przypiętym tylko do pasa biodrowego.

– Waldi, wyjdź tu do stanowiska, to przepakujemy wór – powiedział ratownik

– Krzysztof!!! Ty nie wiesz, co mówisz! – ryknęła ofiara.

Żadne przekleństwa w górach, których tyle już słyszałem, nie miały w sobie takiej mocy.

W końcu jakoś sobie poradzili, ale znowu ktoś się spocił. I było supeeer.

Wieczorem, po zejściu do obozu, radosna nowina. Przyjechała osłona do śmigła. Mogłem oddać się podniebnym harcom z kamerą na czole. Realizacja marzeń moich i kolegów o fantastycznym filmie była w zasięgu ręki. O poranku z poskładanym do kupy napędem meldujemy się na specjalnie przygotowanym do tego typu wycieczek startowisku. Pierwszy lot ma na celu wyważanie warunków panujących w powietrzu przy ścianie Tsaranoro. Jeszcze bez kamery na czole, ale z aparatem, GPS-em, wariometrem i wszyst-

Madagaskar



Mile początku lotów, Fot. W. Niemiec

kimi szykanami należnymi lataniu ekstremalnemu, stają gotowy na starcie. Silnik na plecach pracuje na obrotach. Głajt w porządku. Chłopcy w ścianie czekają na portaledzu. Jamkoś filmuje, Waldi fotografuje, ja odlatuję. W kilka sekund po starcie, na wysokości pół metra nad ziemią, podmuch wiatru przechyla mnie w prawo. Zaczepiam nogą o kamień. Poglębiam to przechył i powoduje utratę siły nośnej. Widzę, jak moja prawa ręka odruchowo wyciąga się w kierunku pędzącego na mnie z prędkością 40 km na godzinę niedużego kamienia. Uderzenie wykręca ją do tyłu i wrzuca w osłonę śmigła. Trzask, ból, cisza. Podbiegają oboje nasi dziennikarze.

- Nic ci się nie stało? - pytają.
- Śmigło całe? - odpowiadam pytaniem na pytanie.
- Nie, rozwalone.
- No, to szlag trafił latanie i filmowanie - mówię
- I rękę chyba też - dodaję.

Krwawy strzęp wystaje z rękawiczki. Mały i serdeczny palec jakoś nienaturalnie krzywe. Marzenia o karierze pilota-filmowca pękły jak kevlarowe śmigło w spotkaniu z moimi kośćmi. Wspinanie zakończone, latanie zakończone. Dłoń przecięta do połowy wyprowadza mnie w długą podróż po wyspach Oceanu Indyjskiego w poszukiwaniu ratunku. I znowu się spocilem. Ale byłosupeer.

Michał Zieliński „Ogór”

LATAJĄCY CYRK OGÓRA

Jeszcze nim zaczęły się perypetie Ogóra z lataniem, zaczęliśmy działalność na nowej drodze na Tsaranoro.

Następnego dnia po naszym powrocie z **Le Dondy Bogus** z **Uśmiechem** weszli jako pierwsi w ścianę. Oni też wcześniej wybrali miejsce na drogę: wąski pas płyt pomiędzy dwoma systemami kominów oddzielającymi z prawej strony płyty *Pożegnania z Afryką*, a z lewej ścianę **Tsaranoro Kely** od **Tsaranoro Be**.

Obserwowaliśmy ich z **Ogórem** i **Igorem** kąpiąc się w oczkach wodnych stworzonych chyba dokładnie w tym celu. Początek był imponujący. W dwie godziny chłopcy przemknęli dwa wyciągi, założyli poręcz i niespodziewanie na tym skończyli. Przyczyną była burza, która na dwie godziny zawisła nad Tsaranoro. Podobno o tej porze roku zdarza się to raz na pięć lat. Pogratulować szczęścia.

Zmoknięci jak kury, ledwo umknęli z życiem ze ściany. Kaskady wody widać było z odległości kilku kilometrów. Ucierpiał też sprzęt i osoba **Jamkosia**, zawzięcie filmującego początek Nowej Drogi. Ale pierwsze koty za płoty.

Już „na sucho”, w obozie popłynęła opowieść o wspaniałej skale, idealnie litej płycie, czujnym, technicznym wspinaniu i pięknej linii przyszłej drogi. Az wszystkim bezwiednie napinały się budy i przybywało sprzęta.

Po jednodniowej przerwie na dosuszenie, drogę zaatakowali **Uśmiech** z **Gienkiem**. Szybko doszli pod strefę przewieszoną w środkowej partii ściany. Wydawało się, że ich tam przytrzyma, ale **Uśmiech** pokazał wielką klasę. Przedarł trudności 7a (jak się później okazało) z wiertarką u pasa, wszystko to w terenie mocno przewieszonym, wierząc spity na prowadzeniu.

Kolejnego dnia woda znowu zmyła chłopaków ze ściany. Natura wyrobiła już normę na 10 lat. Tylko **Jamkoś** wykazał się należytą „czujnością rewolucyjną” i tym razem zmógł tylko on, a nie sprzęt. Szybko się uczy.

Następnego dnia na płytach pojawili się **Bogus**, **Gieniu** i **Ogór**. Wyjście miało charakter wspinaczkowo-techniczny. Mieli urobić, ile się da powyżej przewieszzenia, rozpiąć portaledza i wyciągnąć jak najwięcej sprzętu, jedzenia i zycio-

Madagaskar

dajnej wody. Kwestie techniczne zostały załatwione w całości. Gorzej ze wspinaniem. Boguś napotkał takie trudności, że z trudem urobił 20 metrów. Tym samym zostały brutalnie skorygowane nasze optymistyczne plany szybkiego przejścia drogi. Ten wyciąg był najtrudniejszym na całej drodze.

Pod koniec dnia chłopcy zjechali na dół, a ja z worem transportowym na petli zacząłem malpowanie na portaledza. Niestety, przesadziłem z ciężarem worka i przeklinając piekielnego „jaj urywacza” zostawiłem go w środku ściany na następny dzień. Po drodze minąłem się z Ogórem, który jadąc w dół nie przeczuwał jeszcze, że następnego dnia będzie miał wypadek, i że zakończy dobrze zapowiadającą się karierę samobieżnego wora transportowego.

Boguś zanocował pod ścianą. Tłumaczył, że z lenistwa, ale mnie się wydaje, że samotna, ciepła noc, pod rozgwieżdżonym niebem Afryki i z widokiem na otwierającą się pod stopami dolinę, z olbrzymią ścianą granitu za plecami, miała tak magnetyczną moc, że nie mógł się jej oprzeć.

Ja musiałem zbiec na dół do syna, ale już wcześniej rano zameldowałem się z powrotem pod ścianą, z nowym zapasem sił i chęci oraz z Jamkosiem, nieustraszonym filmowcem. Jamkoś to kliniczny przypadek uzależnienia od wspinania. Pod ścianę podchodził o kulach (złamał nogę w śródstopiu tydzień przed wyjazdem), ale po dotknięciu lin odrzucał kule i pedałował w górę, aż miło. Ciekawe, co na to jego lekarz?

Znowu dzień harówki. Głównie dla Bogusia, ponieważ ja po dojeździe do portaledza wyłożyłem się na nim jak długi i asekurując, z zainteresowaniem obserwowałem walkę partnera z pionem i gładziszną. A było na co popatrzeć, bo Boguś chcąc nie chcąc, dawał popis wspinania przez parę godzin. Ostatecznie jednak zwyciężył i kończąc feralny wyciąg, mógł głośno to wykrzyknąć. Doszedłem do niego, zawiesiliśmy poręczówkę na jutro i Boguś jeszcze trochę przepatentował trudności. Zlustrowanie ściany powyżej poprawiło nam humory, bo z wyjątkiem okapu 20 m nad nami wyglądało to trochę (ale tylko trochę) łatwiej.

Szybko zebraliśmy manele i zjechaliliśmy na dół, mijając po drodze Uśmiecha i Gienka, którzy mozolnie pięli się w górę, zapatrzeni w opuszczono przez nas portaledza i czekające tam na nich dwie sypialne miejscówki.

Następnego wieczora, już przy należnym im „małym z pianką”, zameldowali o urobieniu dwóch kolejnych wyciągów. Uśmiech twierdził, że największe trudności są za nami – a on zazwyczaj się nie myli, gdy mówi o wspinaniu. Powinien więc zapanować nastrój optymistyczny.

Tak się jednak nie stało. Owego rana Ogór swoimi podniebnymi czy raczej nadziejnymi czynami i ich konsekwencją, skutecznie zważył wszystkim humory. Ponadto zburzył harmonogram prac nad drogą, ponieważ dla ratowania jego ręki przed ostatecznym cięciem, we dwóch wyruszyliśmy w świat w poszukiwaniu lekarza.

Zostali w trójkę: Boguś, Uśmiech i Gienka, z zadaniem dokończenia drogi. W zaistniałej sytuacji nie było im specjalnie spieszo do działania. Minęły dwa dni i gdy wieczorem wrócił do obozu (po zapakowaniu naprędce pozszywanego Ogóra do samolotu na Reunion) zobaczył przez lornetkę sylwetki Uśmiecha i Bogusia wierzchołku. Przeszli ostatnie cztery wyciągi, które okazały się wcale nie takie łatwe. Ponaż z powodu awarii wiertarki, założona na asekuracja miała charakter nieco „luźny”, solidne, męskie odległości między spitami i ciągnięta na maksa (60 m) lina.

Tak więc droga została otwarta.

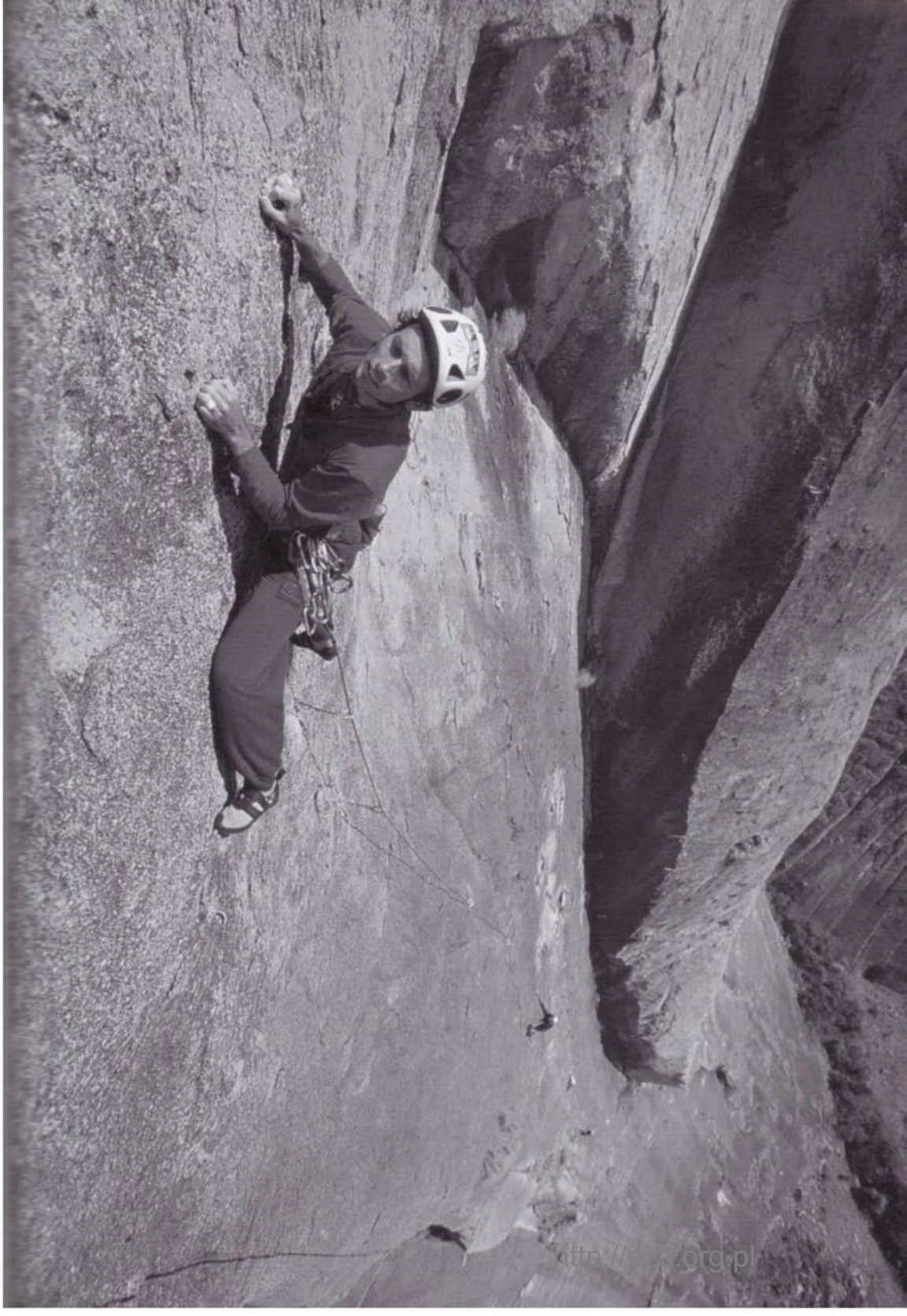
Otrzymała jednogłośnie nazwę *Cucum Flying Circus*, na osłodę życia Ogórowi.

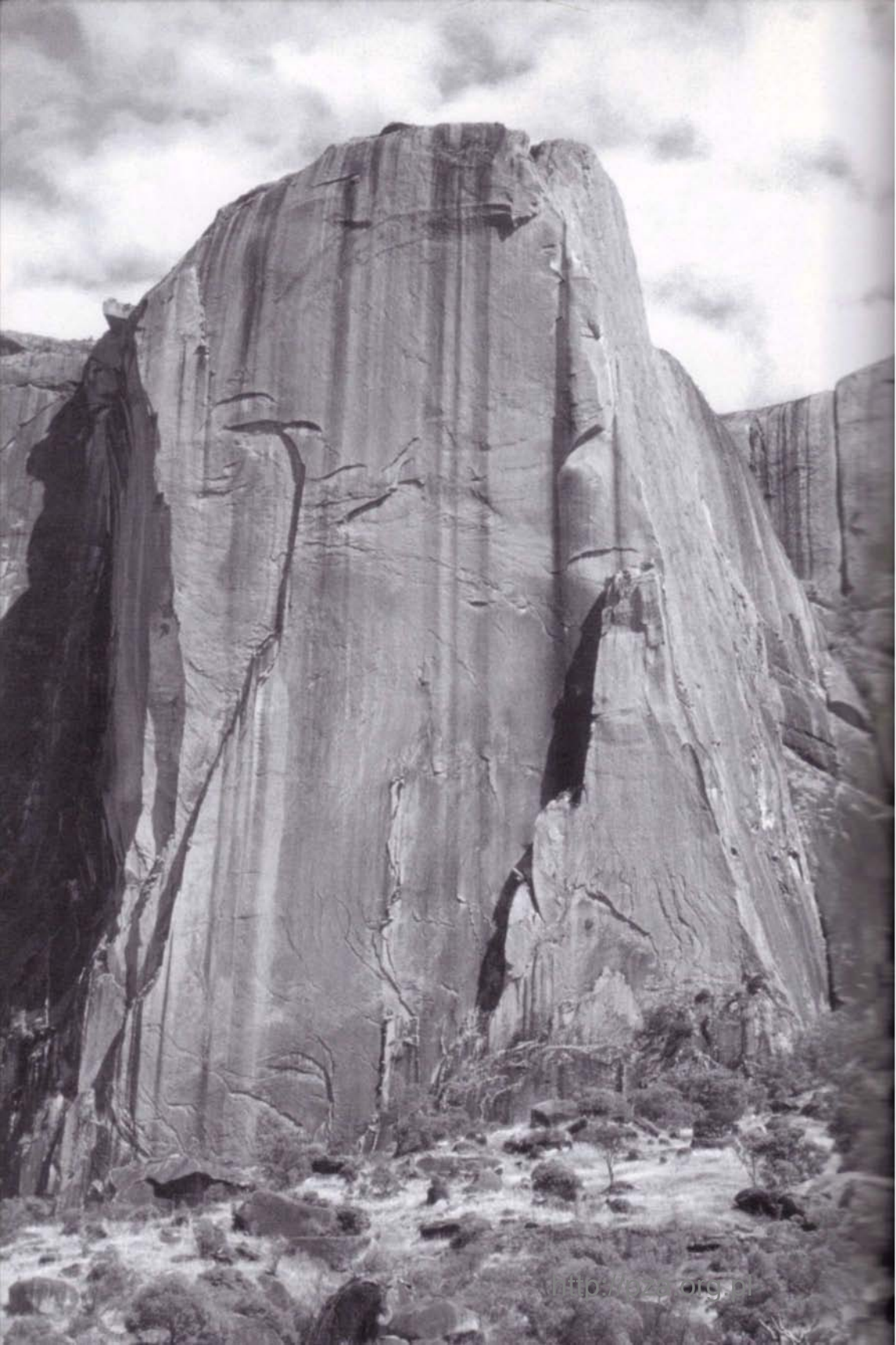
Teraz, aby otrzymać pełnię praw do niej, sieliśmy ją przejść jednym ciągiem, klasycznie.

Dzień odpoczynku przed właściwym przejściem wykorzystaliśmy zgodnie z osobistymi upodobańmi. Była więc książka, fajka, wylegiwanie na słońcu, kąpiele w oczkach wodnych, t. piwa, dyskusje o Japonii i krokodylach. Jednym słowem, całodniowe lenistwo.

8 września był najważniejszym dniem wyjazdu. Tego dnia, wcześniej rano prawie wybiegli z obozu. Byliśmy naładowani energią, maksymalnie sprężeni, ale tam gdzie głęboko schowaliśmy niepokój. Czy damy radę? W końcu nie drogi kawałkami to nie to samo co przebieżenie w ciągu. I jeszcze trzeba zdążyć w jeden dzień a ściana duża i trudności nieliczne. Zwykle w takich momentach podejście wpływa w ciszy, też było i tym razem, szliśmy każdy swoim tempem, zatopieni we własnych myślach.

Pod ścianą szybkie szpejenie i jako pie-dwójka weszli Uśmiech z Gienkiem. Nast





Madagaskar

Boguś i ja, a pomiędzy naszymi dwójkami pomykał na poręczach Jamkoś, zawzięcie filmując historyczne dla nas chwile.

Pierwsze wyciągi zgodnie z przewidywaniami poszły szybko. „Schody” zaczęły się pod strefą przewieszoną. Ale i ją udało się pokonać bez większego bólu. Patrzyłem z nieukrywaniem zadowoleniem, jak Uśmiech, a potem Boguś swobodnie prowadzili te, niemałe przecież, trudności. Jamkoś z boku cykał fotki i kręcił film, a dla niego szczególnie barwnie wyglądał Boguś. Mieliśmy tylko trzy kaski i z konieczności wystąpił w pięknym błękitnym tuareskim turbanie, przywiezionym w zeszłym roku z Mali.

Gdy doczekaliśmy się właściwych trudności, Uśmiech przeprowadził je OS-em, dla niego nawet 7b+ w wielkiej ścianie nie stanowi problemu. Boguś zaliczył krótki, bezpieczny locik, właściwie przysiad i też przedarł się przez kluczowy wyciąg. Ruszając za nim w górę pożegnałem Jamkosia, któremu skończyły się poręczówki i zaczął zjazd na dół, po drodze ściągając portaledz. Zostawił mi też kamerę, z misją filmowania na wierzchołku.

Kolejne wyciągi były nadal wyjątkowe. Na dodatek zaczęło mocno wiać, co biorąc pod uwagę szorstkość skały i wystające gdzieś tam skalne grzybki – powodowało nieustanne zaczeplanie się liny. Za którymś razem nastąpiło to na tyle skutecznie, że lina już nie ruszyła. Zaczęła się (i tu stek wyzwisk) gdzieś 30 metrów w prawo w skos. Nie było wyjścia, musiałem po nią pojechać, prawie w poziomie. Odczepienie jej z grzybka zaowocowało najdłuższym lotem, jaki wykonałem w życiu. To bardzo niemile uczucie: trzymać się jedną ręką ostatniego chwytu ze świadomością, że prędzej czy później (raczej prędzej) będę musiał i tak go puścić i wylecieć w powietrze. To, co nieuchronne, lepiej zrobić od razu. W każdym razie odetchnąłem z ulgą, gdy po kilku koziołko-kręciolkach w powietrzu uderzyłem plecami o przeciwną ścianę zacięcia. Znaczyło to, że ja i lina wytrzymaliśmy.

Podczas moich igraszek z liną Uśmiech z Gienkiem zniknęli nam z oczu za przełamaniem okapu i już do końca drogi ich nie dogonił. Byliśmy dopiero nieco za połową drogi. Woda się skończyła w – odróżnieniu od trudności. Podziwiałem Bogusia pracującego w górę jak maszyna przez kolejne wyciągi. Jeszcze przytrzymał nas

trochę okap (7a+), ale po jego przejściu wiedzieliśmy już, że drogę zrobimy. Pozostawało o tyle pytanie, czy zdążymy przed zmrokiem i czy damy radę zjechać na dół drogą, jak zakładaliśmy. Końcowe wyciągi, jak to zwykle bywa, ciągnęliśmy już siłą rozpędu i na wierzchołku zameldowaliśmy się pół godziny przed zmrokiem. Po Uśmiechu i Gienku pozostała tylko lina i rezerwowa wiertarka (planowaliśmy jeszcze przesunąć nieco linię zjazdów na czterech najniższych wyciągach). Nie mieliśmy czasu nawet nacieszyć się wierzchołkiem, szybkie zdjęcia, kawałek filmu i weszliśmy w zjazdy objuczeni swoim – i nie tylko – sprzętem.

Miałem pewne obawy przed nocnym zjeżdżaniem przy tak wiejącym wietrze, mając świeżo w pamięci zaczepiającą się linę. Powtórzenie się takiej sytuacji groziło spędzeniem upojonej nocy wisząc w środku ściany, kilkaset metrów nad śpiworem i wodą.

Odliczałem kolejne zjazdy, które pozostawały nam do „gleby”. Odetchnąłem dopiero, gdy dojechalibyśmy do poręczówek, tam już krzywdą nam nie groziła. Po trzech godzinach (tempo wybitnie ekspresowe jak na 600 metrów trudnych zjazdów nocą) zameldowaliśmy się pod ścianą, obwieszeni jak choinki wszelakim sprzętem, linami i poręczówkami. Cali i zdrowi, a to było najważniejsze.

Na dole miła niespodzianka. Uśmiech z Gienkiem, którzy schodzili dookoła masywu, podeszli z powrotem pod ścianę i czekali na nas. Zaniepokoił się, gdy na dole zamiast nas zobaczyli pozostawiony w nieładzie sprzęt. Wyglądało to na szybki odwrót, który natychmiast nasuwał myśl o wypadku. Odetchnęli dopiero, jak zobaczyli w nocy nasze czołówki, którymi przyswiecaliśmy sobie na stanowiskach zjazdowych.

Zaczęły się najmiłsze chwile. Potwornie zmęczeni, ale szczęśliwi wyściskaliśmy się nawzajem. Wyciągnąłem też spod kamienia zamelinowaną tam wcześniej na tę okoliczność manierkę z koniakiem. Smakował jak nigdy.

I już nie spiesząc się zeszliśmy na dół do obozu.

Ostatnie dni na Camp Catta spędziliśmy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Dwie nowe drogi zrobione, w tym jedna wyjątkowo trudna i wymagająca. Kilka wartościowych powtórzeń też miało znaczenie. Ale dla Uśmiecha i Bogusia było to wciąż mało.

Waldi

Madagaskar

MALAGASY JAMMING (ZAPIERACZKA)

Do wyjazdu pozostało nam jeszcze kilka dni i zgodnie z wcześniejszymi planami zamierzaliśmy jeszcze powtórzyć jakąś ciekawą wspinaczkę.

Boguś myślał o drodze szwajcarskiej na głównej ścianie Tsaranoro, ja już byłem jednak trochę zmęczony niekończącymi się płytami. No i już dużo wcześniej ostrzyłem sobie zęby na *Rain Boto* (420 m, 7b+) pierwszą w ogóle drogę w rejonie, wiodącą efektownym filarem Karambony. Początkowo planowaliśmy wybrać się tam z Gieniem, ale stan jego stóp po dwugodzinnym zejściu w bucikach *five-ten* przez dżunglę i piargi nie pozwalał jeszcze na założenie ciasnego obuwia. Przekonałem więc do pomysłu Bogusia.

Rain Boto, poprowadzona w roku 1995 przez Kurta Alberta i Bernda Arnolda, to jedyna droga w okolicy biegnąca w dużej części systemem rys, pozwalających na założenie własnej asekuracji. Płytowa część została obita spitami, ale Niemcy posługiwali się ręczną spitownicą, toteż nie zostawili nadmiaru stałych przelotów. Z płytami byliśmy oswojeni i mimo kiepskiego „obicia”, jakoś nas one nie odstraszały. Gorzej przedstawiała się kwestia asekuracji w dolnych rysach, które są miejscami za szerokie nawet dla największego *Camalota*, a my posiadaliśmy jedynie o wiele mniejsze *friendy*. Jednak w hiszpańskim komentarzu znalezionym w miejscowej „książce wyjść” przeczytaliśmy coś o kółkach drewnianych i wpadliśmy na pomysł łącznego użycia *friendów* i kółek. To znaczy *friend* miał opierać się z jednej strony o brzeg szczeliny, z drugiej o kółek.

Z wykonanymi na miejscu w warsztacie kółkami ruszyliśmy pod ścianę. Rysy, choć wyglądały na te w rodzaju najbardziej ponurych typu *off-width*, okazały się dość łatwe, a to dzięki chwytom na bocznych ścianach, więc, mimo że miejscami było w nich zbyt szeroko nawet na nasze kółki, uporał się z nimi dość szybko. W płytach przez pierwszy trudny wyciąg (opisany 7b) Boguś dosłownie przemknął i zaczęliśmy się zastanawiać, czy aby starzy mistrzowie nie zawyżyli trudności drogi. Jednak na następnych wyciągach nie było już taryfy ulgowej. Najpierw Boguś walczył w 30-metrowym kominowatym

zacięciu, ubezpieczonym zaledwie dwoma spitami (6c), które to zacięcie z trudem przeszedłem na drugiego. Później zaś ja zmagalem się z kluczowym wyciągiem (7b+) w przewieszonej ryse, z której przechodziło się w *dilfera* na obłym kancie. Tutaj nie obyło się bez lotu.

Wyżej zostały nam tylko płyty, oswojone na wcześniejszych wspinaczkach, tyle że obite jeszcze oszczędniej niż to zwykle w tej okolicy bywa. W niektórych miejscach odległości między spitami były tak duże, że trudno było wypatrzyć schowany gdzieś za wybrzuszeniem skały kolejny przelot, zaś na rozciągającym się wokół morza płyt nie było żadnych wskazówek co do dalszego przebiegu drogi. No i w pewnym momencie prowadzący Boguś, zamiast w lewo, poszedł trochę w prawo, a ja, mimo upału, dostawałem dreszczy, obserwując jego 10-metrowe zejście do ostatniego spita w niezwykle czujnym, tarciovym terenie 6c.

Ostatnią atrakcją było przejście przez wypukany w skałę, głęboki na kilka metrów wąwóz, zakończony niczym w jaskini gładką studzienką, na szczęście na tyle wąską, że dało się ją pokonać zapieraczką. Na wierzchołku zgodnie stwierdziliśmy, że była to najefektowniejsza i najbardziej urozmaicona droga na tym wyjeździe. Według szefa obozu Christiana dokonaliśmy prawdopodobnie jej trzeciego przejścia. Wreszcie osiągnęliśmy stan pełnego nasycenia skałą i mogliśmy udać się na zasłużone wczasy nad morzem.

Uśmiech

WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ KOŃCZY

Ekipa powoli żegnała się z gościnnym obozem. Gieniu dokumentował przejście chłopaków na Karambony. Jamkoś i Marzena wędrowali po okolicy w poszukiwaniu ostatnich fajnych zdjęć, a w przerwie powtórzyli drogę *Alien* (300 m, 6a) na Karambony. Waldek z Igorem w ramach naprawiania nadwątlonych relacji ojciec-syn zdobyli jeden z okolicznych nie-trudnych szczytów.

Tymczasem ja, ofiara lotniczo-filmowych ambicji, po operacji ręki na wyspie Réunion ścigałem wyprawę. Byłem całkowicie zdeterminowany, by dogonić towarzystwo jeszcze przed wylotem z An-



Madagaskar

tananarivo. Mało brakowało i nic by z tego nie wyszło. Szanse powrotu do Camp Catta przekreślili – o ironio losu – piloci. Strajk na lotnisku w St. Denis przedłużył mój pobyt na wyspie o dwa dni. Ale i tak udało się. Szaleńczy pościg komunikacją lokalną przez pół Madagaskaru skończył się na pustyni. Samochód wyprawy wyłonił się z kurzu. Radość ze spotkania była obustronna.

Teraz już w komplecie mogliśmy udać się na kilkudniowy wypoczynek nad oceanem, należny wszystkim. Trzy dni w kurorcie Isfata na zachodnim wybrzeżu, wśród raf koralowych i krabów, dopełniło rajskich wrażeń.

* * *

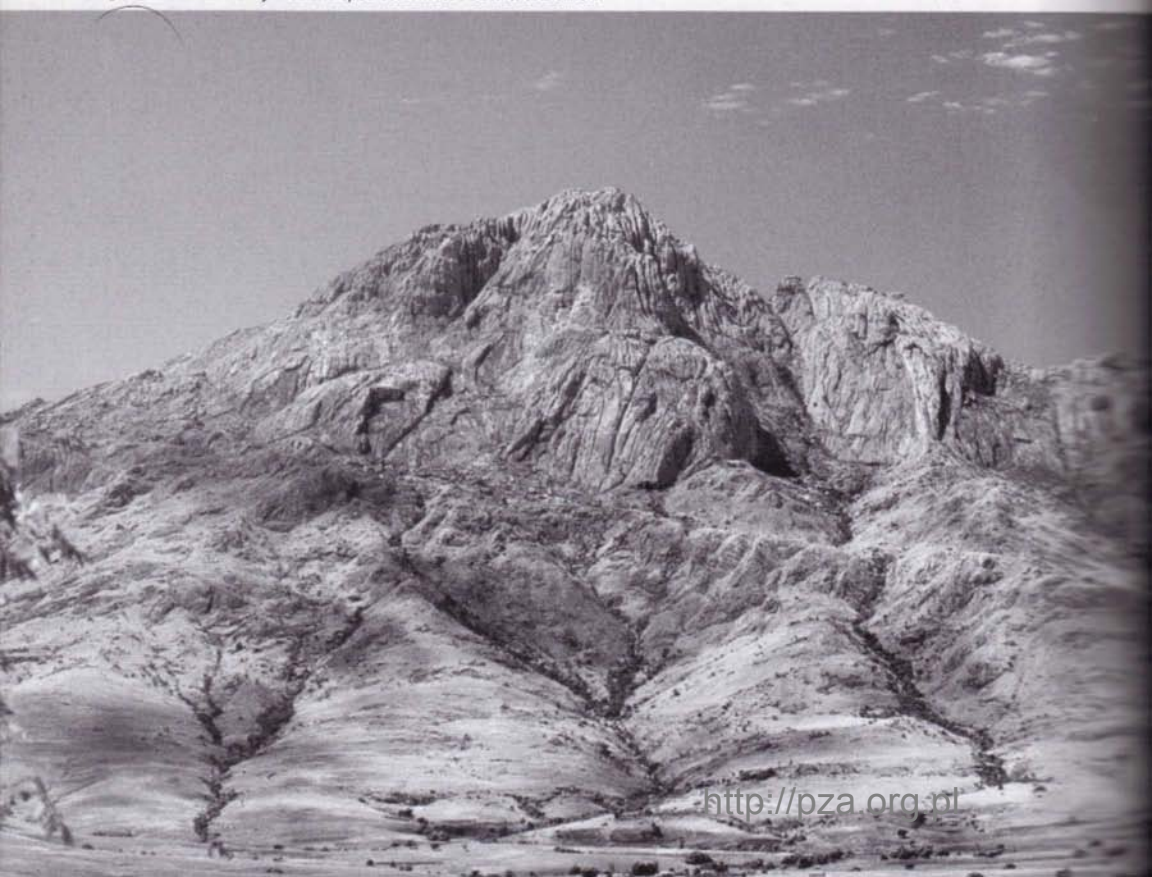
Choć relacja utrzymana jest w tonie żartobliwo-wypoczynkowym, nie należy nie doceniać sukcesu wyprawy i włożonego wysiłku. Droga *Cucumber's Flying Circus* (600 m, 7b+) okazuje się najtrudniejszą wielkościanową i zarazem czysto kla-

syczną wspinaczką wytyczoną przez Polaków na świecie, a *Tato, Tato* (1000 m, 6a) pierwszą polską drogą na Madagaskarze. Powtórzenia kilku innych solidnych dróg także świadczą o tym, że wspinanie było priorytetem wyprawy, a gdyż nie niefortunne przypadki, wyniki byłyby jeszcze lepsze. Do nazwisk takich gigantów skały i znanych z setek dokonań obiężyświatów jak Kurt Albert, Michel Piola, Lynn Hill, Mike Libecki czy Mike Turner oraz tuzina błyskotliwych młodszych wspinaczy, dodaliśmy tu nazwiska polskich. Zmieściliśmy się jeszcze na najważniejszej ścianie, na drodze ocenionej nie tylko jako trudna, ale i godna polecenia ze względów estetycznych. Jak to już w historii taternictwa bywało, dosłownie o dni minęliśmy się z silną ekipą z południa Tatr, tym razem byliśmy pierwsi.

Życzę wszystkim podobnych osiągnięć, a także posmakowania tutejszej skały.

Wspinacze na Madagaskar!!!

„Tatrzańska” Le Dondy widziana spod Tsaranoro. Fot. Michał Zieliński.



Madagaskar

Informacje praktyczne

Przelot

Trudno znaleźć regularne połączenie lotnicze pomiędzy Europą a Madagaskarem za mniej niż 1400 dolarów od osoby (i taką cenę ma PLL Lot czy Air France). Tańszym wyjściem są połączenia czarterowe. Koszt przelotu LOT-em do Paryża i potem np. liniami Corsair

<http://www.corsair.fr/international>

na wyspę powinien zmieścić się poniżej 1000 dolarów (bilety np. w agencji:

Nouvelles Frontieres

<http://www.nouvellesfrontieres.com>

tel. na Madagaskarze +261 20 22 312 10.

Również z niektórych lotnisk w Niemczech lot na Madagaskar kosztuje ok. 2000 marek. Jeśli planuje się przeloty na wyspie, warto zastanowić się nad skorzystaniem z **Air Madagascar** (loty z Paryża i Rzymu), które dają wtedy 50% zniżki na przeloty wewnętrzne.

Wiza

Dostaje się niemal automatycznie na lotnisku w stolicy kraju **Antananarivo**. Koszt ok. 220 franków francuskich. Zdjęć nie potrzeba.

Pieniądze

Za każdego franka francuskiego (FRF) dostanie się ok. 920 franków malgaskich (FMg), co dawalo nam przelicznik 1000 FMg za ok. 66 groszy. Karty kredytowe można śmiało zostawić w Europie. Średnia pensja na Madagaskarze: 250 tys. FMg (ok. 165 złotych!). Piwo: 4,5 tys. FMg (sklep), 9 tys. FMg (Camp Catta). Dochód na głowę mieszkańca ok. 200 dolarów rocznie.

Zdrowie

Przed wyjazdem na wyspę, podczas pobytu i cztery tygodnie po powrocie trzeba lykać tabletki zapobiegające malarii. Dobrze jest zaszczyć się przeciw żółtaczkom (A+B), tężcowi i durowi brzuszemu. Uwaga na zwierzęta na wyspie występują skorpiony i kilka innych niebezpiecznych gatunków pajaków oraz krokodyl. Nie zaleca się picia wody nieprzegotowanej lub nieprzefiltrowanej oczywiście z wyjątkiem wody butelkowanej. W razie poważniejszych problemów zdrowotnych lepszą opiekę, np. chirurgiczną, otr-

zymamy na „sąsiedniej” (700km) wyspie Reunion niż w szpitalu w stolicy Madagaskaru.

Podróżowanie po wyspie

Trudne i kosztowne. Dla większych ekip poleca się wynajęcie samochodu (najlepiej mikrovan z kierowcą i napędem na 4 koła). Ze stolicy na ścianę Tsaranoro można dojechać za 2000 franków francuskich (w cenę wliczony jest kierowca w **Fianarantsoa**) 10-osobową furgonetką. Agencja: **Les Lézards de Tana, Gilles Gautier**, Antananarivo 101.

tel.+261 2022351 01, fax +261 20 22 354 50.

lezard@bow.dts.mg Można też dojechać za ten sam kwot tej kwoty wynajmując na krótkie odcinki lokalnych kierowców (tak uczyniła ekipa z **Lezards**), panii i niektórzy indywidualni wspinacze). Między większymi miastami wyspy dobrze funkcjonują połączenia lotnicze Air Madagascar.

Nocleg

Pod Tsaranoro w odległości 30 min. od portu ścian znajduje się **Camp Catta** minibaza turystyczna prowadzona przez jednego z „Lezards” (udziałowców wspomnianej agencji **Les Lézards**) **Christiana de Laroche**. Spanie w tej bazie w własnych namiotach wydaje się być jedynym sensownym rozwiązaniem dla osób chcących skoncentrować na wspinaniu. Koszt (z wyżywieniem i smacznym wyżywieniem) to ok. 60-80 franków dziennie (nie licząc kosztów piwa), można wybrać kilka różnych opcji. Inny okresowy obóz znajduje się dwie godziny marszu od masywu.

Kiedy jechać

Wiele wskazuje na to, że najlepszym okresem odwiedzania Madagaskaru jest wrzesień - październik lub maj-czerwiec.

Sprzęt

Lina 2x60 m lub kilka m więcej, 20 ekspresów, kask. Kości i friendly są przydatne nie tylko w trudnych warunkach. Najbardziej strome ściany cechuje pletny brak pól skalnych i dlatego bardzo często wymagane są składane wiszące platformy białe lub czarne z portaledge. W ścianie przyda się odzież z wytrzymałą z membraną przeciwwiatrową, a nawet z goreteksu. Na nizinach warto mieć coś podobnego do komarom.

Madagaskar

Informacje praktyczne

Przelot

Trudno znaleźć regularne połączenie lotnicze pomiędzy Europą a Madagaskarem za mniej niż 1400 dolarów od osoby (i taką cenę ma PLL Lot czy Air France). Tańszym wyjściem są połączenia czarterowe. Koszt przelotu LOT-em do Paryża i potem np. liniami Corsair

<http://www.corsair.fr/international>

na wyspę powinien zmieścić się poniżej 1000 dolarów (bilety np. w agencji:

Nouvelles Frontieres

<http://www.nouvellesfrontieres.com>

tel. na Madagaskarze +261 20 22 312 10.

Również z niektórych lotnisk w Niemczech lot na Madagaskar kosztuje ok. 2000 marek. Jeśli planuje się przeloty na wyspie, warto zastanowić się nad skorzystaniem z **Air Madagascar** (loty z Paryża i Rzymu), które daje wtedy 50% zniżki na przeloty wewnętrzne.

Wiza

Dostaje się niemal automatycznie na lotnisku w stolicy kraju **Antananarivo**. Koszt ok. 220 franków francuskich. Zdjęć nie potrzeba.

Pieniądze

Za każdego franka francuskiego (FRF) dostaniemy ok. 920 franków malgaskich (FMg), co dawało nam przelicznik 1000 FMg za ok. 66 groszy. Karty kredytowe można śmiało zostawić w Europie. Średnia pensja na Madagaskarze: 250 tys. FMg (ok. 165 złotych!). Piwo: 4,5 tys. FMg (sklep), 9 tys. FMg (Camp Catta). Dochód na głowę mieszkańca ok. 200 dolarów rocznie.

Zdrowie

Przed wyjazdem na wyspę, podczas pobytu i cztery tygodnie po powrocie trzeba łykać tabletki zapobiegające malarii. Dobrze jest zaszczepić się przeciw żółtaczkom (A+B), tężcowi i durowi brzuszemu. Uwaga na zwierzęta na wyspie występują skorpiony i kilka innych niebezpiecznych gatunków pajaków oraz krokodyle. Nie zaleca się picia wody nieprzepracowanej lub nieprze-filtrowanej oczywiście z wyjątkiem wody butelkowanej. W razie poważniejszych problemów zdrowotnych lepszą opiekę, np. chirurgiczną, ot-

rzymamy na „sąsiedniej” (700km) wyspie **Réunion** niż w szpitalu w stolicy Madagaskaru.

Podróżowanie po wyspie

Trudne i kosztowne. Dla większych ekip polecane jest wynajęcie samochodu (najlepiej mikrobusa z kierowcą i napędem na 4 koła). Ze stolicy pod ścianę Tsaranoro można dojechać za 2000 franków francuskich (w cenę wliczony jest nocleg w **Fianarantsoa**) 10-osobową furgonetką agencji: **Les Lézards de Tana, Gilles Gautier**, Antananarivo 101.

tel. +261 2022351 01, fax +261 20 22 354 50,

lezard@bow.dts.mg Można też dojechać za ułamek tej kwoty wynajmując na krótkie odcinki lokalnych kierowców (tak uczyniła ekipa z Hiszpanii i niektórzy indywidualni wspinacze). Pośród większych miastami wyspy dobrze rozwinięte są połączenia lotnicze Air Madagascar.

Nocleg

Pod Tsaranoro w odległości 30 min. od podnóżu ścian znajduje się **Camp Catta** minibaza trekkingowa prowadzona przez jednego z „Lezardów” (udziałowców wspomnianej agencji **Les Lézards**), **Christiana de Laroche**. Spanie w tej bazie (we własnych namiotach) wydaje się być jedynym sensownym rozwiązaniem dla osób chcących się skoncentrować na wspinaniu. Koszt (z pełnym i smacznym wyżywieniem) to ok. 60-80 FRF dziennie (nie licząc kosztów piwa), można wykupić kilka różnych opcji. Inny okresowy obóz znajduje się dwie godziny marszu od masywu.

Kiedy jechać

Wiele wskazuje na to, że najlepszym okresem do odwiedzania Madagaskaru jest wrzesień-październik lub maj-czerwiec.

Sprzęt

Lina 2x60 m lub kilka m więcej, 20 ekspresów, kask. Kości i friendly są przydatne niezwykle rzadko. Najbardziej strome ściany cechuje kompletny brak półek skalnych i dlatego bardzo pożądane są składane wiszące platformy biwakowe, portaledge. W ścianie przyda się odzież z polara, z membraną przeciwwiatrową, a nawet kurtka z goreteksu. Na nizinach warto mieć coś przeciw komarom.

Madagaskar



Przewodniki

Lonely Planet: „Madagascar & Comoros” (nazw był nieco zdezaktualizowany, ale wiosną 2001 ukazało się nowe, 4 wyd.) i Bradt Travel Guide: „Madagascar”.

Obszerne źródła internetowe

O wspinaczkach na Madagaskarze:
www.climbingusa.com
www.madamax.com/lezards
www.campcatta.com

Bezpieczeństwo

W porównaniu z Polską, a nawet Afryką kontynentalną, Madagaskar jest krajem spokojnym i przyjaznym dla turystów. Co nie oznacza, że wolno wyłączyć zdrowy rozsądek przy nawią-

zywaniu nowych znajomości. Na drogach częste są kontrole policyjne przy wjazdach do miast.

Najbliższa polska placówka dyplomatyczna znajduje się na kontynencie w stolicy Kenii Nairobi. [MJ]

PODZIĘKOWANIA

Nigdy w życiu nie dalibyśmy rady zorganizować ekspedycji na Madagaskar, gdyby nie ogromna pomoc finansowa, jaką otrzymaliśmy od firm i organizacji, przede wszystkim: PZU Życie i Polskiego Związku Alpinizmu, „Gazety Wyborczej” oraz Hilti.

Wielkiego wsparcia udzieliło nam również wielu wspólnych ludzi z firm: AMC, Bachleda Sport, Canon, Fixe, Kodak Polska, Natalex, PLL Lot w Krakowie, Sklep Górski „Wierchy” w Krakowie oraz Sklepy Sportowe na Mariensztacie (w Warszawie).

Polish Pilar w Pakistanie

Marcin Tomaszewski

W poprzednim numerze informowaliśmy w krótkiej notatce o sukcesie zespołu Marcin Tomaszewski i Krzysztof Belczynski, którzy w dniach 01.07-30.07.2001 przebywali w rejonie Nangmah w północnym Pakistanie. Po niedanej próbie na monolicie Amin Brakk wytyczyli nową drogę na szczycie Den Bor. Wierchołek osiągnięto 24 lipca po ośmiiodniowej akcji.

Ta pierwsza wspinaczka na zachodniej ścianie rozwiązała piękny filar środkowej Turni nazwanej przez polskich zdobywców Polish Pilar. Nazwa drogi – „Tańcząc w ciemnościach” – nawiązuje do dużej ilości „pajaków” jakie wspinacze musieli wykonać szukając drogi pomiędzy formacjami skalnymi.

Całość wyceniona została na VI big wall VII, A3+, 600 m

Nad całą doliną górują wielkie ściany Great Tower, Green Tower oraz oczywiście mityczny Amin Brakk, na którym w zeszłym roku Hiszpanie zrobili w miesiąc poważną drogę o trudnościach A5/5+. Po założeniu bazy rozpoczęliśmy akcję górską.

Na pierwszy ogień poszedł Amin Brakk i wypatrzona przez nas w lewej części wspaniała lekko wywieszona płyta z delikatną rzeźbą. Gdy po tygodniu poręczowania i transportu sprzętu wbił się wreszcie w ścianę rzeczywistość okazała się nieco inna. Formacje mające doprowadzić nas do pięknego wyprowadzającego pod wielki okap zacięcia były nie do użycia ze względu na wielkie bloki luźno związane ze ścianą. Po wyciągu, na którym zmuszeni byliśmy obchodzić wszystkie wiszące wampiry na bad hookach, podjęliśmy decyzję o odwrocie. Sama myśl o wierceniu pięciu wyciągów aż do zacięcia wzbudzała w nas dreszcze i skurcze w nadgarstkach. Pragnęliśmy pięknej logicznej linii, na ile to tylko w Nangmah możliwe. Po kolejnym tygodniu działaliśmy już na Den Bor, wspaniałej trójwierchołkowej górze o dziewiczej zachodniej ścianie. To było to! Wspaniałe monolityczne formacje, przewieszenie w dolnych partiach, ostry jak brzytwa pik, tego nam było trzeba.

Akcja zajęła nam osiem dni, skała okazała się na tyle krucha, że wspinaczka klasyczna w ogóle nie wchodziła w grę. Osypujące się krawędzie szczelin regularnie wypluwały z siebie osadzone friendly, haki zabijane niekiedy w mułowaty gra-

nit wychodziły nazbyt łatwo. Ale przecież nie miało być łatwo, każdy trudny wyciąg był dla prowadzącego niezłą przygodą. Krzysiek na kilku swoich odcinkach liny bardzo żałował, że nie zabraliśmy ze sobą gogli. Pod koniec dnia okruchy granitu miał dosłownie wszędzie, nawet w bieliźnie – nie wiem co on tam na górze wyprawiał. Mnie z kolei przypadła seria offwidthów o szerokości jedynej zabranej przez nas piątki camalota. Całe wyciągi przepychałem się wspomagając się niekiedy numerem cztery i pół. Strasznie byłem wzięczny Krzychowi, że kupił przed wyjazdem te rozmiary. W szczytowych partiach drogi trzy wyciągi pod naszym portalem Krzychu uderzył na niewinnie wyglądającą ryskę, pajakiem wprost ze stanowiska wgrzył się w nią wpięrw kilkoma jedynkami. Po dziesięciu metrach nie pozostało mu nic innego jak tylko walić copperheady i rozbijać kostki RP w kruszącej się skale. Nie zdążyłem nawet za bardzo zdrtwićć na stanie, gdy zasygnalizował posiadanie auta. Kolejny ostatni pikowy wyciąg był mój. Bijąc jedynki do ostatnich metrów i przeciskając się przez szczytowy komin osiągnąłem szczyt. Z posiadanych przez nas informacji nie powinna znajdować się na nim przerzucona przez blok biała pętla ...a znajdowała się, czułem się jak wycięty z dobrego żartu. Ściągnąłem Krzycha, a stojąc na szczycie doznaliśmy uczucia skończonego dzieła, jeszcze tylko zjazd i baza. Przez cały pobyt w Nangmah dzielnie dokumentowaliśmy okolice i walczyliśmy z dostarczoną nam przez Grzegorza Głazka GPS-em, który pomimo próśb i pogroźek nie chciał z nami współpracować. Poza pokonaną nową drogą na szczycie Den Bor w dolinie Nangmah przywieźliśmy do kraju wiele cennych informacji dla wszystkich, którzy chcieliby kiedyś spróbować granitu w Pakistanie.

Za wsparcie dziękujemy Polskiemu Związkowi Alpinizmu, firmie Mount & Wawe oraz Wojtkowi Kurtyce i Grzegorzowi Głazkowi za cenne informacje o dolinie.



Cho-Oyu' 2001

pocztówki z wyprawy

Anna Czerwińska

Cho-Oyu to 5. ośmiotysięcznik A. Czerwińskiej. Poniżej gorąca, choć lakoniczna relacja z wyprawy.(red.)

Działalam w ramach tzw. International Expedition organizowanej przez Agencję Asian Trekking z Kathmandu. Była nas siódemka *membersów* dwóch Japończyków, dwóch Norwegów, Austriak, mieszkaniec Lichtensteinu i ja. Baza i kuchnia w bazie były wspólne, w górach działaliśmy niezależnie.

28 sierpnia startujemy z Kathmandu. Jazda rozmyta przez monsun szosą, perypetie z przenoszeniem przez obrywy bagażu. W nocy w ścianę naszego hoteliku w Kodari uderza potężny głaz, który spadł ze zbocza ponad wioskę. Zarysowują się ściany. Piękny początek!

5 września poprzez Zangmu (2800), Nyalam (3500), Tingri (4200), bazę chińską (4700), docieramy do bazy wysuniętej (5700). Nie ma jeszcze wielu wypraw, pogoda w kratkę.

7 września jeden z Norwegów musi opuścić bazę z powodu obrzęku płuc.

8 września razem z Szerpą Pasangiem zakładam oboz I (6400). W bazie wysuniętej umiera Koreańczyk na chorobę wysokościową karygodnie zaniedbaną przez jego kolegów.

12 września dociera do nas wiadomość o ataku terrorystycznym w Ameryce. Różne reakcje. Dominują przerażenie, smutek i gniew.

13 września transportowe wyjście do obozu I.

17 września założenie obozu II (7050).

19 września transport z obozu I do II.

21-23 września okres pięknej pogody, pierwsze w sezonie wejścia szczytowe.

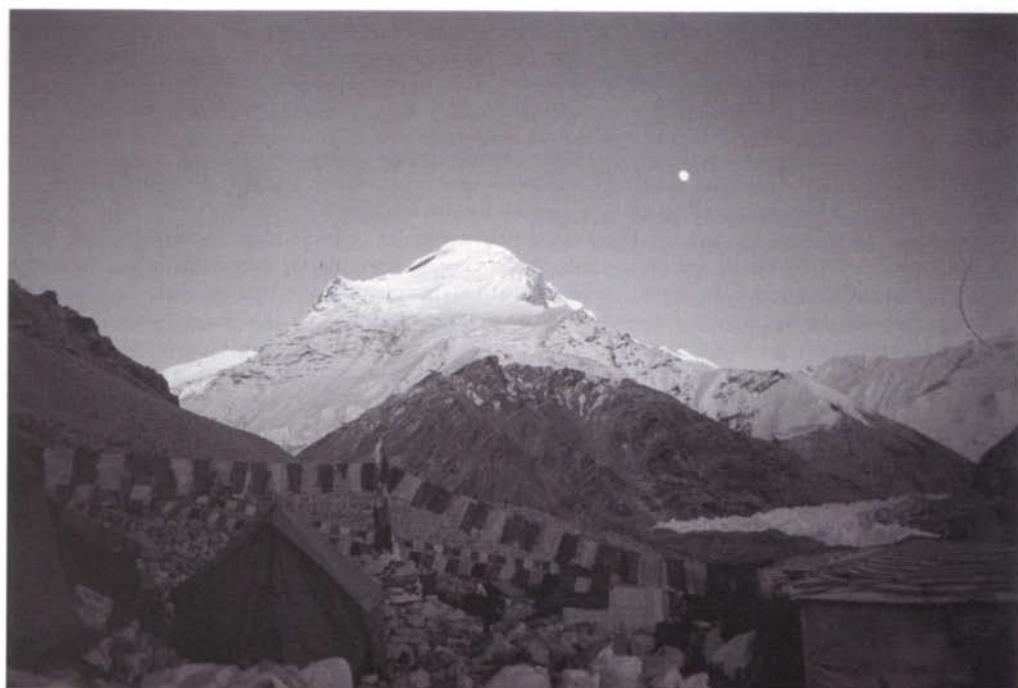
24 września założenie obozu III (7400). Po południu spory opad śniegu. Panika, że pogoda właśnie się kończy. Postanawiamy wraz z Pasangiem wyruszyć bardzo wcześniej.

25 września startujemy 1.15 w nocy. Przed nami rząd światełek.. Jest bardzo zimno, podmuchy lodowatego wiatru. Na podejściu pod skalny próg ponad obozem wycofują się dwie osoby mają tlen, więc to zapewne klienci. Na uskoku zator. Czekamy w stromym śniegu. Znow ktoś schodzi. Stoję beczynnie w ciemności, a wiatr zwiewa na mnie śnieżny pył. Coraz zimniej. Kilka metrów skały, do której wreszcie się dorwałam, nie jest w stanie dać mi ciepła. Wyżej wiatr nasila się kąpiemy coś w rodzaju platformy i usiłujemy rozgrzać stopy, co w butach one-sport nie jest takie łatwe. Świta. Teren stromieje. Przed nami ludzkie punkciki chwilami niknące w chmurach. Idziemy za nimi. Mija nas wracający zespół drobny Szerpa trzyma na sztywnej linie faceta w masce tlenowej, który zsuwa się w dół na tyłku. Na płaskim plato podszczytowym spotykamy następnych schodzących. *Prayer flags* mówi Pasang i pokazuje mi coś przed nami. Nic nie widzę, ale idę za nim potykając się o nierówności terenu. Gdy dochodzimy do chorągiewek, Pasang zawiesza zabraną z bazy białą szarfę (tzw. kata) otrzymaną podczas ceremonii *puja*. Jesteśmy na szczycie, ale wcale tego nie czuję. Wokół chmury, nici z oglądania legendarnej panoramy. Kilka zdjęć i trzeba schodzić. To wszystko. Po południu docieramy do *dwójki*. Miło, ciepło, dużo mgieł.

26 września baza. Gdy rozpakowuję plecak, znajduję swoją *kata*, którą, tak jak Pasang, chciałam zostawić na górze, a później zupełnie o niej zapomniałam. No cóż brak tlenu... Jest na niej napisane: *Thank you Cho-Oyu. Anna.*



Droga do obozu II. Fot. A. Czerwińska



Widok na Cho-Oyu o zachodzie słońca z Bazy Wysuniętej II. Fot. A. Czerwińska





Schronisko literackie

Ciemność i błękit

Anne Sauvy

Byla godzina, w której nad Alpami, w rzeźkości ustępującej nocy rodził się nowy dzień. Niepostrzeżenie gasły gwiazdy. Świt jeszcze nie nastął, lecz pierwsze przebłyski światła kładły się głębokim błękitem na aksamitnej miękkości ośnieżonych zboczy, wznoszących się aż po krańce nieba.

W tej samej chwili gdzieś w świecie tętniła codzienność.

W Rio ostatni amatorzy nocnego życia z gorzkim posmakiem skrajnego wyczerpania w ustach, wracali właśnie do swych hoteli w starannie zamkniętych od środka taksówkach, które z obawy przed napadem nie zatrzymywały się nawet na czerwonym świetle.

W Istambule muzułmańscy fundamentaliści podłożyli paczkę-pułapkę pewnemu profesorowi, znanemu ze swych działań na rzecz praw człowieka. Czynili to nie po raz pierwszy, głęboko przekonani, że zbrodnia powstrzyma każdego, kto ośmieliłby się sprzeciwić gloszonym przez nich prawom.

W Piwowarce, w głębi syberyjskiej tajgi, trwała ekshumacja trzytysięcznej ofiary kolejnego stalinowskiego łagru. Nie ostatniej...

Wydmuchiwane przez kominy rafinerii, cementowni i tylu innych zakładów przemysłowych, tysiące ton toksycznych pyłów w swym codziennym rytuale spowijały niebo nad Meksykiem.

Dwóch zabitych w strefie Gazy, gdzie palestyński kierowca ciężarówki umyślnie uderzył w izraelski samochód.

Na Filipinach wybuchł wojskowy pucz. W Cagayan de Oro zbuntowany pułkownik, otoczony setkami zwolenników proklamował „wojnę wyzwolenczą”. Natychmiast wysłane zostały dwa T-28 dla zbombardowania rebelianckich pozycji.

Po gwałtownym spadku kursów giełda tokijska weszła na drogę szybkiej besy; indeks Nikkei stracił 1138 punktów, czyli 4,82%. Przekroczony został tym samym kolejny próg, co stanowi zapowiedź istotnego naruszenia równowagi gospodarczej. Specjaliści są zaniepokojeni.

W Hammamet czterdziestoletni homoseksualista z Hamburga, w poszukiwaniu świeżego towaru za garść dinarów poderwał młodego Tunezyjczyka; spędził z nim noc prawdziwej rozpusty i zaraził go wirusem HIV.

W Medellin wybuchł ładunek dynamitu podłożony w piwnicy budynku, w którym ukryto laboratorium obróbki kokainy. W grę wchodzi porachunki między rywalizującymi kartelami, walczącymi o kontrolę rynku nowojorskiego. Wybuch zmiotł z powierzchni cały budynek, zabijając osiemnaście osób, w tym sześcioro dzieci i raniąc czterdzieści innych.

Pasem startowym w Kambodży uchodzą wieśniacy z niewielkim dobytkiem. Dla siana niepewności i utrzymania terroru komando Czerwonych Khmerów właśnie zamordowało szefa ich wioski.

W Bejrucie pod podłogą samochodu wiozą jeńca; jest związany i zakneblowany.

W Cergy-Pontoise dwa młodzieżowe gangi starły się na noże i broń na śrut. Są ofiary śmiertelne, lecz rząd woli to przemilczeć, zajęty polityką zagraniczną i obłaskawianiem swego elektoratu.

Niespodziewanie mudzahedini ostrzelali pociskami raketowymi dzielnicę Kabulu Kushal-Khan. Śmierć poniosło jedenaście osób, ponad trzydzieści jest rannych.

Wzdłuż wybrzeży kanadyjskich z dziurawych zbiorników tankowca, płynącego pod flagą irańską, niewyposażonego w podwójny kadłub, wyciekło osiem tysięcy ton ropy.

Uzbrojeni Tutsi przekroczyli granice Ugandy, by zmasakrować w Rwandzie swych dziedzicznych wrogów, Hutu.

Wśród rozpaczliwych krzyków na Morzu Chińskim tonie boat-people.

Niedaleko Czernobyla ośmioletnie dziecko bez brwi, rzęs i włosów, ze skórą żartą wrzodami straciło przytomność w jakimś nędznym ambulatorium na przedmieściach Kijowa. Reaktory pierwszej generacji w Kursku, Leningradzie i Smoleńsku nadal pracują, by jak najszybciej osiągnąć zaplanowaną moc 50 gigawatów.

W Melbourne Wallace Bank Rumount S.A. holding jednego z największych producentów cementu na świecie przedstawił do publicznej oferty kupna Angus Cement Ltd, jeden z czterech rekinów australijskiego betonu. Kirset, filia W.B.M.K. dawała 4,85 dolara australijskiego za akcję i 5,60 za obligacje wymienne.

W każdym miejscu globu ziemia wchłaniała metale ciężkie, pestycydy i azotany. Zatrutowano rzeki, ginęły lasy, palone, ścinane lub przeżarte przez kwaśne deszcze.

Świat toczył się zwykłym rytmem. Świat taki, jakim go uczynili ludzie; taki, jaki służy ich ambicjom i pragnieniom; taki, jakim go tworzą i zmieniają, wreszcie taki, jakiego pragną. Nasz świat.

I w tej właśnie chwili, gdy w tysiącach miejsc na ziemi rozgrywały się tragedie tak codzienne, że każda następna zamiast powiększać ogrom dramatu, tylko go banalizuje, bladem, górskim świtem pięli się w górę dwaj alpinisci.

W swej ucieczce, choćby kilkugodzinnej, od natłoku informacji, szokujących słów i obrazów, zakazów, regulaminów, praw, ministerialnych rozporządzeń, obowiązków i zobowiązań, demagogicznych przemówień, korków i tlenku węgla, ciasnoty, hałasu, kolejek i tłumu cierpliwie wspinali się pod osłoną spokojnego nieba.

W samym sercu nocy zerwali się z ciepłych, prymitywnych posłań, ostatniego komfortu, jaki łączył ich jeszcze z wygodami tego świata, który nie uznaje innych wartości niż dobrobyt i łatwe przyjemności. Spali krótko i ich nieporadne jeszcze ręce składały, jakby z żalem, szorstkie koce, które odgradzały ich od zimna. Wreszcie wstali, zakładając sprzęt w drżącym świetle świeczki i zmuszając się do przełknięcia kilku łyków gorzkiej herbaty i paru biskwitów, które tak wczesna pora pozbawiała jakiegokolwiek smaku. Byli gotowi do wyjścia ze schroniska.

Zanurzyli się w lodowate, górskie otchłanie. Na ciemnym niebie odcinały się jeszcze ciemniejsze kontury szczytów. Mróz ciał ich pozbawione wciąż życia twarzy i szczyptał w dłonie, schowane w jednopalczastych rękawicach. Szli naprzód, a przy każdym ruchu błdy strumień światła ich czołówek rozsiewał na drodze tysiące migoczących cekinów, które zapadały natychmiast w nieprzeniknioną ciemność. Co jakiś czas bezkres nieba przecinała spadająca gwiazda. Panowała absolutna cisza. Słysząc było tylko lekki chrzęst raków wgrzających się w twarde śnieg i grudki lodu, które odrywały się od czasu do czasu od podłoża i z wdzięcznym, srebrzystym szelestem umykały w dół stoku.

A potem ciemność nocy poczęły rozpraszać pierwsze, bladoszare smugi brzasku. W drgającym powietrzu świtu zrobiło się jeszcze bardziej rześko. Niebo przybladło. Gwiazdy zdawały się roztopiać w jednobarwnym krajobrazie, który z wolna nabierał

kształtów. Dzień nie mógł się narodzić, nim nie umarła noc. Niedostrzegalnie z półcienia zaczęły wylinać się niewyraźne formy, które oblewał a z wolna mleczna biel. Na wschodzie horyzont zaczął gorzeć czerwonym blaskiem, a po obu stronach nieboskłon rozblyskiwał czystą, półprzezroczystą zielenią. Przełęczę, granie i szczyty nabierał y alabastrowej jasności. I wreszcie, tysiącem złotych promieni rozblysło słońce.

Wspinający zatrzymali się, przejęci wspaniałością ranka. Przez krótką chwilę obserwowali swe wydłużające się cienie, kładące się na śniegu niczym skrawki nieba. Świt w górach to godzina, kiedy cienie mają lazurową barwę. W chwale wstającego słońca, w blasku jego promieni byli ponad wszystkim. Wymknęli się wielkim ciemnościom świata, który rozciągał się u ich stóp w głębokich dolinach i odległych równinach.

Gdzieś tam, w świetle, rozumne, zdrowo myślące istoty z pewnością pokpiwały sobie z motywów, które każą kilku pomyłkom wdrapywać się gdzieś i schodzić, niekiedy za cenę życia. Lecz oni znali odpowiedź. Byli wolni, sami, pełni radości i olśnienia; byli bogaci, zadowoleni i szczęśliwi, jak nigdy nie będzie którykolwiek z wielkich tego świata.

Nie liczyło się nic poza kilkoma zębami raków, łączącej ich liny i bielutkiego, puszystego śnieżnego dywanu, na którym mróz wyrzeźbił misterny wzór. Nagły powiew wiatru poderwał z ziemi lekkie tumany złotawego pyłu.

A potem wszystko się uspokoiło i wrócił spokój. Wielki spokój gór.

Dotarli do wąskiej grani i zaczęli się nią wspinąć. U ich stóp, w odległych czeluściach, w nakładających się zamglonych, błękitnawych planach, leżały grzbiety gór, szczyty, doliny i niecki, które w chwilę później znikaly w bezmiarze chmur. Lecz oni pieli się jeszcze wyżej, ku jakiemuś nieznanemu krańcowi ziemi. Stanęli na skraju olbrzymiego nawisu, który zdawał wznosić się ku niebu, niczym zastygłe ostrze burzy. Upojeni wibrującym wokół przezroczystym światłem, odurzeni wysokością, ostrym powietrzem i błękitem, wspinali się po kryształowo białym śniegu poranka: pierwszego poranka świata.

Tłumaczenie Elżbieta Sieradzińska

Anne Sauvy – alpinistka francuska, autorka kilku książek o górach

Expeditions & Guides Patagonia Mountain Agency

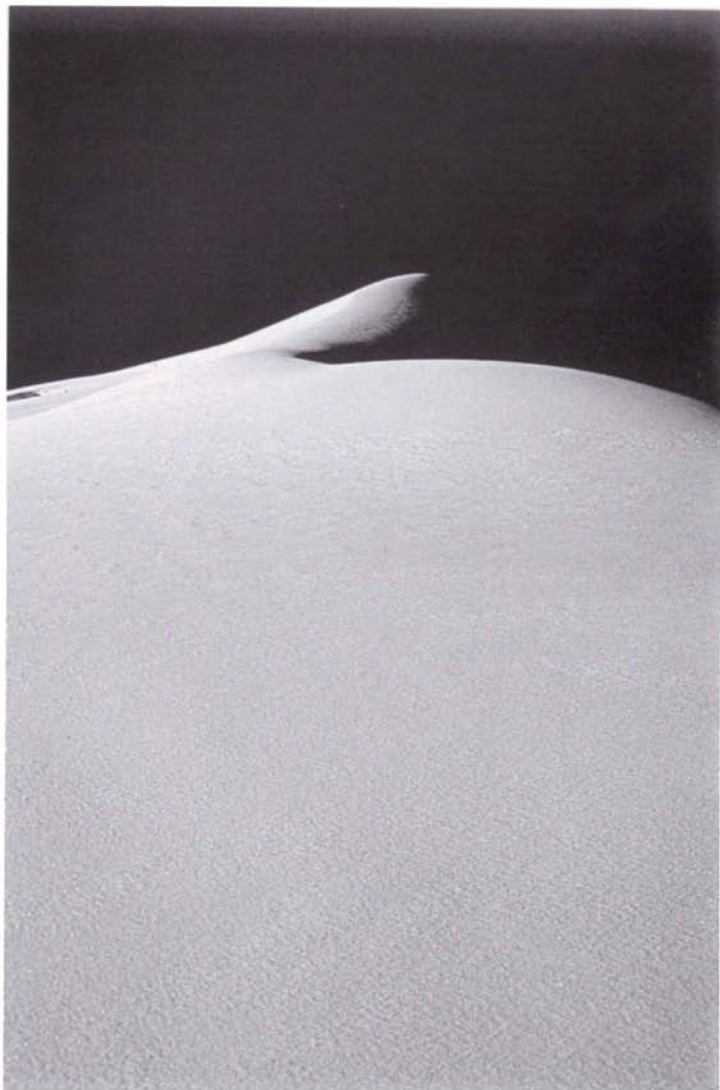
AGENCJA GÓRSKA „PATAGONIA”
tel./fax.: (32) 204 71 37
kom.: 0 602 812 840
e-mail: patagonia@alpinizm.pl
www.patagonia.alpinizm.com

Wyprawy 2002	Aconcagua (9662 m), Argentyna	27 stycznia – 20 lutego	2900 USD
	Everest (8848 m)	20 marca – 25 maja	(...) USD
	Ama Dablam (6858 m), Nepal	19 października – 16 listopada	4000 USD
Trekkingi 2002	Patagonia (Argentyna, Chile)	19 lutego – 15 marca	3000 USD
	Ziemia Ognista, Torres del Paine, Fitz Roy, Cerro Torre (Wyprawa Jubileuszowa) 10 lat Agencji		
	Everest (baza)	24 marca – 14 kwietnia	2500 USD
	Makalu	3 – 26 kwietnia	2800 USD
	K-2 (baza)	28 czerwca – 20 lipca	3800 USD
	Dhaulagiri	7 – 28 września	2800 USD
	Everest (Everest BC, Kala Patar)	19 października – 9 listopada	2500 USD

Ceny obejmują przeloty lotnicze, hotele, koszty pozwoleń, sprzęt, wyżywienie w bazie i powyżej, koszt przewodnictwa etc.

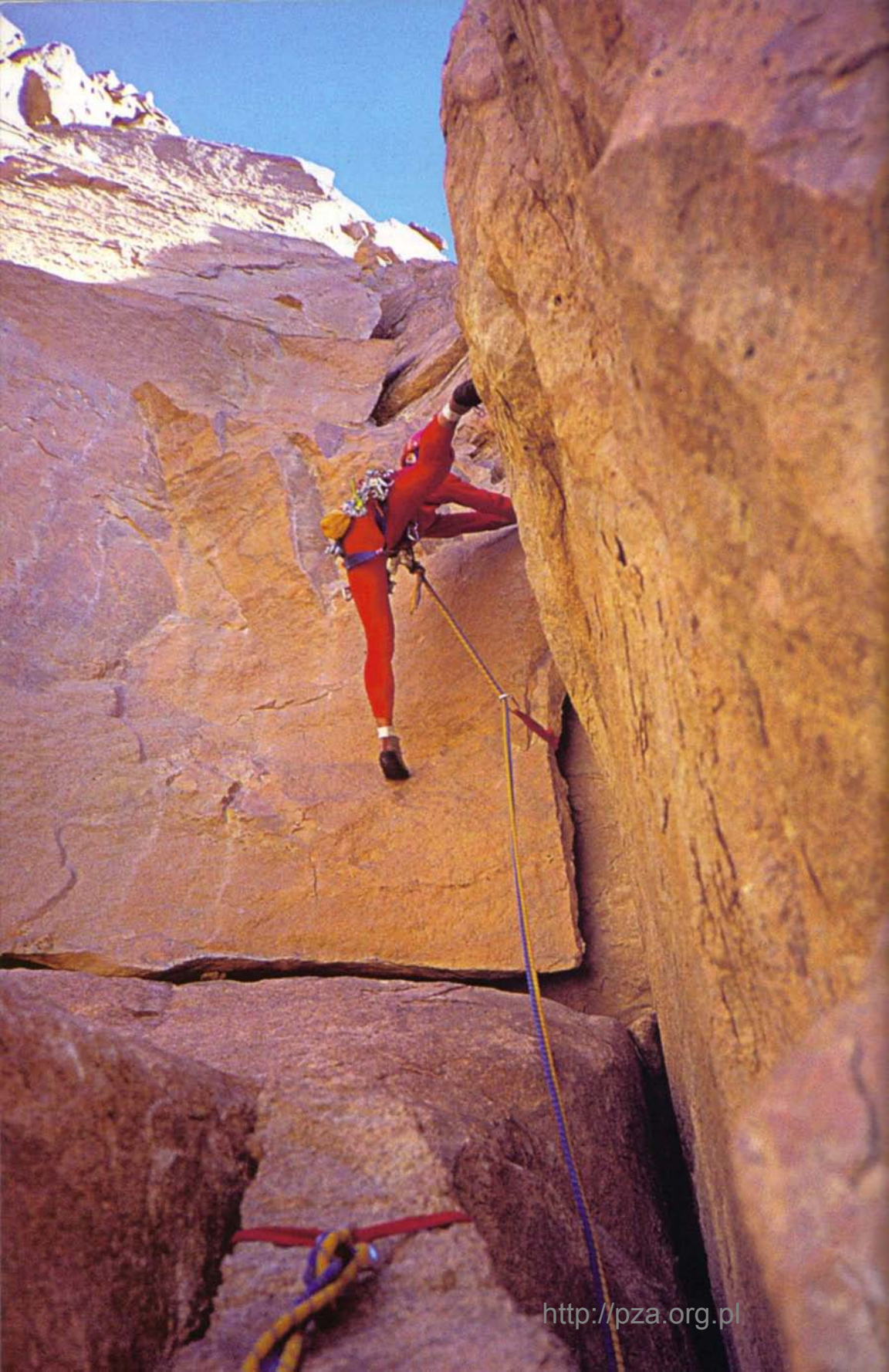
<http://pza.org.pl>

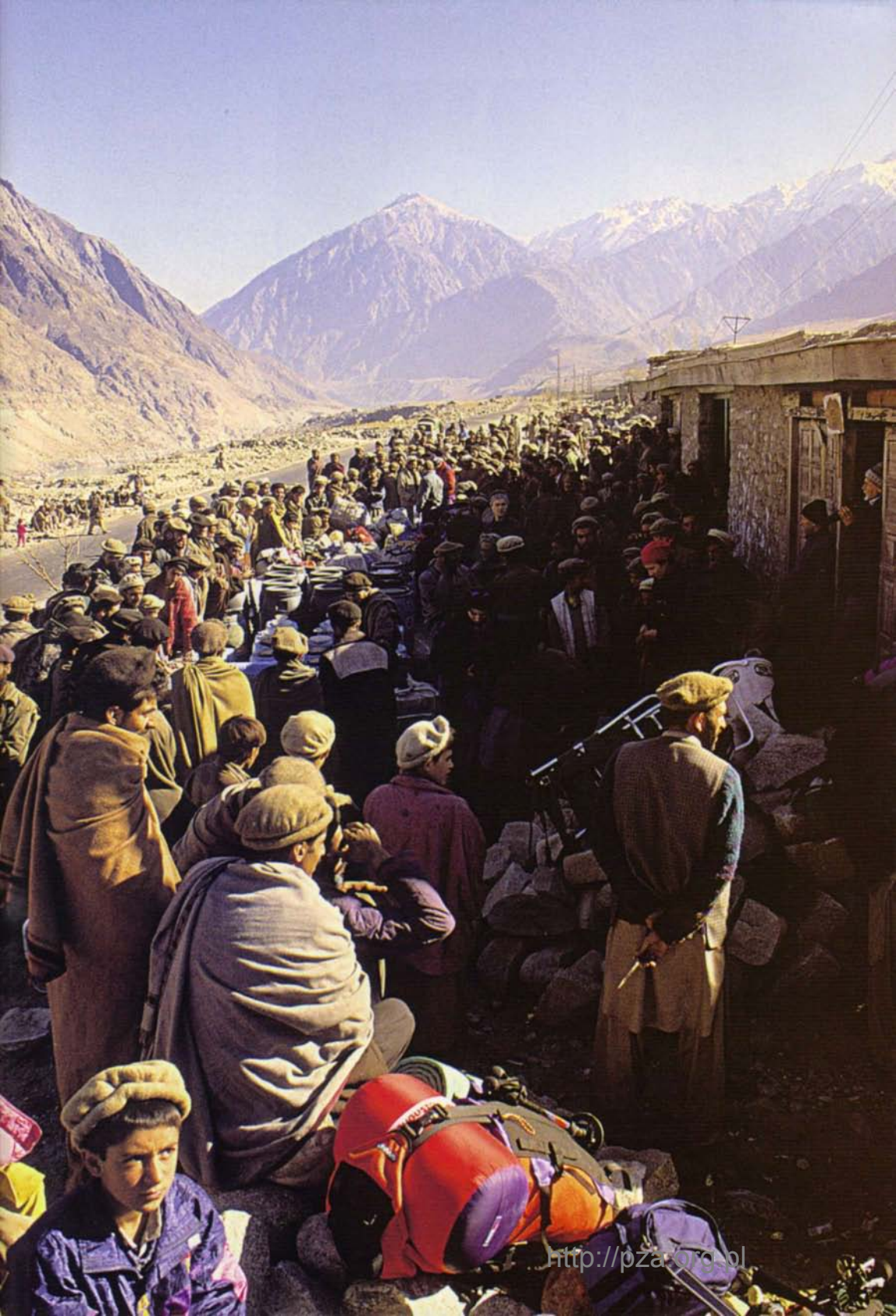
Galeria Gankowa



W Rolwaling Himal. Fot. Z. Piotrowicz

Str. 34 – Góry Synaju. Wspina się Krzysztof Pankiewicz. Fot. arch. K. Pankiewicza
Str. 35 – Tragarze pod Manaslu. Fot. Krzysztof Pankiewicz







Wł. Skoczylas, *Głowa Jirafy, drzeworyt*

Z tatrzańskich szlaków

Kłopoty z niedźwiedzicą

Dwuletnia niedźwiedzica, która wraz z rodzeństwem dała się we znaki wiosną w okolicach Morskiego Oka wybrała się na gościnne występy na Słowację. W okolicach Chaty pod Rysami zabierała plecaki a nieopodal schroniska nad Popradzkim Stawem poturbowała kilku turystów. Misia szarpiącego się z turysta pokazała nawet słowacka telewizja. Wydarzenia te stały się przyczyną wydania decyzji o odstrzale. Wskutek protestów opinii publicznej decyzję wstrzymano, lecz nadal nie wiadomo, jaki los czeka zwierzę. Cała populacja niedźwiedzi w Tatrach oceniana jest na 40-50 sztuk z czego po polskiej stronie jest ich około 15.

Na Łomnicę z miejscówką

Żeby wyjechać koleją linową na Łomnicę trzeba od tego roku, oprócz biletu, wykupić również miejscówkę. Problem w tym, że bilety i miejscówki kupuje się dopiero na stacji kolejki przy Łomnickim Stawie. Nie ma możliwości dokonania telefonicznej rezerwacji.

Bilety tanieją

Po wakacyjnej podwyżce, ceny biletów wstępu na teren TPN tanieją do poziomu sprzed sezonu. Bilet normalny kosztuje 2 zł, ulgowy 1 zł.

Uwaga na łańcuchy

Wylądowania atmosferyczne w czasie większych burz mogą powodować uszkodzenia w stałych zabezpieczeniach na trudniejszych szlakach. Energia elektryczna powoduje czasem wrywanie ze skały kotw mocujących łańcuchy.

Sprzątanie Morskiego Oka

Od sześciu lat członkowie z Tatrzańskiego Klubu Pletwonurków „Wanta” sprzątają dno Morskiego Oka. Okazuje się, że prawdziwym problemem stały się tysiące monet wrzucone przez lata do stawu. Utleniające się związki ołowiu, cynku i miedzi powodują zauważalne skażenie wody. Do tej pory wydobyto już około tony monet, jednak w niektórych miejscach nadal tworzą one zwartą warstwę o grubości kilku a nawet kilkunastu centymetrów. Z dna wydobyto już kilkadziesiąt worków ze śmieciami. Czasami znaleziska bywają zaskakujące: sztuczna szczeka, biustonosze, bomby lotnicze. Klub sprząta także Czarny Staw pod Rysami, Przedni i Wielki Staw w dolinie Pięciu Stawów Polskich oraz Czarny staw Gasienicowy. Inicjator akcji i prezes „Wanty” – Krzysztof Cudzych – jest leśniczym w Morskim Oku i autorem filmu o podwodnych „skarbach” Tatr.



K. W. 42

Wycieczka na Piz Sol (2849) - R. Golczewski,
 J. Hajdukiewicz, M. Jankowski, M. Mischke w towa-
 rzystwie A. Borchetti, St. Hirscha. Wyjazd z Winterthur 5⁵⁴ przyjezd
 do Sarganz (485) 9⁰² Wymarsz 9³⁰ - Piz Solhütte (2230) godz 15
 Wymarsz 9. 16⁰⁰ - na noclegi godz 18. Powrót do schro-
 niska Piz Solhütte 18³⁰. Pogoda słoneczna, widok na Berninę, śnieg dobry.
 Uczestnicy postanawiają założyć Klub Wyso-
 kogórski.

Ryc. 1. Pierwszy wpis do kroniki

„Taternik” z Winterthur część I

zebrał Zbigniew Piotrowicz

Trzymam w ręku gruby zeszyt o nietypowym formacie i poślódkich kartkach w wyblakłą kratkę. To „Kronika Klubu Wysokogórskiego w Winterthur” skrupulatnie spisana czteroletnia historia działalności górskiej i organizacyjnej grupy taterników, których los zetknął w czerwcu 1940 roku w obozie dla internowanych w Szwajcarii. Pierwszy wpis dokonany pod datą 15 marca 1942 brzmi:

„Wycieczka na Piz Sol (2849) – R. Golczewski, J. Hajdukiewicz, M. Jankowski, M. Mischke w towarzystwie A. Borchetti, St. Hirscha. Wyjazd z Winterthur 5.54 – przyjazd Sarganz (485) 9.02. Wymarsz 9.30 – Piz Solhütte (2230) godz 15.00. Wymarsz g. 16.00 – na szczyt godz. 18. Powrót do schroniska Piz Solhütte godz. 18.30. Pogoda słoneczna słoneczna, widok na Berninę, śnieg dobry. Uczestnicy postanawiają założyć Klub Wysokogórski”.

Dwa lata później ukazuje się, dzięki staraniom członków klubu, pierwszy numer kwartalnika zatytułowanego „Taternik”. W ten sposób zapoczątkowany zostaje szczególnie rozdział w historii tytułu, który ukazuje się w dwóch różnych postaciach i niezależnie od siebie: w okupowanej Warszawie redagowany przez Tadeusza Orłow-

skiego i w obozie dla internowanych żołnierzy w szwajcarskim Winterthur. Wersja emigracyjna to maszynopis z nielicznymi rysunkami i o objętości od 18 do 21 stron. Zespół redakcyjny składający się z Macieja Mischke i Jerzego Hajdukiewicza przygotował i wydał 5 numerów: trzy w roku 1944 i dwa w 1945. Zawierają one informacje organizacyjne, omówienia sezonu, wspomnienia, materiały instruktażowe. Niektóre numery zawierają także teksty w języku francuskim. Wśród osób, które publikowały, znajdują się L. Cotadze, J. Hajdukiewicz, J. Latoszyński, M. Mischke, J. Plotkowiak, J. Stryjeński, A. Szepessy, A. Vogt. Autorem projektów okładek był Zbigniew Bejm.

Od tamtych czasów minęło 56 lat. Prawdopodobnie ocalał tylko jeden oryginalny komplet wszystkich numerów „Taternika” z Winterthur. Znajdują się one w zbiorach Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, zebrane i przekazane dla potomności przez Macieja Mischke – prezesa KW Winterthur i kronikarza tamtych wydarzeń. W dziale „Archiwalia” po raz pierwszy publikujemy wybrane teksty z emigracyjnego „Taternika” oraz zdjęcia z ówczesnych górskich wypraw.



Ryc. 2. Na Piz Sol. Od lewej: Golczewski, Hajdukiewicz, Jankowski, Hirsch, Mischke. Wtedy zapadła decyzja o zalozeniu Klubu Wysokogorskiego Winterthur



Ryc. 3. Klubowa odznaka

Od redakcji

Taternik, organ pierwotnie Sekcji Taternickiej, później Klubu Wysokogorskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego, miał poza sobą w chwili wybuchu wojny piękną tradycję ćwierćwiecza pracy publicystycznej, w ciągu której czuwał nad czystością idei taternickiej, dbał o postęp techniki i wychował szereg młodych pokoleń.

Na Jego łamach spisywano historię taternictwa i młodego alpinizmu polskiego; Jego głos zaważył wreszcie, gdy przyszła chwila ruszenia na zdobycie największych szczytów świata.

Hasła głoszone przez Taternika stały się własnością ogółu taternickiego, toteż nic dziwnego, że grupując się w roku 1942 w Klubie winterthurskim wypisaliśmy je również na naszym propecu.

Wydaje się nam też obowiązkiem dziś, gdy stała się aktualna sprawa naszego kwartalnika dać mu tradycyjny tytuł Taternika.

Powołujemy go zaś do życia po czteroletniej przerwie wojennej po to – by wzbogaconego garścią wspomnień o naszej alpejskiej działalności – oddać go w Oswobodzonej Ojczyźnie w ręce Klubu wysokogorskiego PTT, jako nasz hołd dla drogiej nam tradycji.

M. Mischke, *Taternik 1/1944*

Sprawy Klubowe

Walne Zebranie. W dniu 12.XII.1943 dokonano wyboru zarządu w niezmienionym składzie: pre-

zes – inż. M. Mischke, oficer łączn. – inż. T. Nowak, z-ca. St. Hirsch, kierownik techniczny – J. Hajdukiewicz. Nadano odznakę honorową pułk. K. Rederowi – Kuratorowi Klubu, pplk. H. Siegristrowi, prof. dr A. Krupskiemu, M. Widmerowi, H. Widmerowi.

Taternik 1/1944

Piz Bianco 18–21 wrzesień 1943

Pontresina, jedenasta, południe. Wprost z pociągu lądujemy w knajpie, znajdując w ostatnim momencie schronienie przed nadciągającą burzą. Już leje jak z cebra. „Całe szczęście” pociesza się – „może wreszcie pogoda się wyklaruje”. O 14-tej pokazuje się słońce. Ruszamy niezwłocznie. (...) Wreszcie Vadret da Roseg pokazuje swój język. „Jaki biały” – wyrwało mi się i zaraz zakląłem niecenzuralnie „to świeży śnieg”.

Spotykamy paru turystów. Nawiązuje się rozmowa Tadeusz zapytuje wyrafinowanym „szwycerem”, jak w górze? Otrzymuje szczegółową odpowiedź a zaraz potem pada pytanie już w dialekcie „Sind Sie in Chur interniert?” Odpowiadamy krótko, nein i żegnamy się pospiesznie.

17.00 – Tschierwahütte. Wstępujemy. Gospodarz pamięta wizytę naszych kolegów przed rokiem. Pokazuje nam naszą drogę. Pogodę przejawia znośną, tylko trudności z powodu świeżego śniegu.

18.00 – Ruszamy dalej. Chcemy spróbować wstępu na wysokości ostatniego piętra lodowca p-

Fuorcla Prievlusa. Początkowo posuwamy się po morenie, następnie zlebem w górę. Duży kamień i w prawo półka skalna umożliwiająca trawers na piętro. Jest!

20.00 – Wysokość około 3000. Robi się ciemno. W skale czy w śniegu? Tadek żałuje żeśmy nie zabrali ładunków: można by było w firnie zrobić tęgą jamę. Decydujemy się na skałę. Idziemy nieco wyżej pod przewieszkę. Niezła! tylko trochę za stromo. Szybko przeprowadzamy niwelację terenu. W ciągu kilku minut powstaje niezła platformka z murkiem od strony zbrocza. Teraz zupa i żer. Jest ciepło. Z dołu podchodzi mgła. Owijamy się w koce i próbujemy zasnąć. To nie takie proste. Kunsztownie zbudowane łoża zaczyna w niesamowity sposób gnieść. Coraz to przesuwał plecak i buty podpierając grzbiet w innym punkcie. Wreszcie zmęczony temi manewrami zasypiam. Około północy ktoś się budzi: Bianco w księżycu! żywa rozmowa. Będzie dobrze!

1.30 – wstajemy. Znowu zupa posilamy się. Jest jasno. Zakładamy raki i idziemy. Tadeusz na swych nowych Eckensteinach na przedzie. Pierwsze szczeliny, wiążujemy się. Stopniowo robi się stromiej. Gromadzący się pod rakami świeży śnieg trzeba co chwila usuwać.

4.45 – Fuorcla Prievlusa. Niezwykła przełęcz, jak kładka nad przepaścią. Czekamy na wschód słońca, równocześnie przygotowując uczciwy posiłek. Niebawem świetlane smugi strzelające z poza połamanego horyzontu sygnalizują pojawienie się słońca. Resztki nocy pierchają. Pogoda zapowiada się wspaniale. Zaczyna dmuchać, ale to objaw normalny.

Przyglądamy się grani. Przysypana śniegiem, miejscami oblodzona. Mogą być trudności. Trzeba się spieszyć... Wiążemy się. Leon pierwszy, potem Tadeusz, Bernard, ja na końcu. Krótki trawers po oblodzonej półce w prawo, potem prosto na grań. Idzie bardzo powoli. (...) Wreszcie o dwunastej osiągamy początek śnieżnej partii Bianco. Jesteśmy zmęczeni i głodni. Jest już późno. Pociśmy się, że na rakach pojedź przedę. Będziemy mogli iść równocześnie. Na wszelki wypadek oglądamy szczegółowo drogę do Boval.

12.45 – Ruszamy z nowymi siłami. Ja na początku, Leon z tyłu. Staram się utrzymać tempo. Za chwilę mijamy fotogeniczną „Eisnase”. Lepki

śnieg na przemian ze zwianym lodem. (...) Żeby tylko wytrzymało do wieczora! Poprzeczna szczeлина w lodowym kołnierzu. Rąbię kilka stopni. No, to już chyba ostatni garb. Jeszcze kilkanaście kroków i szczyt... Bianco! – 16.30

Rozglądam się. Ze zdziwieniem stwierdzam, że wokół jest już mgła. Kiedy to się stało? Przed chwilą jeszcze obserwowałem kurzawę na Mont Searscen i Piz Roseg. Schodzimy niezwłocznie na Berninascharte. Jest zimno. Na kilka sekund przedziera się mgła: Bernina!! Biała... Wiatrdmie jak zwarjowany. Krótka narada. Na grani trudno ustać. Zalodzona skała nie zaprasza. Z powrotem nie ma mowy, z Bianco by zwiąło. Może północno wschodnią ścianą? Obrywów przecięć nie ma.

Decydujemy się. Kilkadziesiąt kroków a już jest spokojniej, dalej niemal cisza. Skała, ale w połowie przysypana. Raki nadal na nogach. Tylko jak najszybciej. Wybieram śnieżne półki, często skacze. Jak długo się da skalkami... Ściemnia się. Z prawej strony pokazuje się lód, złowrogi, szary.

22.00 – Zaczyna padać śnieg. Już całkiem ciemno. Skały się kończą. Pozostaje ściana lodowa. Tadeusz dobywa latarki. Zmieniamy szyk i idziemy tyraljerą, twarzą do stoku. Prawa ręka zabija dziób czekana w stok, lewa szuka oparcia w śladzie stopy. Schodzimy jak po drabinie. Śnieg piaskowej konsystencji syczy jak wąż... oświetlamy latarką na kilkanaście kroków i wybieramy miejsca, gdzie trzyma się śnieg. Godzina upływa za godziną; czy ta ściana nie ma końca?

Nierówności, może już? Mała platformka, Leon zapada się. Trzymamy... „Popuść!” – „Po co?” – „Popuść! Zobaczę co tu jest”. Leon znika w dziurze, za nim sypie się śnieg. Niesamowite światło przenika przez lód. Wypuściliśmy już kilka metrów. „Co tam robisz? Wylaż!” Niezrozumiały bełkot dobył się z czeluści. Ciagniemy mocno. Wylazi „No i co?” – „zdaje się, że tu będzie można przemocować, jest przestronnie i nie dmucha”. – „A nie spadnie się do dziury?” – „Nie wiem”. – „No nic, spróbujemy się tu ulokować”. Odwiązujemy się, koniec liny zamocowujemy do dwu czekanów wbitych po rękojeść i wpełzamy po kolei do nory.

Po przejściu około dwu metrowej gardzieli ukazuje się wcale przestronna grota lodowa. Tak, to pierwszorzędné odkrycie, przeczekamy tu do ra-



Ryc. 4. 15 marca 1942. Golczewski, Hajdukiewicz, Mischke podczas podejścia na Piz Sol

na(...) Zdejmuję rękawiczki, zamierzając dobrnąć się do zera. Co u licha! Podmuch wiatru porwał rękawiczkę do dziury. Niech to diabli wezmą, muszę ją znaleźć. „Popuszczajcie mnie powoli, ja zaglądnę tam na dół”. Ostrożnie z latarką w ręku schodzę w szczelinę rozpierając się nogami. Robi się szerzej; świecę w dół, ciemno. A to ładny kawał. „Znalazłeś?” – dochodzi z góry. „Nie, ciągnie! Ale ostrożnie” – dodają, gdyż spostrzegłem, że odgałęzienie szczeliny przechodzi właśnie pod stanowiskiem towarzyszy.

Opowiadam co widziałem. Obiecujemy sobie grzecznie się zachowywać. Raki na wszelki wypadek lepiej zostawić na nogach. Wyciągam z plecaka skarpetki i naciągam na dłonie. Jakie przyjemne, suche. Próbujemy trochę jeść. Idzie opornie. Leon usiłuje coś zgotować; spalił już kilka kawałków mety uzyskując łyk wody. Wreszcie zarzuca ten proceder. Ubieramy na siebie co się da, następnie owijamy się w koce i siadamy na plecakach przytuleni do siebie, jedynie Bernard w pewnym oddaleniu. Twierdzi, że nie lubi tłoku. Świeczka dopala się. Ulegam złudzeniu jakby w miarę ściemniania się robiło się zimniej. Ruszam palcami nóg jak najęty...

Nagle uderzam czołem w kolano. Aha, musiałem zasnąć – przechodzi mi przez odzyskaną świadomość. Jeszcze zimniej! Postanawiamy się budzić wzajemnie, by nie zamarznąć. Od czasu do czasu krótka rozmowa. Jak ta noc długo trwa! Patrzę na zegarek: 1,00! Ładna pociecha. Tadek zaświecił latarkę i zapala papierosa. Gdzie Bern-

naś? Wołam. W odpowiedzi słyszę ziewnięcie i jakaś kończyzna wyłaniająca się ze śniegu zamajaczyła w pobliżu wjazdu. „Przecie zamarzniesz tam, śnieg cię przysypie!” – „Tak właśnie dobrze”, – odpowiada – „jest cieplej w śniegu”. (...) Zawierucha się wzmaga. W międzyczasie odkrywamy jeszcze jedną właściwość naszego przytułku. Zachowuje się jak pudło rezonansowe. Ilekroć z zewnątrz łupnie piorun to wydaje się, że buda rozsypie się w kawałki.

Coś jakby było jaśniej. Tak, to już 5,00. Ale skąd dochodzi to światło? Wtem przypominam sobie wczorajszą wyprawę po rękawiczkę. Ta dziura musi mieć gdzieś u dołu połączenie ze światem. (...) Stękając Bernas zabawia się w kreta odgarniając za siebie śnieg piaskowej konsystencji. Stopniowo zagłębia się w dziurę. Po 10 minutach straciłszy z oczu jego piętę. Po dalszych pięciu doszedł okrzyk: już! „Jak tam” – pytamy chórem. – „Wieje jak diabli i mgła” – dochodzi w odpowiedzi. Trzeba jeszcze trochę odczekać.

Okolo 7,30 zrobiło się jakby przejrzysiej... Grzmoty rozlegają się rzadziej. Postanawiamy ruszyć. Wyłazimy po kolei. Rozglądamy się, nie wiele widać – na jakieś 30 metrów. Spadek jakby mniejszy. Na prawo rysuje się niewyraźny obrys lodowy. Tak, to koniec ściany. Patrząc w górę. To myśmy tędy weszli! Odkopujemy czekany; dobrze 50 centymetrów świeżego śniegu. Schodzimy kilkadziesiąt metrów w dół poczem trawersujemy w prawo.

Staram sobie odtworzyć obraz terenu widziany z góry. Wtem jakieś dziwne zakłócenie równowagi. Aha! jedziemy, błysnęło mi w głowie, spostrzegłszy powyżej rozszerzające się pęknięcie śniegu. Jestem na samym skraju. Wbijam z całej siły czekan. Za chwilę lina się napręża. Coraz mocniej w miarę jak towarzysze zataczają łuk koło mnie. Czekan pochyla się, puszcza. Jedziemy wszyscy razem... Podemną nie ma już świeżego śniegu. Dziób czekana daje dobre oparcie. Czuję, że jazda staje się wolniejsza, kilka szarpnięć – zatrzymujemy się. Obciąża przez nas deska znika we mgle.

Robimy krótką naradę. Postanawiamy iść stromiej w dół, by nie obcinać całych połaci śniegu. System ten pomaga. Po pewnym czasie dostajemy się na mniej strome zbocze. Powinniśmy się znajdować powyżej obrywów widzianych wczoraj.

raj(...) Żeby nie ta przekłeta mgła. Tymczasem widoczność jeszcze bardziej się pogarsza. Nagle wyłania się przed nami obryw z systemem szczelin. U jego stóp przebiega półka po której można by się posuwać w dotychczasowym kierunku. Czy te szczeliny obejść z dołu czy od góry po półce? Dół jest jednak znacznie straszniejszy a nam odeszła już ochota o przejażdżki na desce w nieznanym... Trawersujemy więc po półce. Obryw kończy się, szczeliny jednak nie i stok robi się wystarczająco stromy. Zadymka przybiera na sile. Widoczność na kilka kroków. Nie ma rady, trzeba poczekać aż się rozjaśni.

Wracamy pod ściankę, gdzie jesteśmy nieco zasłonięci przed wiatrem i zabezpieczeni przed lawiną. Patrzę na zegarek: jest 9,00. Wyciągamy koce, siadamy na plecach nakrywając się z głową. Czujemy, że będzie zimno(...) Na zmianę ktoś wygląda czy się nie wyjaśnia. Próżny wysiłek trzeba czekać... Mamy przecież cały dzień przed sobą. Tylko żeby nie to zimno. Zaczynam się trząść. Nie sprzeciwiam się w ten sposób wywarza się trochę ciepła. Śnieg pada coraz intensywniej. Teraz niema już mowy o jakimkolwiek posuwaniu się. Próbuje się śpiewać, próżny wysiłek; trzech skorpcionów wśród nas. Pokrzykujemy więc tylko na różne sposoby. Pomaga – jest nieco cieplej.

Godzina 10,00, wiatr słabnie. Jakby robiło się jaśniej. Coraz częściej wyglądamy z poza skorupy, która wytworzyła się na kocach. Każdy stara się przebić wzrokiem mgłę. Coraz to odkrywamy nowe szczegóły. Odczuwamy przyływa nowych sił. Nawet o zimnie zapomina się. Badamy możliwości dalszego posuwania się. Widać już na kilkanaście metrów... Nie jest tak źle, z tej matni powinno się dać wyleźć. Trzeba się spieszyć, bo widoczność może się znowu popsuć. Ruszamy natychmiast, jest 13,00.

Droga w dół okazuje się znacznie korzystniejsza od półki. Idziemy prostopadle w dół, trawersując tylko w mniej stromych miejscach. Wreszcie szczeliny są poza nami. Teraz zbocze jest już równe, im niżej, tem lepsza widoczność. Posuwamy się rażno naprzód. Sięgający powyżej kolan puch zdaje się niezbyt przeszkadzać.

Godzina 14,00. Widać jakąś skałę w prawo wskos. Kierujemy tam swoje kroki. Nawet złamana tyczka sterczy. To Sass del Pos. Robi się

niemal zupełnie przejrzyste. Wychodzimy na wierzchołek, by się rozejrzeć w sytuacji. Staję na skale. Jakie przyjemne uczucie po 18-to godzinnym pobycie w szczerym lodzie i śniegu. Labirynt widać dość dokładnie. Staramy się zapamiętać system szczelin(...) Skała jest zaladzona śnieg w żłebach wcale się nie trzyma. Posuwamy się bardzo powoli.

O 16,00 osiągamy wreszcie Labirynt. Odetchnęliśmy. Najgorsze już za nami. Wszystko widać jak na dłoni. Nawet schronisko Boval. Ruszamy żywo naprzód. Gigantyczny system poprzecznych szczelin. Nakładamy bardzo dużo drogi...

Czas upływa, trudności się powiększają. Odczuwam zmęczenie. Leon proponuje zmianę w torowaniu i idzie naprzód. Zaczyna się dolny obryw. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i robi się ciemno. Przywołujemy w pamięci obraz widziany z Sass del Pos. Piętro po piętrze schodzimy w dół. Tutaj śnieg okazał się nader korzystny. Z mniejszych wysokości skaczemy w puch. Lodowiec przypomina zaśnieżone rumowisko skalne. Olbrzymie bryły piętrzą się w najdziwniejsze budowle.

Zmęczenie zaczyna coraz bardziej dawać się we znaki. Coraz to ktoś się potyka. Odrzucamy jednak wszelką myśl o odpoczynku. Noc jest mroźna, wiemy czem to pachnie...Dziś jeszcze musimy być w Boval. Byle tylko niżej, przecież i ten obryw musi mieć swój koniec.



Ryc. 5. 15 marca 1943. Widok na Tödi.
Hajdukiewicz, Hirsch, Mischke, Golczewski

Po północy wschodzi księżyc i oświetla drogę. Już niedużo. Nieco zwalniamy, nie przystajemy jednak. Wreszcie osiągamy równy język lodowca. Droga jest łatwa, widać także światło w Boval. Rozwiązujemy się. Tadeusz i Bernas zostają na linie węzły zacisnęły się na mur, idą więc razem. Jeszcze godzina drogi po wertepach, wreszcie ostatnia przeszkoda w formie moreny. Zdejmujemy z trudem raki.

Idę naprzód szukać dojścia do schroniska. Odkrywam ścieżkę. Gospodarz woła z góry, nie śpi, przygotował nawet kolację. Otrzymał telefon z Tschierwa, a później zobaczył nasze światło.

Rozbieramy się częściowo i oglądamy kończy. Prawa dłoń Tadeusza, w której trzymał czekan wygląda podejrzanie. Nacieramy ją; robi wrażenie jakby się rozgrzała. Teraz kolejka zup wzmocniona resztą prowiantu. W końcu kładziemy się spać, leżymy jak kłody.

Gdy się zbudziłem było już jasno. Świat skąpany w słońcu. Wyłażę przed schronisko i spotykam gospodarza zajętego rozkładaniem naszych gratów na słońcu. Pyta mnie kędy zeszedliśmy. Pokazuję mu wschodnią ścianę Berniny. „Mielicie szczęście” – powiada, a potem, gdy opisuję drogę przez Labirynt: „Mielicie nosa” – zauważył. W południe opuszczamy schronisko żegnając się z sympatycznym gospodarzem i spieszymy na stację.

Idę na końcu, przede mną Leon. Zakręt i droga niknie w lesie. Stajemy instynktownie i obracamy się. Ostatnie spojrzenie(...) ... „Józku! Przyjdziemy tu jeszcze” – słyszę z tyłu głos Leona.

J. Płotkowiak, *Taternik 2/1944*

Z prasy

W miesięczniku Schweizer Alpen Club „Die Alpen” ukazały się następujące wzmianki dotyczące polskiego sportu wysokogórskiego:

Rocznik XIX 1943 Nr 3 Alpine Chronik str. 63: *Aconoagua*, tamże str. 64: *Nanda Devi* Nr 12 *Varia* str 311: *Klub Wysokogórski Winterthur*

Rocznik XX 1944 Nr 3 Alpine Chronik str. 69: *Breithorn Nord und NW Wand* Nr 6 Alpine Chronik str 150: *Breithorn Nord - & Nordwestwand* Nr 7 Zeitschriften, Bücher str. 178: *Taternik, Klub Wysokogórski, I/1944*

Taternik 2/1944



Ryc. 6. 15 marca 1943.
Od dołu: Golczewski, Mischke, Hirsch, Hajdukiewicz

Do czytelników

W dążeniu do stworzenia z Taternika żywego dokumentu naszej działalności Redakcja prosi PT Czytelników o łaskawe nadsyłanie materiału do następujących numerów.

Taternik 2/1944

Sprawozdanie Zarządu za okres

1943/44, od dnia 12.12. 1943 do dnia 8.10.1944

Głównym staraniem zarządu w okresie sprawozdawczym było zorganizowanie VI Polskiej Wyprawy w Alpy. Wyprowa miała składać się z 4 – 6 uczestników i działac w dwóch partjach w otoczeniu Zermatt. Głównym punktem programu, który omówiono szczegółowo w Nr 2 Taternika str. 6 i 8, było trawersowanie grani od Matterhorn'u po Weisshorn. Niestety władze internowania odmówiły aprobaty projektu w dn. 9.8. br.

Pomimo to udało się doprowadzić do skutku

pewną część programu. M. Mischke i J. Płotkowiak działali w czasie od 20 do 27 VIII w Wallis z programem: Breithorn od pn przez Triftjegrat, Lyskamm pn. wsch. Ściana, Dt d' Hérens pn. zach. ściana i Matterhorn przez Zmuttgrat.

Niestety w ciągu tej wyprawy dały się odczuć skutki złych warunków atmosferycznych panujących w ciągu całego okresu sprawozdawczego. Sezon letni dał możliwość odbycia tylko nie-licznych wielkich wypraw, co odbiło się b. Niekorzystnie na kondycji fizycznej uczestników.

To oraz złe warunki śnieżne nie pozwoliły na wykonanie programu. Dokonano tylko wejścia na Breithorn (4171) dnia 21.8., Matterhorn (4505) 24.8. i Dt. Blanche (4364) granią południową (J. Płotkowiak samotnie 25.8).

Druga część wyprawy w składzie: K. Domażdzierski J. Hajdukiewicz i M. Mischke obrała za teren działania Berner Oberland w czasie od 29.VIII do 1.IX. Fatalne warunki atmosferyczne spowodowały, że dokonano tylko trawersowania Mönch (4105) przez Nollen z zejściem na Berglihütte. Z projektowanego przejścia pn. ściany Fischerhorn musiano zrezygnować

W dniu 1.IX dołączył do wyprawy J. Caputa. Wobec beznadziejnej pogody inni uczestnicy zrezygnowali z dalszych wejść i odjechali do domu. J. Caputa dokonał z przygodnie spotkanymi towarzyszami wejść na Wetterhorn i na Weisse Frau.

Z innych wejść tego rocznych zanotować należy piękną drogę lodowo śnieżną na Bifertenstock (3426) tzw. Akademikeraufstieg. W tym sezonie dokonano również całego szeregu poważnych wejść na drogach skalnych, gdzie wyróżniła się zwłaszcza partja: J. Hajdukiewicz i St. Hirsch. W szczególności zrobione zostały: Hundstein pd. Ściana, K. I Nordost z wejściem na K. I Ost (J. H. i St. H. dnia 13.8). To ostatnie wejście stanowi prawdopodobnie najcięższą wspinaczkę w wapieniu dokonaną przez Polaków.

Ogólnie pomimo wspomnianych złych warunków atmosferycznych, osiągnięto w okresie sprawozdawczym ilościowo i jakościowo lepsze niż w którymkolwiek z sezonów ubiegłych. Wypraw narciarskich odbyło się 9 z 12 wejściami szczytowemi; wypraw letnich 27, przyczem dokonano 39 wejść. W ten sposób od założenia Klubu osiągnięto około 140 szczytów.

Na podkreślenie zasługuje usamodzielnienie się szeregu członków, którzy podejmują wiele przejść na drogach skalnych. Bardzo miłym objawem jest również współpraca z szeregiem alpinistów różnych narodowości z poza grona Klubu, w szczególności z takimi wspinaczami jak P. Hell i śp. P. Schafflützel.

Stosunek władz obozowych do Klubu był bardzo życzliwy, za co należy się p. pułk K. Rederowi i p. mjr. St. Karolusowi gorące podziękowania.

Życie klubowe płynęło ożywionym trybem: zorganizowano 4 odczyty z udziałem zaproszonych prelegentów i gości; w Ski Club Basel wygłosił J. Hajdukiewicz odczyt na temat narciarstwa i alpinizmu polskiego. Zebrań klubowych odbyło się 6.

Odnakę honorową wręczono p. mjr. St. Karolusowi w dowód wdzięczności za gorące zajęcie się sprawami Wyprawy oraz p. A. Vogt'owi jako najstarszemu przyjacielowi naszemu w kołach szwajcarskich. Przy końcu okresu sprawozdawczego posiadał Klub 7 członków honorowych, 15 zwyczajnych i 2 sympatyków.

Wydano dwa numery czasopisma Taternik, w którym omawiane są zagadnienia alpinizmu i sprawy klubowe.

Wartość inwentarza wynosi kwotę 266,80 fr.

Dochody Klubu wyniosły kwotę 265,29 fr przyczem otrzymano subwencje z Dowództwa Obozu w kwocie fr 100 oraz z Polskiej Komisji Norm Budowlanych fr 50.

Rozchody wyniosły 258,28 fr Saldo na dzień 1.X wynosi 7,01 fr, przyczem konto pożyczek obciążone jest kwotą 90 fr. 3/1944

Taternik 3/1944

Sprawy klubowe

Walne Zebranie odbyło się w dniu 8.10.1944. Kandydacja zarządu: M. Mischke, T. Nowak, J. Hajdukiewicz została przedłużona

Członkowie: w dniu 15.10 br. przyjęty został na członka inż. Zdzisław Pręgowski; wobec opuszczenia Szwajcarii przeniesieni zostali na listę członków biernych z dniem 1.12 br.: St. Hirsch, T. Nowak i J. Caputa.

Taternik 3/1944



Ryc. 7. 15 marca 1943.
Od lewej: Hirsch, Mischke, Hajdukiewicz, Golczewski

Do Czytelników.

Redakcja prosi o łaskawe wytłumaczenie w opóźnieniu wydania numeru październikowego. Opóźnienie spowodowane zostało chwilowymi trudnościami redakcyjno technicznymi, które udało się szczęśliwie pokonać.

Równocześnie pozwalamy sobie złożyć naszym Czytelnikom serdeczne życzenia Wesołych Świąt i Lepszego Nowego Roku.

Taternik 3/1944

Rocznica

Mija rok od chwili ukazania się pierwszego numeru naszego pisma; trzeci rok istnienia Klubu; rok pracy, niepowodzeń i sukcesów.

Rok temu czuliśmy się niejako osamotnieni, bo zdawało się nam, że jesteśmy jedynymi przedstawicielami polskiego alpinizmu wojennego. Obawialiśmy się, że ruch tatrzański zamarł pod ciężarem okupacji... Dzisiaj mogę z radością stwierdzić, że nasze zeszlorzoczne poglądy były mylne i mogę przekazać Czytelnikom wieści o życiu i czynach taterników pozostałych w Polsce, o Klubie Wysokogórskim PTT i o podziemnie wychodzącym Taterniku.

Opowiada nam o nich p. Jan Stryjeński, jeden z ludzi, którzy przez cały czas wojny czynni byli w Tatrych i to nie tylko jako alpinści.

Żeby zdać sobie sprawę z rozwoju taternictwa,

trzeba czytać w zwięzłym sprawozdaniu Stryjeńskiego między wierszami. Czytamy tam wprawdzie, że tacy to taternicy dokonali w takim to czasie takiego przejścia, ale za swój kronikarski obowiązek uważam podkreślenie uzyskanych wyników.

Skierowano się z wielkim rozmachem w kierunku zaniedbanego dotychczas taternictwa zimowego, bez czego nie można sobie wyobrazić przyszłej ekspansji egzotycznej. Wspomnę tu tylko o dokonaniu I przejścia zimowego Koziej Przełęczy Wyżniej, który to problem był przez długie lata obiegany w lecie przez elitę wspinacza, zanim udało się jego rozwiązanie. Również letnie drogi jak środkiem Galerji i wschodnią ścianą Mnicha stanowią wyczyny nieprzeciętne, przedstawiające duży krok naprzód.

W końcu, gdy słyszymy o warunkach, w jakich dokonano zimowego trawersowania grani od Świnicy do Niebieskiej, dochodzimy do przekonania, że wojna dokonała w Tatrach naturalnej selekcji i że chodzą tylko ci, którzy chodzić muszą, bo im góry wrosły w krew i duszę ...

Dla nas jako cząstki alpinizmu polskiego przeszczepionej na teren szwajcarski ma to bardzo wielkie znaczenie. Z jednej strony spada nam na bark wielka część odpowiedzialności za poziom sportowy całości ruchu, którego punkt ciężkości leży nadal w Polsce, gdzie pozostała elita taternicka. Z drugiej strony winniśmy naszym kolegom w domu troskę o dotrzymanie im kroku w drodze ku zdobyciu miejsca w alpinizmie międzynarodowym.

Wydaje mi się jednak, że nie przynieśliśmy wstydu macierzystemu Klubowi, którego imię przybraliśmy z dumą. Nie mamy wyników rekordowych, to prawda, ale działalność nasza jest szeroka i solidnie ugruntowana a dokładne wejścia dały okazję do głoszenia imienia polskiego na graniach i szczytach alpejskich. Kontynuując wydawnictwo Taternika pragnęliśmy zaś utrzymać dla niego należne mu w międzynarodowej literaturze alpejskiej stanowisko.

Sądzę zatem, że gdy nadejdzie chwila powrotu zostaniemy przez nasz świat wysokogórski przyjęci nie jak marnotrawni synowie, ale tak jak na to zasłużyliśmy jako rzetelni pracownicy w skale i lodzie.

M. Mischke, *Taternik 1/1945*



Rys. M. Konecki

Feichtnerschachthohle – 1025m

Marcin Czart

Efektem ostatniej wyprawy Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego do najgłębszej jaskini masywu Kitzsteinhornu było przekroczenie magicznej granicy tysiąca metrów poniżej otworu. Była to szósta wizyta w tym ciekawym rejonie. Po raz pierwszy Polacy gościli tam w roku 1982. Prowadzono wtedy działalność odkrywczą w jaskini Zeferethohle. Rok później w tej samej jaskini udało się dojść do głębokości 560 m. Potem nastąpiła duża przerwa w działalności Polaków w masywie. Po odkryciach w Zeferethohle Austriacy prowadzili aktywną eksplorację powierzchniową znajdując kilkanaście otworów. Niestety, prawie wszystkie szybko skończyły się zawaliskami. Jedynym wyjątkiem była jaskinia, nazwana na cześć odkrywcy Richarda Feichtnera, Feichtnerschachthohle. W roku 1984 Richard, pracownik Taurenkraftwerke, razem z kolegą dotarli do głębokości około 500m. Zatrzymali się nad kolejną studnią, ale nie byli w stanie działać dalej bez biwaku i tylko w dwójkę. Na kolejne odkrycia jaskinia czekała czternaście lat.

Andrzej Ciszewski przez kilkanaście lat prowadził rozmowy z Klubem Salzburskim, a potem z Taurenkraftwerke o możliwości działania w tym masywie. Udało się dopiero w roku 1998. Po wcześniejszych rekonesansach, na przełomie marca i kwietnia wyprawa KKTJ zagościła w Alpincenter. Widok, jaki nas przywitał, był niecodzienny. Mieszkaliśmy w górnej stacji kolejki szynowej na wysokości 2450 m n.p.m. Z tego miejsca rozchodziła się ogromna ilość wyciągów narciarskich. Pobliski lodowiec Schniedinger Kees zapewniał doskonałe warunki narciarskie nawet latem. W sezonie zimowym z barów, restauracji i sklepów w Alpincenter korzystało do 10 tys. ludzi dziennie. W tym miejscu mieszkaliśmy mając do dyspozycji mały pokój o powierzchni 20 m². Ze względów mieszkaniowych mogliśmy działać w niewielkim, bo ośmioosobowym składzie. Zaczęliśmy od lokalizacji otworu, ale z powodu dużych ilości śniegu dopiero trzeciego dnia

mieliśmy drogę otwartą. Przy kopaniu zawarliśmy znajomość z Richardem, który przyniósł dokładne namiary na otwór. Później działalność była już bardzo efektywna. Udało się nam dotrzeć do głębokości 623 m. Stanęliśmy na dnie studni, z boku odchodził wąski korytarz częściowo wypełniony piaskiem. Na koniec Andrzej podjął rozmowę o następnej wyprawie i z dobrymi wiadomościami wróciliśmy do kraju. Rok później znów byliśmy w Alpincenter. Naszym głównym celem były okolice dna. Już na pierwszej akcji okazało się, że problem pozostanie nierozwiązany. Cel mieścił się jakieś trzy metry pod wodą. Pozostało nam poszukiwanie wyżej położonych korytarzy. W rejonie Zyklopengangu odkryliśmy ciąg boczny, który niestety połączył się w okolicach dna ze znanymi partiami. Jako ostatnią możliwość podjęliśmy próbę przekopania małego korytarzyka na poziomie 450m. Pomimo braku spektakularnych odkryć postanowiliśmy przyjechać tam ponownie. W roku 2000 na przełomie marca i kwietnia byliśmy znowu w masywie Kitzsteinhornu. Postanowiliśmy poświęcić cztery akcje na przekopanie korytarza pozostawionego rok wcześniej. Jeśli nie udałoby się przekopać, to szukalibyśmy gdzie indziej. Ku naszej radości pod koniec ostatniej akcji dostaliśmy się do nowych partii.

Początkowo zaczynały się one ciasnotami, które jednak szybko przekształciły się w obszerne galerie. Nazwaliśmy je Galerie Króla Ryszarda, odchodziły z nich dwa ciągi studni. Pierwszym przez Owczą Studnię udało się osiągnąć Salę Proroka na głębokości 700 m. Eksplorację skończyliśmy tam nad krawędzią następnej studni. Drugi ciąg studni, odchodzący od galerii, szybko zakończył się ciasną szczeliną. Odkryliśmy ponad półtora kilometra nowych ciągów i jaskinia nie skończyła się. Były to bardzo dobre perspektywy na następną wyprawę. Na tegoroczną wyprawę jechaliśmy z dużymi nadziejami, ale w składzie mocno okrojonym. W końcówce marca, w sześć osobowym składzie byliśmy w Alpin-

center. Otwór mieliśmy odkopany przez Richarda, tak więc po zaporczeniu początku jaskini pierwsza dwójka mogła założyć biwak. Jako pierwsza dwójka do jaskini wchodził Krzysztof Piksa i Wojtek Sieprawski. Na głębokości około 100 m na Krzyśka osunęła się wana rozcinając mu palec u dłoni i przygniatając stopę. Na szczęście był w stanie wyjść z jaskini o własnych siłach. Od razu razem z Henrykiem Nowackim udali się do szpitala. Ponieważ została nas czwórka nie mogliśmy wejść na biwak. Richard opowiedział nam o nowej jaskini, którą znalazł dwa tygodnie przed naszym przyjazdem. W Eisschachthohle, bo tak się nazywała, osiągnęliśmy dno na głębokości 156 m. Następnego dnia dojechała dwójka Francuzów Philippe Audra i Jean-Paul Saunier. Po uzgodnieniach telefonicznych z kierownikiem Andrzejem Ciszewskim ustaliliśmy plan działania. Kuba Nowak i Krzysiek Nowak weszli jako pierwsza dwójka biwakowa. Wojtek i ja jako dwójka transportowa, parę godzin po nas weszli Philippe i Jean-Paul. Biwak musieliśmy założyć w starym miejscu na 400 m ponieważ przekop wymagał poszerzenia. Kuba i Krzysiek założyli biwak i przekopali wygodne przejście przez kluczowy odcinek. Francuzi po spaniu poszli na eksplorację. W międzyczasie dojechał Andrzej, Ewa Wójcik i Michał Ciszewski. Razem z nimi Agnieszka Gajewska i Krzysztof Recielski. Po trzech dniach ze szpitala wyszedł Krzysiek, niestety musiał on szybko wrócić do kraju. Razem z Henrykiem wyjechali do Polski. Wojtek i ja w Alpincenter z niecierpliwością czekaliśmy na kolegów. Na koniec okazało się, że Agnieszka i Krzyśkowi zepsuł się samochód i zostali na dole zdani na łaskę mechaników. Na górę wyjechał więc tylko Andrzej, Ewa i Michał. Tego dnia z biwaku wyszli Philippe i Jean-Paul, przynieśli wieści, że posunęli się jakieś 120 metrów w dół. Kuba i Krzysiek poszli na eksplorację, ale zaczęło brakować lin.

Dzień później po wyciągnięciu lin z jaskini Lodowej na biwak wszedłem z Wojtkiem. Po dojściu do chłopaków dowiedzieliśmy się, że udało im się dojść do około 900 m. Oznajmił mi, że niestety po jednej akcji musimy wychodzić. Chłopaki poszli więc na akcję kartująca, a my do śpiworów. Po czternastu godzinach wrócili zadowoleni, że więcej nie muszą tam iść. Zaczęły się błota. „Po-

cieszeni” tą wiadomością wyszliśmy na ostatnią akcję. Z biwaku na przodek szło się zdecydowanie za długo. Po czterech godzinach stanęliśmy przed studnią, gdzie skończyli poprzednicy. Faktycznie błoto było bardzo uciążliwe, w czasie kiedy Wojtek zjeżdżał studnią, ja zajęty byłem nieustannym chodzeniem, gdyż dłuższy postój powodował zapadanie się w brązowej mazi. Za studnią zmiana prowadzenia i ja zjeżdżałem opadającym kaskadowo meandrem. Szybko zdobywaliśmy kolejne metry, kaskadki skończyły się w małej salce, skąd krótki korytarz doprowadzał nad pochylnię. Po krótkiej naradzie postanawiamy kontynuować eksplorację.

Pochylnia kończyła się małym prożkiem, za nim opadający korytarz (Stajnie Augiasza przed sprzątnięciem) doprowadził do rozszerzenia. Dalej na wprost korytarz obniżał się, z dna rozszerzenia odchodził ciasny przełaz, później korytarz był obszerniejszy. Niestety trzeba było kuć. Pozostało nam zmierzyć nasze odkrycia i wracać. Na biwak wróciliśmy zmęczeni, ale zadowoleni. Krzysiek i Kuba gotowi, czekali tylko na nas, zabrali część biwaku i wyszli na powierzchnię. Po spaniu spakowaliśmy biwak i wyszliśmy na świat. W Alpincenter oprócz Kuby i Krzyśka zastaliśmy Andrzeja, Ewę, Michała i Agnieszkę. Krzysztof ostatecznie musiał wrócić do kraju. Po przeliczeniu pomiarów, ku naszej radości okazało się, że przekroczyliśmy tysiąc o całe 25 metrów. Na ostatnią akcję weszli Andrzej, Ewa i Agnieszka. Wyciągnęli oni liny z początkowej części jaskini. Dzień później spakowaliśmy się i przenieśliśmy do chatki pod Lamprechtsofen. Tam świętowaliśmy nasz wynik osiągnięty pomimo licznych przeszkód. Wiemy, że jaskinia Feichtnerschachthohle nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa i na pewno wrócimy do niej za rok.

Wyprawa odbyła się od 29.03. do 10.04.2001 r. w składzie: Andrzej Ciszewski kierownik, Marcin Czart, Jakub Nowak, Krzysztof Nowak, Henryk Nowacki, Wojciech Sieprawski, Ewa Wójcik, (wszyscy KKTJ), Krzysztof Piksa (Akademicki Klub Grotolazów), Agnieszka Gajewska, Krzysztof Recielski (oboje Speleoklub Warszawski), oraz Philippe Audra i Jean-Paul Saunier.



O zimowej eksploracji jaskiń

na przykładzie włoskiego Complesso del Foran del Muss,
z doświadczeń własnych i przyjaciół słów kilka

Tomasz Kuźnicki

Masyw, w którym leży Jaskinia Complesso del Foran del Muss, należy do włoskiej części Alp Julijskich. To właśnie tutaj od kilku lat działają polskie wyprawy pod kierownictwem Marka Kozła, a owocem pracy polskich i włoskich grotolazów jest prawie 25-kilometrowy system, posiadający 24 otwory wejściowe oraz głębokość 1111 metrów. To właśnie dzięki pracy 12 wypraw polscy speleolodzy uzyskali szacunek włoskich kolegów, odczuwalny poprzez uprzejmy uśmiech, ukłon, aż po ściąganie czapek. Takie uznanie to już nie byle co, bo Włosi chodzić po jaskiniach potrafią. Lecz mimo ogromnego doświadczenia oraz wielu klubów zrzeszających na terenie Włoch kilkuset grotolazów, zimą eksplorować to oni nie lubią. I decyduje się na to jedynie kilku z nich. Jest jednak faktem, że tylko zimą dostać się można do niektórych partii tamtejszych jaskiń i wyprawy takie są konieczne. Ograniczeniem jest tutaj woda, a tej zimą jest o wiele mniej. Zmrozona na powierzchni nie dociera głębiej umożliwiając eksplorację syfonów i cieków wodnych. To właśnie dlatego kolejny wyjazd eksploracyjny w ten rejon odbył się w II połowie marca 2001 r.

Poranek 19 marca zastał mnie pod granicą słoweńsko-włoską. W głowie panowała mi jeszcze mieszana wspomnień z podróży, wieczornej imprezy ze Schmitem (tak, tak, tym skoczkiem) i radiem RMF w pięknej Planicy. Pomimo tego zamętu zacząłem wyczuwać coś z tej niepowtarzalnej atmosfery, jaka panuje na wyprawach. Niezawodni, sprawdzeni wielokrotnie towarzysze, Daniel i Marcin, podobnie jak ja, przecierali właśnie oczka, kiedy pierwsze promienie słońca oznajmiły nam, że dziś kolejny dzień odwilży. Nie wiedząc jeszcze, czy cieszyć się z tego czy smucić, pokonałszy ostatnie kilkanaście kilometrów, jakie dzieliły nas od miejsca spotkania z głównym trzonem wyprawy w Sella Nevea. Ta włoska

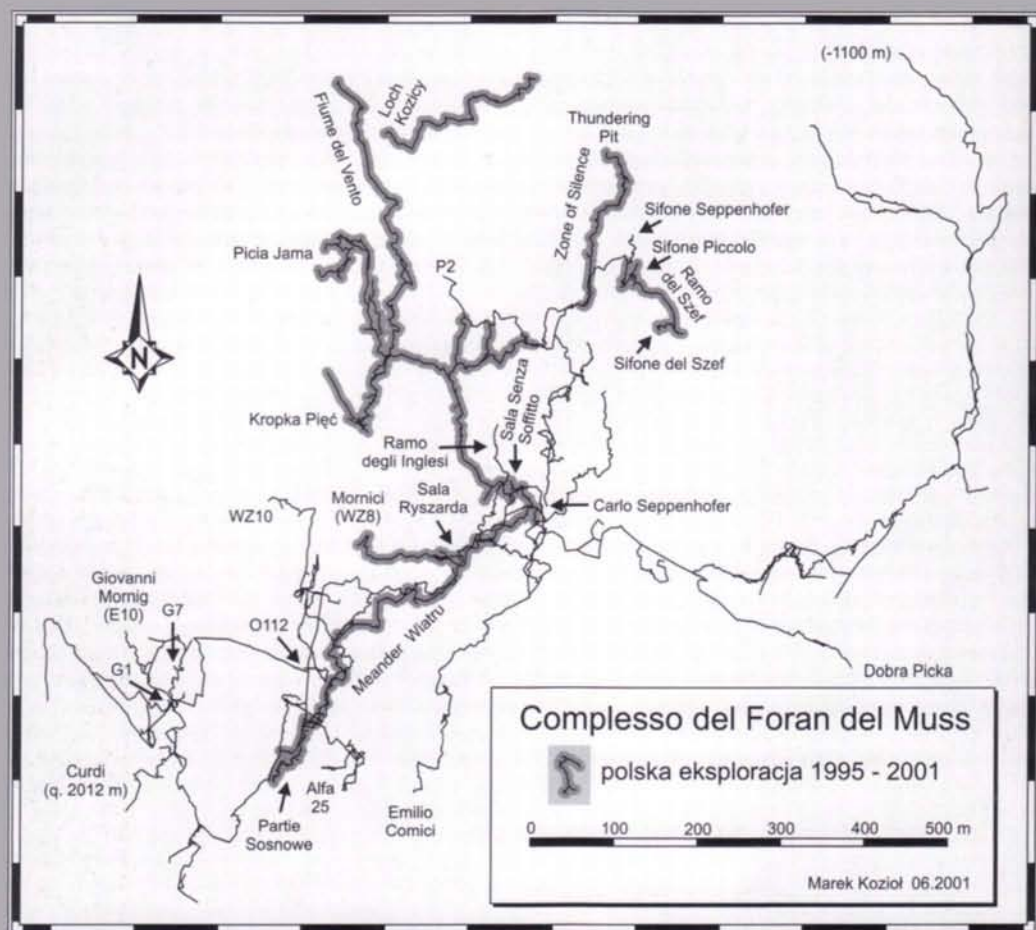
miejsowość (nie wiem, czy można tak nazwać trzy ogromne hotele, jedną restaurację, kolejki i wyciąg narciarski) zdecydowanie nie sprawiała trudności z odnalezieniem oczekujących nas kolegów. Okupowali oni, jak to pozostaje jeszcze w zwyczaju wielu Polaków, parking w okolicach kolejki linowej, i to właśnie tu padło знаmienne powitanie Przemka Włoska: „Speleoklub Dąbrowa Górnicza wita Speleoklub Bobry na wyprawie Avenu Sosnowiec”. No tak, trzech z jednego, trzech z drugiego i kierownik Marek Kozioł z Avenu. Brzmi śmiesznie? Myślę, że tak, bo nas też to rozbawiło. Sytuacja jak na wyprawy speleologiczne dość rzadka choć nie odosobniona. Należy tu jednak zaznaczyć, że sytuacja ta wyraźnie cieszyła kierownictwo, które z wielkim entuzjazmem pokazywało nową dla nas okolicę, opowiadało co ciekawsze historie. A było co opowiadać, w końcu to 12 wyprawa w ten masyw. Moje wcześniejsze kontakty z kierownictwem w osobie Marka ograniczały się do wysłuchiwanie jego zajmujących prelekcji podczas corocznych speleokonfrontacji. Ten niewysoki szczupły brodac z włosami przesuniętymi lekko w stronę pleców urzał swoją otwartością. Drobiazgowo zorganizowany i przygotowany, co wiązało się z proporcjonalnie dużą ilością czasu potrzebną do każdego wyjścia. Posiadał notesy i kalendarze z każdej wyprawy. Te tajne notatki były bezcenną skarbnicą wiadomości o wszystkich depozytach w jaskini, linach, workach, karbidzie, jedzeniu, co, gdzie, kiedy itp., po prostu wszystko. Zastanawiało mnie tylko, czy nie można tego przepisać do jednego notesiku zamiast dźwigać 5 organizerów, ale przecież każdy nosi swoje. Ładowaliśmy więc wszystkie te nasze toboły do wagonika kolejki, podczas gdy chmury zaczynały przesłaniać pobliskie szczyty. Już po chwili piękne widoki pozostały tylko wspomnieniem, a my unieszeni przez kolejkę w totalnym mleku pozosta-

wialiśmy w dole wierne pojazdy. Teraz wszystko zaczęło nabierać tempa. Z górnej stacji kolejki (1200 m n.p.m.) szybkie transporty do pobliskiego schroniska Gilberti, odkopanie piwnicy, która służy takim jak my za schron, spod 2 metrów śniegu i po południu pierwszy transport na przełęcz Bila Pec. Jedno z rzadkich przejaśnień pozwala zerknąć na nasz cel. Na pierwszy rzut oka nic wielkiego - nie wysoko, nie daleko, stoki stają dęba dopiero pod ścianami. Jednak Dzygit z Markiem szybko wyprowadzają mnie z błędu. Czas wejścia na przełęcz waha się od 15 minut latem do 4 dni zimą, a lawiny są tu na porządku dziennym. Idąc po świeżym lawinisku czujemy się trochę pewniej. Duże odstępy i sznureczki lawinowe zapewniają minimum bezpieczeństwa. Pomimo że śnieg jest dość stabilny (w porywach do pasa), a my wchodzimy na przełęcz dość szybko, wracając do Gilberti obiecujemy sobie, że następnego dnia wyjdziemy z samego rana. Jest faktem, że prawie nam się udało. Dzygit to wyszedł jeszcze po ciemku, jak zresztą zapowiadał. Problem w tym, że ciemno było tylko w piwnicy, a na zewnątrz słońce dawało tak, że lepiej się opalać było niż gdzieś wychodzić. Sprężyliśmy jednak ruchy, zrobiliśmy szybkie pakowanie, co miało później pewne konsekwencje (brak palników) i szybko zdobyliśmy przełęcz. Daniel, Marcin i ja z zazdrością zerkaliśmy na kolegów, którzy na nartach sprawnie poruszali się po mokrym śniegu. Nawet Marek wyprzedzał nas na swoich rakietach śnieżnych, kiedy plecaki wciskały nas głęboko we własne ślady. Przypuszczam, że rów, jaki po nas pozostał był widoczny jeszcze wiele dni. Na przełęcz plan nakazywał założenie poręczówki w celu pokonania dużo bardziej stromego zlebu, jaki znajdował się po drugiej stronie. Wtedy właśnie miałem okazję zapoznać się z miejscem, w którym 2 tygodnie wcześniej dwóch naszych kolegów: Waldek Mucha i Jacek Różański walczyło by wydostać się do domu. Mieli oni za zadanie, odniosłem wrażenie że na ochotnika, dostarczyć do Bivacco Procopio znaczną ilość sprzętu, jaki był potrzebny wyprawie. Wszystko byłoby OK., gdyby nie duże opady śniegu, które odcięły ich w schronie. Do wyjścia przymierzali się kilka razy, jednak wiatr i głęboki śnieg zwracały ich po kilkudziesięciu metrach. Któregoś dnia, po opracowaniu skomplikowanej procedury torowania, udało im się w końcu

wyruszyć. Poruszający się z przodu zawodnik rozkładał szeroko ramiona, napierać ciałem na śnieg co doprowadzało go w efekcie do pozycji horyzontalnej. Następnie na tak przygotowany teren należało wstać, potupać i po chwili było się już metr dalej. Walcząc dzielnie, pod koniec dnia dotarli pod przełęcz, gdzie ku ich wielkiej radości ujrzeli jedenastu Węgrów przecierających szlak. Dodało im to sił, gdyż wiedzieli, że gdy dojdą do ich śladów, reszta to bułka z masłem. Kiedy jednak Węgrzy wchodzili w początkowe partie zlebu, spod szczytu Bella Pec oderwała się niewinna lawinka. Na szczęście nie czyniąc nikomu szkody, wpłynęła demobilizująco na grupę węgierskich speleologów. Nastąpił błyskawiczny odwrót, a naszym nieszczęśnikom pozostało jedynie dołączyć do nich, by spędzić kolejną noc w pobliskim DiViPi. Rano Węgrzy wezwali śmigłowca, jednak Włosi stwierdzili, że to taxi i zeby sobie radzili sami. Po krótkiej dyskusji na przełęcz ruszyli Polacy, a reszta stwierdziła, że poczeka na lepsze warunki. Kiedy Jacek i Waldek dochodzili do zlebu zauważyli, że podążają za nimi Węgrzy z lopatami. Dalej poszło już szybko. Polacy do góry, Węgrzy stop. Lawina na dół, Polacy z nią. Węgrzy ich odkopują, śmigłowce przylatują i po sprawie. Włoch mądry po szkodzi, jak mówi przysłowie. Wszystkich 13 do śmigłowca i do domu. Faktem jest, że do śmigłowca nie wolno było zabierać sprzętu (plecaki itp.), więc Waldek ubrał wszystko na siebie, a że miał wybite ramię, to nawet go za bardzo nie „obmacywali”.

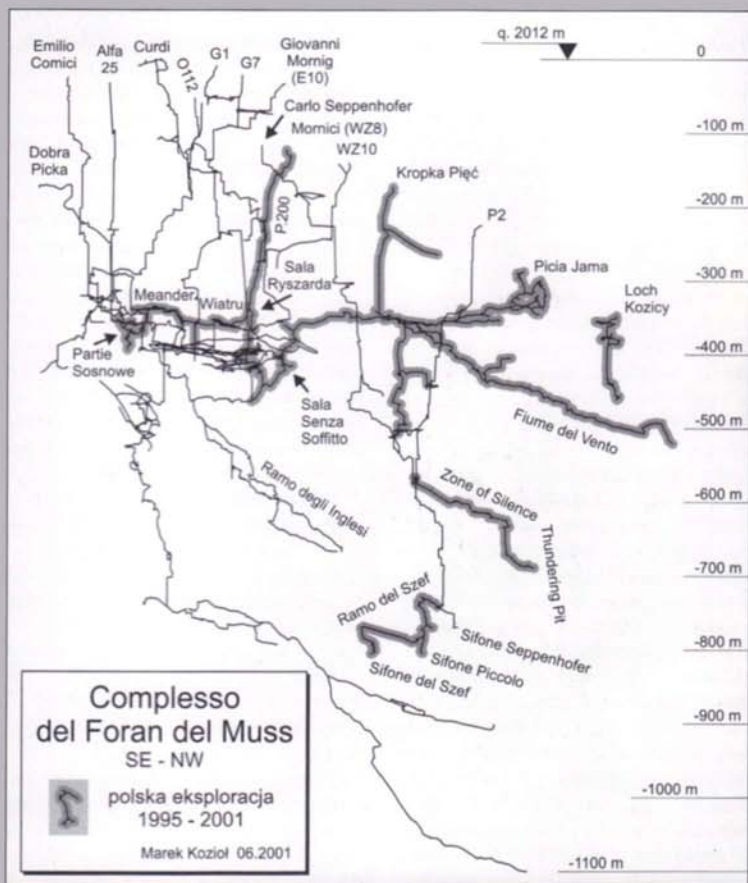
Wtedy wszystko skończyło się dobrze, jednak teraz to ja stałem nad zlebem i zastanawiałem się, czy worek z liną rzucić czy targać go powoli razem z plecakiem. W związku z tym, że wybraliśmy najdłuższą linę i wielki worek, stwierdziłem, iż popychanie go przed sobą będzie całkiem dobrym pomysłem. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem, jak worek oddala się nabierając rozpędu. Kilkadziesiąt metrów poniżej podskoczył pierwszy raz, w chwilę później drugi. Już wcześniej zaczęły z niego wypadać dziwne rzeczy: jakaś puszka, karton itp. Stałem tak nad tą stromizną trzymając w rękę jakieś 10 metrów sznurka, które ktoś upchał na wierzchu i patrzyłem na pędzący, czerwony wór. Przyjrzałem się, ilość poruszających się za nim obiektów zwiększyła się o kolejny karton. Karton podskoczył, karton upadł. Wytężyłem wzrok, lecz w miejscu, gdzie

Jaskinie



powinno być małe, brązowe pudełko, znajdowało się teraz ok. 100 małych złotych obiektów, trudnych do zidentyfikowania z tej wysokości. Czas było ruszać. Nieustraszony agent Tomek przyłożył swoje cztery litery do twardego w tym miejscu śniegu, wyciągnął nogi w przód i wystartował, asekurując się swoją doskonałą siekierką alpinistyczną firmy Cassin. W stylu zawodnika jamajskiej reprezentacji narodowej w bobslejach osiągnąłem dość szybko miejsce katastrofy. Szczątki nieszczęsnego wora wały się po całym stoku. Identyfikacja małych, złotych obiektów przyniosła nieoczekiwany wynik Prince Polo. Świadom gniewu kolegów natychmiast rozpocząłem sprzątanie stoku. Tak zastali mnie kolej-

ni zjeżdżający. Plemię górskich zbieraczy dość szybko uwinęło się z bałaganem. Nie marudziłyśmy, gdyż do domu było jeszcze daleko. Kiedy po południu wszyscy osiągnęli Bivacco Procopio, powstała koncepcja powrotu jeszcze tego samego dnia pod przełęcz po pozostawiony depozyt. Stwierdziłem, że lepiej się nie wychylać i udawałem, że mam dużo zajęć typu rozpakowywanie śpiwora, suszenie rękawic, itp. Na szczęście zdążyć mogli tylko narciarze. Poszedł więc Przemek, Włodek, a trzeciego Dzygita zastąpił Marcin, który był szczęśliwym posiadaczem skorup pasujących do wiązań ski-tourowych. Dziwnie jakoś nikt nie uwierzył mi, że nigdy na nartach nie jeździł. Potraktowano to jako dobry żart i stwier-



dzono, że kiedyś nauczyć się musi. Daniel i ja mieliśmy niezły ubaw, kiedy wyobrażaliśmy sobie biedaka na stoku. On naprawdę nigdy nie widział desek z odległości mniejszej niż 10 metrów. Tak czy inaczej uczyć się musiał, więc się uczył. Z perspektywy czasu przyznać należy, że nauka ta szła czy też, jak powiedzialby ktoś inny, zjeżdżała mu całkiem niezłe. Transport powrócił, depozyt wykopano, a droga do jaskini została wytrasowana, co zresztą okazało się później pomysłem rewelacyjnym. Jedynym problemem, jaki pojawił się przed dzielnymi eksploratorami podziemnego systemu Comlesso del Foran del Muss, był „niewielki” opad śniegu, jaki wystąpił tej zimy. Wiązało się to z pewną niezbyt przyjem-

ną czynnością, zwaną niekiedy śniegoryciem. Dzięki znakomitej znajomości terenu, kierownik bezbłędnie ustalił położenie otworu Kropka 5, a następnie rzucał do boju kolejne ekipy śniegoczerców. Nie minęły dwa dni, gdy z pionowej dziesięciometrowej śnieżnej rury usłyszano głos Daniela: *Jest franca, jest!* Później była już tylko ciemność.

Krótki, suchy trzask karabinka, w chwilę później następny. Cisza... Ciemność. Krople wody wydają się spadać nawet w małych nyzach, jedna za drugą, wszędzie. Tak właśnie wygląda słynny deszcz jaskiniowy. Kolejny trzask, zszywanie kombinezonu. Z góry słychać grzechot drobnych kamyczków. Na wszelki wypadek chowam się w najdal-

szej części małej salki. Powyżej widać już światło. Jeszcze jedna przepinka i po krótkim zjeździe Marcin ładuje obok worów z depozytem. Rozpoczynamy przegląd sprzętu z letniej wyprawy. Dzygit sprawnie ustala, co zostaje, co bierzemy. Już po chwili przeciskam mój trzyworowy przdział przez pobliską szczelinę. Wiem, że jak zrobi się szerzej, będzie już łatwo. Marcin idzie ostatni. Ma tylko dwa szejpe. To on będzie dobijał dodatkowe spity, musi więc mieć więcej swobody. Wisimy. Do najbliższej ściany kilka metrów. Jeden za drugim, trzy światełka migają w mroku wielkiej studni. Ponad 100 metrów zjazdu pozwala poczuć ogrom podziemnych pustek. Końcowy zjazd z wodą wpadającą za kolnierza doprowadza do ogromnego dna. Szybko uciekam w bardziej suche, przyjemniejsze miejsce. Tu jest bezpiecznie. Przewieszka chroni przed spadającymi kamieniami. Już po chwili Dzygit rzuca swoje trzy jamniki obok moich. Spoglądam na nie z obawą, mam nadzieję, że nie będą się rozmnażać. Obaj nie znamy dalszej drogi, wiemy tylko, że gdzieś tutaj rozpoczyna się meander. To za nim założymy biwak. Czekamy. Marcin w górze, odsieczy nie słyhać, a nam zaczyna być już chłodno. Włodek ostrzegal, żeby nie wchodzić w meander, bo zgubić się łatwo. Czekamy. W górze słyhać uderzenia młotka. Zaraz powinni nas dogonić Włodek i Przemek, poprowadzą w ciasnotach. Spoglądam na Dzygita, on na mnie. W jego oczach wyraźnie widzę, że damy radę. Pewnie, że damy, co my nie damy rady? Sprawa jest jasna: idziemy. Weźmiemy po jednym worze i poszukamy drogi. Plan wydaje się dobry, biorę więc najcięższy worek. Zostaną mi dwa lekkie. Przeciskam się przez pierwsze przewężenie. Pod nami kilkumetrowa szczelina, worek zaczepia o liczne występy. Pamiętam, że trzeba skręcać zawsze w prawo. Dzygit, że powinno się iść blisko stropu. Tutaj ma być najszerszej. Uderzenie, zamieram w niewygodnej pozycji. Głuchy huk niesie się jeszcze przez chwilę podtrzymywany przez jaskiniowe echo. Pierwsza myśl jaka wpada mi do głowy: Marcin. Krzyczę. Cisza, rzucamy wory i wracamy najszybciej jak tylko potrafimy. Krzyczymy cisza. W głowie mętlik. Może nic się nie stało, może to tylko jakaś wielka wana. A jeśli się myślę? Co ja powiem jego mamie. Już widać dno studni, kiedy wyraźnie wyczuwamy gaz. Jak na komendę gasimy palniki. Oświetlenie elektryczne jest tu zde-

cydowanie bezpieczniejsze. Podbiegam do żółtej plamy leżącej pomiędzy kamieniami, na pobliskich głazach widać strzępy materiału. Pojemniki z gazem wydają się być porzucane po prostu wszędzie. Po raz kolejny zdzieram gardło. Z góry dobiega cicha odpowiedź. Żyje, chyba nic mu nie jest, to tylko worek. Po raz kolejny zbieram rozrzucony dobytek. Gaz nawet się nie ulatnia, on najwyczejniej w świetle wylewa się z metalowych butli. Jest trochę strat, ale na wyjaśnienia przyjdzie czas. Wracając do naszego meandra przypominam sobie inne numery Furtaka spalony biwak, wybuch beczki z karbidem, rzucanie płonąca karbidówką itp. Dołożył do tego kolejny epizod z cyklu materiały łatwopalne. Przypominam sobie również jedną z jego ksyw. Fredi. Nie ulega wątpliwości, że powinien nosić ubrania z nadrukiem ostrożnie z ogniem.

Przedemną pojawia się sylwetka mojego najlepszego przyjaciela. Tego, do którego grotolaz mówi, prosi, krzyczy, opowiada, a on zawsze wiernie słucha i czeka. Ma swoje humory, czasami się opiera, próbuje wracać, lecz w końcu podąża za nim. Mój worek czeka, a ja wiem, że jeszcze niejedno ciepłe słowo dziś ode mnie usłyszy. Nie mija 10 minut, gdy namiętnie wprowadzam słowa w czyn. Kilka kopnięć zdecydowanie pomaga jamnikowi przesunąć się w pożądanym kierunku. Kolejny zakręt, cały czas w zapieracze kilka metrów nad dnem. Pot zaczyna kapać z czoła. Zimno jest już tylko mglistym wspomnieniem, zaczyna nam raczej dokuczać gorąco. Przesuwam rękę kilkadziesiąt centymetrów dalej, drugą papierem o przeciwną ścianę na wysokości biodra. Teraz noga, tyłek, druga noga, i od początku. Zaczyna się robić ciasno. Schodzimy niżej, tam jest zdecydowanie szerzej. Zakręt, przewężenie, a za nim rozgąlenie meandra. Skręcamy w prawo. U góry jest wygodniej, ale worek skutecznie utrudnia wspinaczkę. Jeszcze kawałek, to się musi kiedyś skończyć. Skręcamy w prawo. Układam ciało na jednym boku, obrócić się dopiero kilka metrów dalej. Dlaczego zabrał em taki ciężki wór. Przeklinam. Trzeba się położyć, ale wygląda na to, że zaraz zrobi się szerzej. Mija długa chwila nim dociera do mnie okrutna prawda. Dzygit nie chce mi wierzyć. Obaj jesteśmy wypompowani. Fakt jest jednak faktem czuć gaz. Po kilku metrach wychodzimy spod ogromnej wany w dnie studni. Marcin już tu

jest, a Przemek z Włodkiem właśnie zjeżdżają studnię. Twarz Dzygita wyraża mieszane uczucia zaskoczenie, zmieszanie, zmęczenie połączone z furia, aż po krańcowe rozbawienie. Cóż nam w końcu pozostało, jak nie śmiech. Wracamy do meandra. Teraz idzie znacznie lepiej. Okazuje się, że byliśmy kilkanaście metrów od końca, zanim w pełni nieświadomie zawróciliśmy. Jeszcze tylko jeden kurs i złożymy nasz transport na biwaku, a później naprzód. Trzeba zaporeczować drogę na przodek. Zjeżdżamy, przechodzimy korytarz, wchodzimy w niepozorną szczelinę, kolejny zjazd, korytarz i „Studnia z Rzezbami”. Jaskinia zaczyna oczarowywać nas swoim pięknem. Robimy kilka zdjęć tzn. jeden pstryka, a dwóch wstrzymuje oddech. Mgła nie sprzyja dobrym fotkom. Wchodzimy w następny dużo bardziej komfortowy meander. Przepinam sprzęt i słyszę charakterystyczny grzechot, co za gafa, na poziomie kursanta. Spadająca poignee cichnie kilkanaście metrów poniżej w coraz węższej szczelinie. No pięknie, teraz to dałem d... Jest szansa, że wszystko łączy się kilkadziesiąt metrów niżej, zjeżdżam w pobliską studnię, ale połączenia brak. Wracam na shuncie powoli oswajając się z myślą o stracie pięknej, niebieskiej poignee Petzla. I gdy kończę gramolić się na półkę, kochany Dzygit podaje mi mój stracony przyrząd. Jestem szczęśliwy. Marcin już wlaź w okno w przeciwległej ścianie studni, tam jeszcze nikt nie był. Tutaj zaczyna się nowe. Mieliśmy co prawda tam nie wchodzić, tylko przygotować drogę dla innych, ale jak tu odpuścić. Tak to już jest, przecież eksploracja to najciekawsza chwila tego sportu. Kiedy wiesz, że nikogo tam jeszcze nie było i nikt nie wie, co jest dalej podnosi się ciśnienie, adrenalina zaczyna krążyć w żyłach, a człowiek nie może się powstrzymać, żeby chociaż nie zajrzeć. Trzeba tego doświadczyć, by zrozumieć Kolumba. Jest po prostu pięknie.

Przesuwam poignee, staję w pętli, croll pracuje nadzwyczaj dobrze, obciążam. Teraz ręka w górę i jeszcze raz to samo. Przepinka idzie szybko, zresztą wszystkie są dość wygodne, a jaskinia jest zaporeczowana wzorcowo. Czuję pracę poprzednich wypraw. – *Woolnaaa* – krzyczę. Wiem, że Przemek słyszy nie musi odpowiadać. Jednak komenda, to komenda i dobre wychowanie daje o sobie znać. – *Dzięki* – dobiega mnie z dołu. Półka, krótki trawers. To tutaj umawialiśmy się na

spotkanie. Układam ostrożnie szpej, nie chciałbym zrzucić jakiegoś kamienia. Polubiłem lobużów. Zapowiada się, że to nasza ostatnia akcja. Wyprawa minęła jak z bicza trzasnął, już wkrótce będziemy siedzieć przed telewizorami, pić piwo, wspominać. Włodek i Przemek siedzieli na biwaku dwie doby, widać, że nie odpoczywali. Eksploracja posuwała się systematycznie naprzód. Marek z Danielem też nie próżnowali. Dopiero kilka tygodni później dowiem się, że odkryliśmy 375 metrów nowych korytarzy, które udało się zmierzyć oraz około 400, które wstępnie zbadano. To właśnie w oknie w okolicy połączenia jaskiń P-2 oraz Abisso Carlo Seppenhofer biorą obecnie początek partie zwane Zone of Silence, za którymi znajduje się Grzmiąca Studnia (Thundering) i to właśnie tam zapowiada się połączenie z jaskinią Rotule Spezzate. Mam świadomość, że większość z okolicznych jaskiń łączy się ze sobą tworząc gigantyczny system. Wiem jednak, że pracy prowadzącej do poznania tych połączeń wystarczy jeszcze dla wielu pokoleń grotolazów. Wiem także, że polubiłem tych, których poznałem na tym wyjeździe. Marka, Dzygita, Przemka i Włodka. Wiem także, że jeszcze nieraz się spotkamy, usłyszymy swoje głosy w słuchawce. Możliwe, że przyjadą na zawody do Wojcieszowa, możliwe, że spotkamy się w lecie, na pewno jesienią na Speleokonfrontacjach, które organizuje Przemek, a koniecznie na naszym 35-leciu w Żaganiu, w grudniu. Wiem również, dlaczego siedzę teraz na tej półce w jaskini. Marzę w ciszy czekając na wyjście kolegów. Wiem to, ale nie potrafię wam tego opisać. To po prostu trzeba czuć.

Uczestnicy wyprawy:

1. Marek Kozioł – „Awen” Sosnowiec (kierownik)
2. Włodzimierz Porębski (Jacóś) – Speleoklub Dąbrowa Górnicza
3. Michał Radka – Speleoklub Dąbrowa Górnicza
4. Przemysław Włosek – Speleoklub Dąbrowa Górnicza
5. Marcin Furtak – Speleoklub „Boby” Żagań
6. Tomasz Kuźnicki – Speleoklub „Boby” Żagań
7. Daniel Oleksy – Speleoklub „Boby” Żagań

Członkowie Speleoklubu Bobry z Żagania uczestnicy tej wyprawy chcieliby podziękować za udzieloną pomoc firmie **Kredyt Bank**.

Z wizytą przyjaźni

Kiedy powiedziałem parę lat temu Wojtkowi Kurtyce, że dorobek alpinistów polskich jest bardzo dobrze znany w Bułgarii oraz że cieszą się oni dużą popularnością i uznaniem, usłyszałem słowa niedowierzania. Jest to święta prawda, ponieważ korespondentem bułgarskiej gazety „Echo” przez ponad 30 lat był Józef Nyka. Nie ma wydarzenia ze świata gór, o którym Pan Józef by nie napisał. W tak odległym już roku 1980, tuż przed zimowym Everestem, gościliśmy Andrzeja Zawadę, który (jak i rok później Adam Bilczewski) opowiedział nam wszystko o organizacji wypraw himalajskich. Obydwaj wybitnie przyczynili się do sukcesu pierwszej naszej himalajskiej wyprawy i można powiedzieć wskazywali nam drogę ku najwyższemu szczytom.

W sumie nie ma nic dziwnego w tym, że w ostatnich latach Instytut Kultury Polskiej w Sofii zaprasza wybitnych przedstawicieli sportów górskich i podróżników, tym bardziej, że każda taka wizyta cieszy się bardzo dużym zainteresowaniem. Po raz pierwszy przekonał się o tym Krzysztof Wielicki w roku 1997, tuż po zdobyciu 14 ośmiotysięczników. Potem (w 1998 r.) spotkał się z Markiem Kamińskim. W 1999 r. Andrzej Zawada otworzył wystawę Polska na stronach „Echa” z okazji 40-lecia gazety i wygłosił błyskotliwą prelekcję na temat wyprawy zimowej na Cho Oyu. Towarzysząca mu żona, Anna Milewska czytała piękne wiersze ze swojej książki.

Kiedy w zeszłym roku Ryszard Pawłowski prezentował swoje filmy o Himalajach, Karakorum, Patagonii i Alasce, zjawilo się dwukrotnie więcej osób niż mogła pomieścić duża sala. Wszyscy cierpliwie czekali, aby osobiście spotkać się z trzykrotnym zdobywcą Everestu.

W tym roku naszymi gośćmi byli: Andrzej Ciszewski i jego żona Ewa Wójcik. Po spotkaniu w Sofii, konferencji prasowej i licznych wywiadach dla ośmiu (!) stacji telewizyjnych, wyjechaliśmy do miasta Smoljan, na południe kraju, w pobliże granicy z Grecją. W sercu Rodopów zwiedziliśmy udostępnione dla turystów jaskinie Diabelska Gardziel i Jagodinska. Stałamtąd udaliśmy się do wsi Kruszuna (w okolicach miasta Lowecz), gdzie odbywało się letnie spotkanie bułgarskich grotolazów. Jednym słowem Andrzej i Ewa znaleźli się w swoim środowisku. Z bułgarskimi kolegami weszli do jaskini Popowskata (Boninskata) Dupka (przypominam, że słowo to w języku bułgarskim znaczy „dziura”).

Następnego dnia penetrowali bardzo ciekawy pod względem geologicznym płaskowyż Dewetaki (Dewetazsko plateau). Ostatniego wieczoru w obecności najmniej 200 osób na otwartym powietrzu Andrzej opowiadał o swojej wspaniałej karierze speleologicznej, pokazywał slajdy i filmy Jerzego Zygmunta o Lampo. Andrzej opowiedział także (podobno po raz pierwszy publicznie) o swoim ostatnim sukcesie w austriackiej jaskini Feichtnerschachtholle. Wracając do Sofii zwiedziliśmy

jaskinie Dewetazska, która do roku 1996 była... tajemnym i dobrze chronionym, dużym wojskowym magazynem paliw. Posiada ona największy na Bałkanach otwór wejściowy.

Jesienią oczekujemy w Sofii na spotkanie z Anką Czerwińską. Mam nadzieję, że Wojtek Kurtyka i jemu podobni uwierzą wreszcie w prawdziwość moich słów o popularności Polaków w Bułgarii.

Piotr Atanasow

Piotr Atanasow jest wydawcą i redaktorem naczelnym bułgarskiego pisma „Na grani”, którego tematyką są góry i sporty ekstremalne. Świetnie zna język polski.

Jaskinie w polskich piaskowcach

W dniach 1-4 maja 4 osoby ze Speleoklubu „Boby” z Zagania prowadziły rekonesans w Górach Stołowych. Park Narodowy Gór Stołowych przymierza się do inwentaryzacji obiektów jaskiniowych na swoim terenie. Speleoklub „Boby”, pod kierownictwem Haliny Zyzańskiej, miał za zadanie penetrację różnych rejonów Gór Stołowych w celu określenia, gdzie jaskinie występują i ile ich orientacyjnie jest.

Dotychczas w literaturze opisano zaledwie 3 jaskinie, gdy tymczasem po czeskiej stronie w Broumowskich Skalach inwentaryzacja została już przeprowadzona. Najdłuższa jaskinia w czeskich „piaskach” ma ponad 1 km długości!

Udało się nam spenetrować rejon Małego i Wielkiego Szczelińca (919 m n.p.m.) najwyższego szczytu Gór Stołowych. Zlokalizowaliśmy tam kilkadziesiąt obiektów jaskiniowych. Największe z nich miały po 60 m dł. i ok. 15 m głębokości. Kolejnym miejscem, gdzie trafiliśmy na jaskinie, były okolice Piekla i Potoku Rejśńskiego przy granicy z Czechami. Jaskinie tam występujące były typu zawaliskowego i rozciągały się wzdłuż potoku. Ich długość dochodziła do 60 m. W Górach Stołowych zlokalizowaliśmy ponad 100 jaskiń nadających się do inwentaryzacji. Groty te można podzielić ze względu na budowę na zawaliskowe i szczelinowe (powstałe na bazie szczelin). Szata naciekowa jest tu bardzo uboga. Natrafiliśmy jedynie na niewielkie „grzybki”, igielki wielkości do 0,5 cm zakończone zgrubieniem. Żeby przynajmniej mieć przybliżoną orientację co do ilości jaskiń, planujemy zorganizować jeszcze co najmniej jeden podobny wyjazd.

W eksploracji uczestniczyli:
Halina Zyzańska kierownik
Henryk Zyzański,
Rajmund Kondratowicz,
Marcin Furtak.

Marcin Furtak

Serwis prawie światowy

Mariusz Zaruski w Muzeum Sportu i Turystyki

Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie przygotowało wystawę pt. „Mariusz Zaruski, taternik, narciarz, żeglarz”. Wystawa, którą uroczyste otwarto 15 października, czynna będzie do końca lutego następnego roku. Ekspozycja wzbogacona została o filmy (wyświetlane w czwartki i soboty), spotkania i sesję naukową. Bilet wstępu kosztuje 4 zł. Wszystkich dodatkowych informacji można zasięgnąć pod nr. tel. (22) 825 48 51.

Festiwal w Popradzie zakończony

Główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Górskich w Popradzie (10-14 października) przyznano słowackiemu filmowi „Mustang” autorstwa Pavla Barabaša. Festiwalowej (nielicznej) publiczności zaprezentowano łącznie 40 filmów, wśród których przeważały produkcje słowackie, słoweńskie i włoskie. Polskę reprezentował ciepło przyjęty przez widzów film „Andrzej Zawada ostatnia rozmowa” Anny T. Pietraszek. Gościem honorowym festiwalu była Catherine Destivelle.

Ogre zdobyty po raz drugi

Thomas Huber, Iwan Wolf i Urs Stöcker 21 lipca stanęli jako drugi zespół na wierzchołku słynącego z niedostępności Ogre (Baintha Brakk, 7285). Bazę założono na wys. 5000 m i po przeczekaniu załamania pogody rozpoczęto działalność górską, w trakcie której powstały trzy obozy pośrednie (5900, 6200, 6500). Wejścia dokonano kombinacją dróg Fine-Vauqeta i Boningtona-Scotta w trudnych warunkach pogodowych. Miarą osiągniętego wyniku jest fakt, że w tym sezonie górę atakowały bez powodzenia cztery inne, silne wyprawy. Przypomnijmy, że Huber i Wolf otrzymali od francuskiej Groupe de Haute Montagne prestiżową nagrodę Złotego Czekana za poprowadzenie w ubiegłym roku niezwykle trudnej Shiva's Line na Shivlingu. Pierwszymi

zdobycami głównego wierzchołka Ogre byli Chris Bonington i Doug Scott. Do historii przeszła ich dramatyczna walka o życie podczas powrotu ze szczytu.

Kamet bez sukcesu

Z wysokości 7400 nastąpił odwrót polskiej wyprawy na Kamet (7756) w Himalajach Garhwalu. Przyczyną odwrotu były złe warunki atmosferyczne.

Są jeszcze takie góry

Miło mieć świadomość, że są jeszcze choć małe i nieliczne białe plamy na mapach gór świata. W latach 1999 i 2000 wyprawy Uniwersytetu Waseda z Tokio weszły jako pierwsze grupy z zagranicy we wschodnią część Kunlunu, do źródeł rzeki Keriya. Podwójny rekonesans wiosną i jesienią 1999 pozwolił zbadać długą drogę dojścia i przywieźć szczegółowe zdjęcia. Latem 2000 roku 90 osłów przez 12 dni niosło ekipę i jej bagaż do bazy u północnych podnóży dziewiczej góry **Czong (Qong) Muztagh** (6962 m). Założono bazę wysuniętą 5200 m, a na szerokiej grani północnej obozy 5900 i 6400 m. 15 sierpnia 2000 po dość trudnej wspinaczce prawie 7-tysięczny szczyt osiągnęli **Hiroaki Kino** (37), **Yasuhi Tanahashi** (37) i weteran himalajski **Eiko Otani** (57). Podjęta 20 sierpnia próba II wejścia nie powiodła się z powodu niepogody, podobnie jak zamiar zdobycia szczytu zachodniego. Czong Muztagh znaczy *wielka góra lodowa*. W otoczeniu jest jeszcze kilka niezdobitych szczytów 6-tysięcznych. Około 100 km dalej na zachód wznosi się najwyższy szczyt całego Kunlunu Zachodniego, bezimienny P. 7167 m, zdobyty przez Japończyków w r. 1986.

Zupełnie nieeksplorowane jest też długie pasmo **Kangri Garpo** w południowo-wschodnim Tybecie, jakby we wschodnim przedłużeniu Himalajów, kulminujące w szczycie Bairiga (6882 m). Jesienią 2000 owocny rekonesans przeprowadził

tu japoński klub weteranów, znany pod nazwą Srebrnego Żółwia, zrzeszający alpinistów w wieku 60-70 lat.

Tej jesieni w podobną białą plamę wkroczył **Chris Bonington**, który wespół z **Harishem Kapadia** poprowadził małą wyprawę indyjsko-brytyjską w północnozachodni cypel Indii, w dziewicze i bezimienne pasmo, nazwane **Arganglas**. Uczestnicy hinduscy (wśród nich oficer łącznikowy) weszli na szczyty 6360 m i 6312 m. Chris z towarzyszami próbował zdobyć najwyższe wzniesienie pasma, Argan Kangi (6789 m, nazwę nadała wyprawa), przeszkodziły mu w tym jednak śniegi. Głównym sukcesem ekipy jest przejście przez dwójkę **Mark Richey** i **Mark Wilford** 1300-metrowej północnej ściany szczytu 6218 m, roboczo nazwanego Eigerem. Wspinaczka o alpejskich trudnościach zajęło im niemal 5 dni, natomiast główną przygodę stanowiło zejście o głdzie w dziki wodny kanion po drugiej stronie masywu, ze zjazdami przez serie wodospadów. Harish Kapadia zbadał okoliczne doliny, lodowce i przełęcze. Wydarzenia na Manhattanie i wzrost napięcia w Azji Centralnej zmusiły wyprawę do przerwania owocnej działalności.

Niezdobytych 7-tysięczników jest jeszcze dość dużo, 6-tysięczników więcej niż tysiąc. Nepal zapowiada, że Międzynarodowy Rok Gór 2002 uczci otwarciem przeszło 100 szczytów tej klasy, w większości dziewiczych. A która z samodzielnych gór jest najwyższą na świecie dotąd niezdeptaną przez człowieka? Japońscy eksperci mówią, że wspaniały **Gankarpunzum** (7570 m) na granicy Chin i Bhutanu, na razie niedostępny ze względów politycznych. Ale według naszych danych jego dziewictwo nie jest całkiem pewne.

(Głos Seniora 9/2001)

Shisha Pangma w kolekcji Pawłowskiego

Swój 10. ośmiotysięcznik Shisha Pangma (8027) zdobył Ryszard Pawłowski. Dotarł on na wierzchołek 1 października w towarzystwie nepalskiego partnera. Mimo że jest to 10. szczyt w kolekcji, należy pamiętać, że Pawłowski (jako jedyny Europejczyk) ma trzy wejścia na Mount Everest, a więc jego łączna ilość wejść na szczyty ośmiotysięczne wynosi 12.



Rys. M. Konecki

Viagra w górach

Jak informuje „Gzaeta Górská”(10/2001), Viagra, znany środek na męską niemoc, może mieć zastosowanie w chorobie wysokościowej i w leczeniu jej objawów. Viagra zawiera enzym, który wchodzi również w skład leków podawanych przy atakach choroby wysokościowej. Przestrzegamy jednak przed zabieraniem dużych ilości tego preparatu na wyprawy - do tej pory nie przeprowadzono prób klinicznych na większych wysokościach.

HARD ROCK

Tomaš Mrázek w formie

Młody, bo jeszcze 19-letni wspinacz z Brna (Czechy) odniósł duży sukces na mistrzostwach świata seniorów w konkurencji na trudność. Zawody odbyły się w Winterthur (Szwajcaria) i zgromadziły najlepszych wspinaczy sportowych świata. Mrázek zdobył tytuł wicemistrza świata pokonując utytułowanego Francuza Francois Petit. Mistrzem świata wśród mężczyzn został Gerome Pouvreau (Francja), a wśród kobiet Martina Cufar (Słowenia), która pokonała Muriel Sarkany (Belgia) i Chloe Minoret (Francja). Tomaš Mrázek jest aktualnym mistrzem świata juniorów (do lat 19).

VI.8 po raz drugi

Tegoroczny sezon wspinaczkowy został uwieńczony powstaniem ekstremalnej drogi na Gołębniku *Pandemonium*. Autor, Rafał Moucka po rocznej pracy nad projektem wycenia swoją drogę na VI.8. Droga jest w 100% naturalna! Nie ma na niej żadnych ograniczników ani podkutych chwytów (co na drogach o wysokich wycenach w polskich skałach należy już do rzadkości). Obfituje za to w strzały z fajerów i pewnie w przyszłym roku zbierze niemałe żniwo skasowanych palców tych, którzy będą próbowali się z nią zmierzyć.

(Góry 9/2001)

Rock Masters Arco 2001

W dniach 15-16 września we włoskim Arco odbyły się najbardziej prestiżowe zawody we wspinaczce sportowej. Przeprowadzono je w trzech konkurencjach: wspinaczki na trudność, na czas i boulderingu, a uczestniczyła w nich prawie cała czołówka światowa. Po raz kolejny świetną formę zademonstrował Tomaš Mrázek (Czechy). W konkurencji na trudność zajął 1. miejsce wspólnie z Niemcem Christianem Bidhammerem i Japończykiem Yuji Hirayama. Wszyscy przeszli całą drogę finałową. Ubiegłoroczny zwycięzca Jewgienij Owczynnikow był dopiero dwunasty, czterokrotny zwycięzca Rock Masters Francois Le-

• grand czwarty, a dwukrotny zwycięzca Francois Legrand dopiero piętnasty.
• W konkurencji na trudność wśród kobiet zwyciężyły zawodniczki, które również osiągnęły top:
• Martina Cufar (Słowenia) i Muriel Sarkany (Belgia). Trzecia była Marietta Uhden z Niemiec.
• W ubiegłym roku Sarkany była również pierwsza, a Cufar trzecia. Rozdzieliła je Francuzka Liv Sansoz. W konkurencji na czas wśród mężczyzn pierwsze miejsce zdobył Jakow Soubotine, a drugie Aleksiej Gadejew (obaj Rosja). Trzecie miejsce zajął nasz reprezentant Tomasz Oleksy w ubiegłym roku czwarty w tej samej konkurencji. Oleksy znakomicie wypadł również w boulderingu był drugi. Zwyciężył Salawat Rachmetow (Rosja), trzeci był Mauro Calibani (Włochy) i Jérôme Meyer (Francja). W boulderingu kobiet pierwsza była Corinne Theroux (Francja), druga Giulia Giammarco (Włochy), a trzecia Tania Bauer (Niemcy) i Natalia Perlowa (Ukraina).

(za *Tygodnikiem Podhalańskim* 39/2001)

Nos w 3 godziny 59 minut!

Nieprawdopodobny wynik uzyskali Tim O'Neil i Dean Potter na drodze The Nose na El Capitanie (Yosemite, USA). Poprawili oni niezwykle wysrubowany czas swoich poprzedników (Peter Croft, Hans Florine w 1992 r.) aż o 23 minuty. Zbliżone czasy osiągnęli w połowie lat 80. nasi najlepsi ściganci na filarze Kazalnicy. The Nose ma jednak większe nagromadzenie trudności na swych 34 wyciągach ocenionych na VI 5.9 A2. Przeciężny, a zarazem zupełnie przyzwoity, czas przejścia tej drogi to zazwyczaj 3 dni.



W KLUBACH

Wrocławski Klub Sportów Górskich ma już 5 lat!

Wrocławski Klub Sportów Górskich powstał z inicjatywy kilkunastu młodych wspinaczy niezadowolonych z marazmu, jaki ogarnął wrocławskie środowisko wspinaczkowe w latach dziewięćdziesiątych. Miało to miejsce w październiku 1996 r. Wielu członków WKSG działało wcześniej we wrocławskim Klubie Wysokogórskim (aż do 1998r., kiedy to klub samoistnie się rozwiązał). Nowy klub stanął wobec wielkich wyzwań, także takich jak powódź we Wrocławiu w 1997 r., która zniszczyła doszczętnie pomieszczenie pocziwego KW. Członkowie WKSG uratowali wiele cennych pamiątek po starym klubie (archiwalne spisy członków z takimi osobistościami jak np. Wanda Rutkiewicz), niestety większość uległa bezpowrotnemu zniszczeniu.

Zmiany zasad finansowania klubów wspinaczkowych zmusiły zarząd do poszukiwania nowych sponsorów. Dzięki dobrej współpracy z Wydziałem Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego udało się zorganizować dwa letnie obozy szkoleniowe w Alpach Francuskich (La Berarde 1999. Chamonix 2001). Dobre kontakty z Sudeckim Klubem Wysokogórskim owocują wspólnymi działaniami w Sokolikach i Śnieżnych Kotłach. Klub stara się wspierać, w miarę skromnych możliwości, infrastrukturę służącą wspinaczom na terenie Dolnego Śląska (spitowanie Sokolików i innych rejonów skałkowych, negocjacje z Karkonoskim Parkiem Narodowym, Parkiem Narodowym Gór Stołowych, Przegląd Filmów Górskich w Łądku Zdroju). Zebrania odbywają się w położonym w centrum Wrocławia Pałacyku Schaffgotschów. Klub zrzesza już ponad 100 członków uprawiających sporty wspinaczkowe, narciarstwo i kolarstwo wysokogórskie. Co roku od listopada do kwietnia trwa kurs teoretyczny wspinania skałkowego, którego kontynuacją jest szkolenie wspinaczkowe w Sokolikach pod kierunkiem instruktorów PZA.

E. Mikulski

50 lat Klubu Wysokogórskiego w Łodzi

Na przełom tysiącleci przypadają jubileusze większości polskich klubów wspinaczkowych, mających swoje korzenie w dawnym Klubie Wysokogórskim. Jak inni, tak i my mieliśmy trudności z ustaleniem konkretnej daty powstania naszego Klubu. Przyjęliśmy za początek istnienia dzień 14 grudnia 1951 roku, kiedy to na zebraniu konstytucyjnym w Łodzi, 15 członków powołało do życia Sekcję Łódzką Koła Krakowskiego KW i wybrało Andrzeja Wilczkowskiego na jej pierwszego prezesa. W ciągu ostatniego półwiecza zmienialiśmy nazwę jeszcze parę razy. Z chwilą powstania PZA w 1974 roku, tradycyjne „kolo” przekształciło się w Łódzki Klub Wysokogórski. Tym, którzy będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej dedykuję małą broszurkę – wydajemy ją pierwszego grudnia, na obchody naszego święta w Łodzi. A jeszcze więcej, i to o ciekawych zdarzeniach, można się dowiedzieć od nas – w Łodzi, lub w naszym klubowym schronisku w Pasterce u stóp Szczelińca. A więc do zobaczenia, serdecznie zapraszamy!

Bogdan Mac



Rys. M. Konecki



Twoim partnerem w górach

Otrzymaliśmy informację, że Towarzystwo Ubezpieczeniowe COMPENSA uznało ubezpieczenie Assistance alpinistyczny za udany produkt na rynku ubezpieczeniowym i nosi się z zamiarem dalszego uatrakcyjnienia tej oferty. Od nowego roku ma w oczekiwaniu na odpowiedni sposób potanieć przedłużanie zawartego ubezpieczenia powyżej 15 dnia trwania ochrony ubezpieczeniowej. Polisa Assistance alpinistyczny ma zostać rozszerzona o Assistance turystyczny pozwalające na ubezpieczenie przebywającej w górach rodziny, która uprawia turystykę wysokogórską wędrując po trudnych szlakach. Ponadto trwają prace nad zupełnie nowym rodzajem ubezpieczenia, który będzie dawało bardzo wysokie odszkodowanie (nawet

rzędu kilkuset tysięcy złotych) w przypadku trwałego kalectwa uniemożliwiającego prowadzenie normalnego życia. Niezależnie od tego, w ramach współpracy z PZA, członkowie klubów zrzeszonych w PZA otrzymają atrakcyjną ofertę kompleksowego, całorocznego ubezpieczenia mieszkania lub domu.

T. U. COMPENSA pragnie włączyć się do akcji podnoszenia bezpieczeństwa uprawiania wspinaczki i dlatego w najbliższych dniach zostanie przekazana darowizna w postaci specjalistycznego sprzętu wspinaczkowego z przeznaczeniem na zimową akcję „Junior”. Na liście liczącej kilkadziesiąt pozycji znajduje się m.in.: 5 czekanów, 5 par raków, 8 lin, 50 karabinków itd.

Komunikaty

Sekcja Narciarstwa Wysokogórskiego PZA w strukturach międzynarodowych

W St. Johann im Pongau (Austria) 12 października 2001 r. odbyło się zebranie plenarne International Council for Ski Mountaineering Competition (ISMC, Międzynarodowa Rada ds. Zawodów w Narciarstwie Wysokogórskim) poprzedzające Walne Zebranie UIAA. W trakcie posiedzenia Sekcja Narciarstwa Wysokogórskiego PZA, reprezentowana przez Jacka Mierzejewskiego, została przyjęta do grona członków ISMC.

ISMC jest komisją UIAA, która zajmuje się wszystkimi aspektami zawodów w narciarstwie wysokogórskim w formacie międzynarodowym. Pod jej egidą w nadchodzącym sezonie zorganizowane zostaną Mistrzostwa Świata w Narciarstwie Wysokogórskim we francuskim Serre Che-

valier. Również Puchar Europy i wiele innych zawodów na różnych kontynentach rozgrywanych jest pod auspicjami tej właśnie organizacji. Stworzyła ona szereg jednolitych regulacji i ramy organizacyjne, które pomagają właściwie przygotować zawody. Obecnie celem głównym ISMC jest wprowadzenie narciarstwa wysokogórskiego do rodziny sportów olimpijskich.

Polska obecność w tej organizacji otwiera przed naszymi zawodnikami szanse na pełnoprawne starty w wysokiej rangi zawodach międzynarodowych. Sekcja Narciarstwa Wysokogórskiego może występować o przyznanie im licencji zawodniczych uznawanych na zawodach organizowanych pod egidą ISMC. Również organizatorzy polskich zawodów mogą podnieść ich rangę poprzez staranie się o przyznanie prawa do organizacji edycji Pucharu Europy lub nawet mistrzostw świata w przyszłości.

(jm)
<http://pza.org.pl>

Ucho skalne

Ryszard Szafirski opowiada:

– Środowisko dało mi tak popalić, że przez dziesięć lat nie mogłem nawet zadnej książki górskiej przeczytać. Tylko koledzy w Kanadzie, których czasami spotykałem, mówili o różnych wypadkach. Ja miałem to szczęście, że na wyprawach, które organizowałem, nikt nie zginął. Zrobiłem dwie wyprawy zakopiańskie na Peak 29 i na Annapurnę, gdzie poprowadziliśmy drogę im. Jana Pawła II. To był koniec mojej kariery. Po symbolicznym zakończeniu jej w Roztoce pojechałem do Warszawy i w Jankach zastał mnie stan wojenny...

– W 1982 roku zorganizował pan swoją ostatnią wyprawę na Alaskę...

– Nigdzie nie byliśmy, nic nie zrobiliśmy. Zyczliwi tak mnie obsmarowali, że nie dostałem wiza amerykańskiej. Wymyśliłem więc wyprawę do Peru przez Kanadę. Pojechał Krzysiek Żurek, Maciek Berbeke i Józek Majerczyk. Tylko Berbeke wrócił do Polski, bo zostawił w kraju żonę. Nasza wyprawa dojechała tylko do Calgary, gdzie teraz mieszkam.

– Nie ciągnęło pana w góry? Przecież w pobliżu jest wiele szczytów...

– Początkowo miałem przykre wspomnienia ze wspinaczki, trochę byłem tym wszystkim zmęczony, wreszcie brakowało pieniędzy i sprzętu. Przecież Góry Skaliste są tylko 60 km od Calgary! Cztery razy próbowałem wejść na zaledwie czterotysięczny Mt. Robson, ale nie udało mi się. Na pewno jeszcze raz spróbuje. Góra jest naprawdę ostra...

Wywiad zatytułowany „Droga na Mount Robson” przeprowadzony przez Józefa Figurę dla „Tygodnika Podhalańskiego” (35/2001)

Wulgarne nazwy

Pierwszy „nowy” numer, jak przystało na nowy wiek, jest, mówiąc językiem młodych, cool, a zarazem jest tym samym pismem, którego roczniki mam od późnych lat sześćdziesiątych. To cieszy.

Do napisania tego listu przyczynił się pewien fakt, który miał miejsce w sierpniu roku milenijnego. Uczestnicząc w cyklicznej unifikacji ratowników TOPR-u usłyszałem na zajęciach z topografii, które prowadził nasz kolega Włodek Cywiński, o nowych drogach w rejonie Morskiego Oka. Niby nie nadzwyczajnego, co roku słyhać o nowych przejściach czy wariantach. Tu zaszkodziła mi nazwa nowych dróg ale, jakoś to „lyknąłem” przyjmując, że może to tylko pierwsza wersja czy ustny przekaz, a nie oficjalna nazwa. Chcę być dobrze zrozumiany, nie kwestionuję niezbywalnego prawa przysługującego autorowi nowej drogi do nazwania jej. Minał jakiś czas i w „Taterniku” czytam w dziale „Tatry 2000” wykaz przejść – nowe drogi: i są dwie na Niżnich Rysach, tyle, że pełnej nazwy nawet „Taternik” nie wydrukował. Nasze środowisko nie należy do najdelikatniejszego, ale tutaj umiar i kultura została dalece przekroczona. Takie jest moje zdanie, być może odosobnione. To droga, którą poprowadził instruktor z kursantami rzadko kursanci uczestniczą w takich przedsięwzięciach, ale to tylko in plus. Instruktor to również wychowawca młodego pokolenia, osoba, która daje przykład, jest obserwowana przez adeptów, czasem naśladowana. Jedno jest dla mnie pewne, nazywając drogę słowem, które jest powszechnie uznawane za wulgarne, autor nie wystawia sobie najlepszego świadectwa. Cóż, niektórzy ludzie nie przebiegają w środkach, aby zwrócić na siebie uwagę. Pozdrawiam.

Piotr Jasiński

Faktami po oczach

Bardzo cieszymy się wszyscy z osiągnięć Anki Czerwińskiej. Robi to, co lubi, nie dorabia ideologii i nie występuje nigdy o dofinansowanie zdawać by się mogło, alpinistka idealna. Niestety, nie wszyscy podzielają nasze zdanie. Zupełnie inny pogląd mają na sukcesy Anki np. wspinacze zakopiańscy i wspinacze zamieszkujący czasowo w Zakopanem, choć dawno żaden z nich na nie nie wszedł. Zdaniem wspinaczy zakopiańskich i ich żon (a żony, jak wiadomo, znają się najlepiej), to niemożliwe, by Anka weszła na cokolwiek o własnych siłach. Jak weszła? Nie weszła. Została wniesiona. Kto ją wniósł, nie wiadomo, ale wniósł. Na słaby protest korespondenta „Taternika”, że może trochę przesadzają, żona himalaisty odrzekła, iż „trzeba spojrzeć w oczy faktom”. Przejęty korespondent próbował spojrzeć w te oczy na spotkaniu, jakie odbyło się 26.06.01 w Klubie Olimpijskim w Warszawie, po powrocie Anki Czerwińskiej z Lhotse. Z wypiekami na

twarzy oglądał film nakręcony przez Darka Załuskiego i nie mógł się doczekać, kiedy ktoś zacznie wnosić naszą (jedyną) himalaistkę na szczyt.

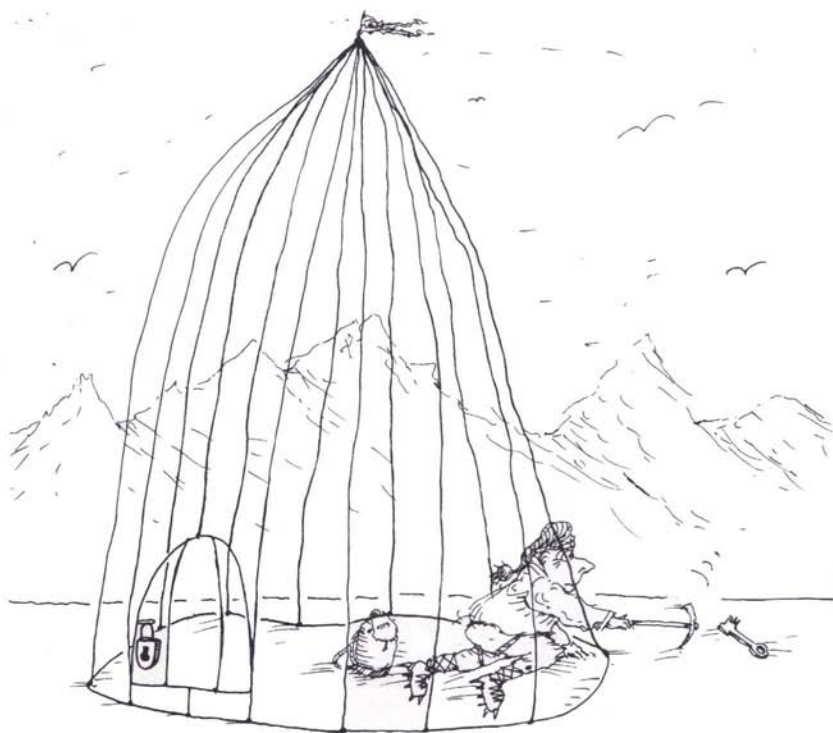
Nie zaczął. Jak na złość do końca szła o własnych siłach. Podczas wejścia używała tlenu! Może się wyprze, zatai? Nie zataiła. Hmm, wspinacze zakopiańskich mogą pocieszyć; może sekwencje, kiedy była wnoszona, chytrze wycięto? Nie traćcie ducha. Anka wybiera się jeszcze w Himalaje, będzie się do czego przyczepić. Bo cóż innego Wam pozostaje, drodzy wspinacze zakopiańscy i wspinacze czasowo w Zakopanem mieszkujący Wasze pięć minut w górach wysokich, zdaje się, już minęło?

B.S.

O uzbrojeniu turysty

Główną częścią uzbrojenia turysty jest worek turystyczny (ruchak). Powstała w ostatnich czasach nazwa „plecak” jest obrzydliwym dziwolągiem bez żadnego uzasadnienia.

Z. Klemensiewicz: „Zasady taternictwa”. Lwów, 1913



Rys. M. Konecki

KONECKI®



Przegląd okiem uczestnika

Jacek Mierzejewski

Śmiało można napisać, że raz w roku, w połowie września, Łądek Zdrój staje się na trzy dni niekwestionowaną górską stolicą Polski. Również i w tym roku do dolnośląskiego uzdrowiska zjechali się nie tylko ludzie gór, podróżnicy i filmowcy, ale również wielka rzesza entuzjastów, w rozmaity sposób zafascynowanych tematyką górską. Od tej, siódmej już edycji, Przeglądowi patronuje ś.p. Andrzej Zawada, który odchodząc od nas, pozostawił po sobie także puste miejsce wśród łądeckiej publiczności.

Organizatorzy, jak zawsze, zapewnili uczestnikom imprezy moc atrakcji. Pokazom filmów towarzyszyła w tym roku wielka ścianka wspinaczkowa, wyścig na rowerach górskich, wyprawa do Puszczy Jaworowej w Górach Białskich, skoki bungee (tym razem aż z wysokości 56 metrów) czy piątkowy koncert zespołu „Łoskot” z wyrefinowanym artystycznie acz kontrowersyjnym repertuarem. Trzeba przyznać, że uczestnik Przeglądu musiał wykazać się nie lada talentem organizacyjnym, by wziąć udział choć w części wydarzeń. Niewątpliwie ci, którzy się skusili, długo będą wspominać safari przez bezdroża Puszczy Jaworowej. Zarówno kierowcom z łądeckiego Klubu Ściechodów Terenowych „Quattro”, przewodnikowi, jak i burmistrzowi Stronia Śląskiego udało się zaskoczyć wycieczkowiczów inwencją i uatrakcyjnić ten krótki pobyt w nienaruszonej przez cywilizację części Sudetów. Sobotnie popołudnie to również fascynująca diaporama Marka Arcimowicza, który wraz z Piotrem Mrugasiewiczem opowiedział o swej podróży do Mongolii. A sobotni wieczór, który znów, jak zwykle zresztą, przeciągnął się na niedzielny ranek, upłynął w Chacie „Nad Potokiem” w atmosferze szampańskiej zabawy wśród przyjaciół i znajomych. Można było poczuć się jak na sylwestrowej zabawie w Morskim Oku.

Nie wolno zapomnieć o najważniejszej atrakcji Przeglądu filmach. W sumie zaprezentowano trzydzieści cztery obrazy, które traktowały o górach, ludziach gór i różnych formach górskiej działalności. Organizatorzy postarali się wybiec poza schemat i pokazali między innymi bardzo dobrze przyjęty wstrząsający reportaż „24 dni”, który raczej dość luźno był związany z tematyką górską. Nietypowy był także film biograficzny o Stanisławie Vincencie autorze dzieła „Na wysokiej poloninie”. Wspaniałą cechą tej imprezy jest to, że obok w pełni profesjonalnych, często wysokobudżetowych produkcji, można tu obejrzeć amatorskie filmy, których autorzy dysponują nierzadko jedynie kamerą, pomysłem i szalonym entuzjazmem. No i jeszcze odwaga, by podzielić

się swą radością twórczej pracy z publicznością Przeglądu. Wszystko to współtworzy klimat, dzięki któremu można się czuć jak na projekcji w domu u przyjaciół.

Jedyną nagrodę, jaka jest przyznawana na Przeglądzie Nagrodę Publiczności otrzymała piąta część znanej wspinaczkowej serii „Masters of Stone”. Obraz ten w sposób niezwykle sprawnie i dynamicznie opowiada o różnych ekstremalnych wyczynach górskich. Werdykt łądeckiej publiczności jest niewątpliwie wyrazem obecnych tendencji rozwojowych w polskim wspinaniu. Coraz większa część polskich wspinaczy zwraca się w kierunku wspinaczki sportowej, która przede wszystkim jest obecna w „Masters of Stone V”. Warto zaznaczyć, że film poświęcono pamięci Dana Osmana autora spektakularnych osiągnięć. Z przesuwania granic ludzkich możliwości uczynił on treść swego życia.

Prócz tego można było obejrzeć kilka klasycznych filmów górskich, wysoko ocenionych przez widzów Przeglądu. „Dos Desperados” Andrzeja Potockiego czy bardzo dobre realizacje Dariusza Żaluskiego „Przypadki Pani Ani” i „Zimowa loteria Makalu” przypomniły nam, że istotą chodzenia w góry są niezapomniane doznania i przeżywanie radości w gronie przyjaciół. Znalazło się też miejsce dla wspomnień o Dobrosławie Miodowicz-Wolf, które snuła, w nasyconym emocjami dokumentacie „Za cenę życia”, Anna Pietraszek. Wielkie wrażenie wywarły zdjęcia południowoamerykańskich gór filmowanych z lotu ptaka w filmie Vladimira Van Maule „Robert Fulton's Pilot Notes”. Zauważony przez łądecką publiczność został także, dość śmiały ze względu na pomysł, film Tomasza Banasiewicza „Diran”. Zdania jednak były podzielone, ponieważ, gdy podano informacje o wysokiej lokacie tego filmu, przez salę przebiegł szmer, a z tylnych rzędów dał się słyszeć bolesny jęk.

Po raz kolejny ogromne słowa uznania należą się Zbyszkowi Piotrowiczowi, który niestrudzenie organizuje Przegląd od samego początku. Mimo nienajlepszej sytuacji finansowej, udało mu się przygotować trzydniową imprezę skupiającą ludzi z całej Polski. Pomagała mu rzesza oddanych współpracowników, którzy zapewnili sprawne działanie całej przeglądowej maszyny. Im również należą się podziękowania, bo bez ich pracy niewiele by się udało. Miejmy nadzieję, że dzięki zapałowi Zbyszka i jego pomocników niezapomniany wodzirej przeglądowej publiczności Bartek Małek jeszcze nieraz będzie miał okazję opowiadać kolejne górskie filmy.

Cóż więcej... spotkajmy się na Przeglądzie w Łądku Zdroju za rok!



tel. alarmowe TOPR (18)2063444, (603)100100

www.zakopane.pl/topr e-mail: naczelnik@topr.zakopane.pl

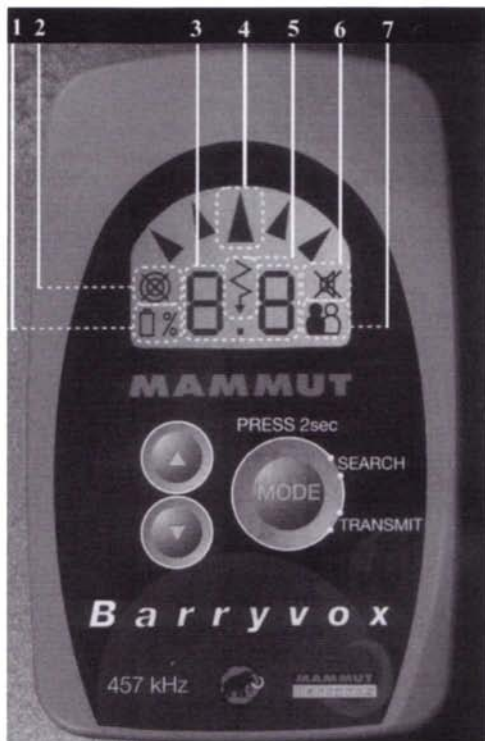
BARRYVOX

Piotr Jasiński

Tytułowy Barryvox to szwajcarski wynalazek, który zapowiada rewolucję w dziedzinie urządzeń do poszukiwania osób zasypanych w lawinach. Po raz pierwszy połączono w nim analogową i cyfrową technikę poszukiwania. Tryb analogowy umożliwia prowadzenie poszukiwań w dużym promieniu, podczas gdy tryb cyfrowy, dzięki wskaźnikowi kierunku i odległości, przyspiesza i ułatwia w znacznym stopniu poszukiwanie zasypanych w średniej i bliskiej odległości. Urządzenie jest efektem współpracy firm Mammut i Ascom. Firma Ascom przed laty skonstruowała sprawdzony w wielu sytuacjach Barryvox LVS-68. Zebrane przez prawie 20 lat doświadczenia oraz współpraca z licznymi specjalistami gwarantują dojrzałą konstrukcję obecnego modelu LVS. Produkcję podjęła dwa lata temu firma Mammut.

Dotychczasowe urządzenia typu *pips* umożliwiały poszukiwania w oparciu o sygnały akustyczne odbierane w mini słuchawce. Nie było to najlepsze rozwiązanie i obecnie jest już trochę anachroniczne. Barryvox do urządzenia z ekranem podobnym do GPS, na którym możemy otrzymywać wiele informacji. Ciekłokrystaliczny wyświetlacz na ekranie pokazuje odległość, jaka dzieli nas od nadajnika, czyli osoby zasypanej, posiadającej wspomniany nadajnik. Barryvox nadaje i szuka, w zależności od potrzeby (tak działały i działają wszystkie *pipsy*). Prócz tego na ekranie mamy pokazany kierunek otrzymywanych sygnałów. Bardzo ważną informacją wyświetlaną na ekranie jest komunikat o pojedynczym lub podwójnym sygnale, czyli wiadomość, ile poszkodowanych znajduje się pod śniegiem. Poprawność działania oceniamy po teście baterii (procentowa wydolność), którą to informację w każdej chwili możemy otrzymać na ekranie. Obraz na ekranie możemy uzupełnić włączając głośnik emitujący sygnał w czasie poszukiwań. Poniżej ekranu znajdują się trzy przyciski, za pomocą których możemy poruszać się po określo-

Piotr Jasiński – ratownik TOPR



Ryc. 1. Barryvox

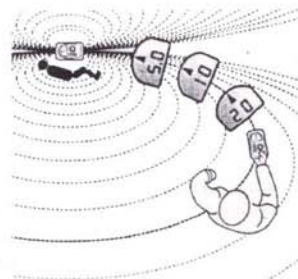
1. Stan pojemność baterii
2. Automatyczny przełącznik nadawania (wyłączony)
3. Wskaźnik odległości cyfrowy
4. Wskaźnik kierunku poszukiwania
5. Poszukiwanie analogowe mało dokładne
6. Głośnik wyłączony
7. Wskaźnik krotności sygnału odbieranego w trakcie poszukiwania

nych funkcjach i programach. Całość wygląda na konstrukcję niezniszczalną.

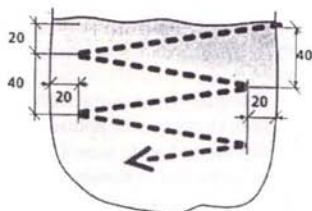
Wyrób Mammuta zaopatrzony jest w pętelkę, którą w czasie poszukiwań musimy założyć na rękę, aby go nie zgubić. W czasie poszukiwań

musimy pamiętać, że może grozić nam ponowne zejście lawiny i owa pętka to nasz jedyny łącznik z urządzeniem. Barryvox posiada opcję automatycznego przechodzenia z funkcji szukania na nadawanie. Gdy wychodzimy w teren, wkładamy na siebie owo urządzenie koniecznie pod odzież, najlepiej pod dwie warstwy w komplecie mamy specjalny futerał i szelki. Noszenie w plecaku czy kieszeni kurtki mija się z celem. To samo tyczy się noszenia telefonów komórkowych. Specjalne pokrowce usytuowane na pasach nośnych plecaków w zimie zupełnie nie mają racji bytu działanie niskich temperatur i niewykluczona utrata plecaka pozbawia nas możliwości użycia telefonu. Po założeniu urządzenia należy sprawdzić poprawność działania. Jedna osoba nastawia wówczas „Senden” nadawanie a druga „Suchen” szukanie.

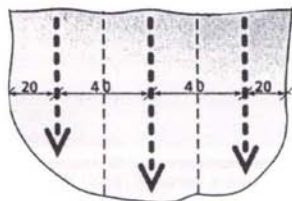
Oczywiście samo posiadanie Barryvoxa to już bardzo dużo, ale jeszcze lepiej, gdy jego obsługę mamy w małym palcu. Dużą wprawę osiągniemy dzięki szukaniu „na sucho”. Wcale nie musimy wyczekiwać zimy za oknem. W trawie też można prowadzić poszukiwania i ćwiczyć. Oczywiście dokładnie należy zapoznać się z załączoną ulot-



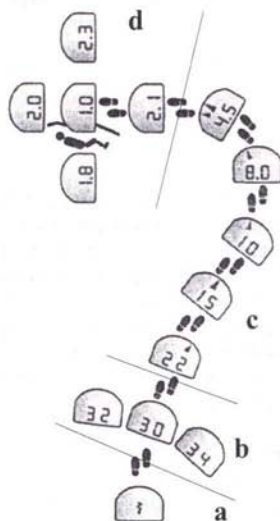
Ryc. 4. Poszukiwania według linii pola



Ryc. 2. Strategia poszukiwania przez jedną osobę



Ryc. 3. Wieloosobowe poszukiwania (odległości w metrach)



Ryc. 5. Poszukiwanie w trybie cyfrowym (dygitalnym)

- Etap a – główna faza poszukiwań
- Etap b – dodatkowa faza poszukiwań tylko ze wskaźnikiem odległości
- Etap c – dodatkowa faza poszukiwań ze wskaźnikami odległości i kierunku
- Etap d – poniżej 3 metrów dokładne wyznaczenie miejsca tylko ze wskaźnikiem odległości, gdyż strzałka zanika. W tej fazie należy trzymać urządzenie bezpośrednio na powierzchni śniegu, przy zachowanym dotychczasowym kierunku. Należy znaleźć punkt, w którym wskazana odległość będzie najmniejsza. Technika, tzw. krzyż podziałowy (do przodu do tyłu na lewo na prawo).

telefon ratunkowy na terenie Tatr 0 603 100 100!

ką, dzięki której łatwiej zrozumiemy zasadę działania i obsługi Barryvoxa.

W instrukcji obsługi mamy dokładny opis wszystkich funkcji i sposobów poruszania się po lawinisku. Prócz tego znajduje się skrócony opis pt. „ABC ratowania życia”, określający trzy etapy postępowania: włączyć tryb poszukiwania, przestrzegać wskazówek na ekranie, odkopać.

Po włączeniu (wciśnięty włącznik) urządzenie przeprowadza test, następnie wyświetla się aktualne napięcie baterii. Po przeprowadzeniu testu urządzenie samoczynnie włącza tryb nadawania. Jako kontrolka błyska czerwona dioda. Można zaczynać!

Urządzenie przełącza się na tryb „poszukiwanie” przez trzykrotne naciśnięcie „Mode”. Podczas pracy wymagany jest spokój i koncentracja. Nie należy wykonywać gwałtownych ruchów. Poszukując optymalnego zasięgu należy obracać urządzenie wokół wszystkich osi. Jeśli odbieramy sygnał, trzymać urządzenie w tej samej pozycji i poruszać się naprzód, aż sygnał będzie wyraźnie słyszalny. Tym samym zakończymy główną fazę poszukiwań. Uwaga: Po 8 minutach urządzenie automatycznie przechodzi w tryb nadawania. O możliwości przełączenia ostrzega sygnał alar-

mowy. Mamy wtedy 20 sekund, żeby poprzez naciśnięcie dowolnego przycisku, zapobiec przełączeniu.

Podsumowując wymienić możemy następujące zalety nowego urządzenia:

- funkcjonalny i wygodny sposób noszenia,
- automatyczny test urządzenia przy włączeniu i ciągła kontrola baterii podczas działania,
- zabezpieczenie przed przypadkowym włączeniem lub wyłączeniem,
- identyfikator rozpoznaje wyłączone urządzenia
- poszukiwanie analogowe poprzez przekazywanie dźwięków dzięki wbudowanym głośnikom oraz możliwość podłączenia słuchawek w przypadku hałasu w miejscu poszukiwań,
- poszukiwanie cyfrowe dzięki optycznemu wskaźnikowi odległości i kierunku,
- automatyczny przełącznik poszukiwania analogowego i cyfrowego (w zal. od odległości),
- automat. przełącznik z „szukać” na „wysłać”,
- możliwość włączenia funkcji dodatkowych dla specjalistów i profesjonalistów.

Dotychczas zakup w Polsce takich czy podobnych urządzeń był właściwie niemożliwy. Pojawiły się w handlu dopiero w ubiegłym roku. Jak zapewnił mnie dystrybutor urządzenia, przedstawiciel firmy Uni Sport z Katowic, będą one dostępne we wszystkich dobrych sklepach górskich i snowboardowych.

Pamiętajmy! Jeśli zostaniemy posiadaczami Barryvoxa, nośmy go pod kurtką, pod polarem, najlepiej na warstwie bielizny. Mamy wówczas gwarancję, że w sytuacji wypadku lawinowego spełni swoją rolę.

Rys. M. Konecki



Dane techniczne

Częstotliwość nadawania	457kHz
Moc pola nadawania	2mW/m
Zasięg poszukiwań	>60m
Zasilanie	3 baterie alk.-mang. AAA
Wymiary	108x68x25mm
Waga	160g z bateriami

Barryvox spełnia międzynarodowe normy dla urządzeń do poszukiwań zasypanych w lawinach ETS3007:18



Dlaczego narciarstwo wysokogórskie?

Jacek Mierzejewski

Nie jeden zapewne zadaje sobie pytanie, dlaczego Polski Związek Alpinizmu bierze pod swoje skrzydła narciarstwo wysokogórskie? Można by odpowiedzieć bardzo prosto na to pytanie bo taki jest stan prawny tej dyscypliny w III Rzeczypospolitej. Odpowiedź szybka, ale zupełnie nikogo niezadowolająca. Aby wyczerpać ten temat, potrzebne jest spojrzenie wstecz, do czasów narodzin alpinizmu i taternictwa.

Chęć zdobywania gór zrodziła się z naturalnej u człowieka pasji odkrywania i poznania oraz dążenia do przesuwania granic własnych możliwości. Śmiałkowie z pionierskich czasów alpinizmu szybko zaczęli stosować narty do przemieszczania się przez zaśnieżone góry. Dzięki nim można było rozpocząć zimową eksplorację tak Alp, jak i Tatr czy innych gór Europy. Szybko narciarstwo, w wyniku mariażu z alpinizmem, zaczęło przekształcać się z dyscypliny utylitarnej w sportową. Narty stały się środkiem do odnoszenia kolejnych „niepotrzebnych zwycięstw”.

Przed I wojną światową w zasadzie każdy taternik i alpinista był jednocześnie narciarzem. Warto wspomnieć w tym miejscu chociażby Mariusza Zaruskiego, który był nie tylko wspaniałym taternikiem, ale również niestrudżonym popularyzatorem narciarstwa. Jego wyczyny, jak zjazd z Kościelca dla przykładu, po dziś dzień stanowią wyzwanie dla wielu dobrych narciarzy. Klasyczna dziś tura narciarska, jaką jest Haute Route przejście z Chamonix do Zermatt po raz pierwszy została pokonana w tamtym, romantyczno-eksploratorskim okresie.

Po I wojnie światowej narciarstwo zaczęło kryształizować się jako dyscyplina sportowa. Było to związane z rozwojem modnych kurortów górskich i budową kolejek. Te ostatnie pozwalały na łatwe zdobywanie wysokości, co przyczyniło się do rozwoju techniki zjazdowej. Coraz większej

grupie narciarzy zaczęło zależeć jedynie na kolejnych zjazdach. Wierni tradycyjnemu pojmowaniu narciarstwa „wyrzypiarze” nazywali tych ostatnich pogardliwie „boiskowcami”. Tak czy inaczej to właśnie przede wszystkim „boiskowcy” stali się sprawcami sportowego podejścia do narciarstwa organizując pierwsze zawody, a poprzez szkolenia zaczęli popularyzować narty. Tymczasem „wyrzypiarze” pod wodzą między innymi Józefa Oppenheima zimą dokonywali co raz to ciekawszych przejść na nartach, a latem zajmowali się odkrywaniem tatrzańskich skały. Nie inaczej rzecz miała się w Alpach, gdzie alpinści zimą zamieniali się w narciarzy, często z powodzeniem startując w zawodach. Najlepszym tego przykładem był Lionel Terray.

II wojna światowa wymusiła pewien zastój we wszelkiej działalności sportowej, nie zabiła jednak w ludziach chęci odkrywania nowego. Alpinizm rozwijał się i rozwija się wspaniale po dzień dzisiejszy. Podobnie jest z narciarstwem. Jednak drogi tych dwóch dyscyplin zaczęły, zwłaszcza w Polsce, się rozchodzić. Rozwój nowych wiązań utrudniał turystyczne zastosowanie nart, a w naszym kraju dodatkowo taternicy zaczęli gardzić narciarzami przedmiotowo traktującymi ich ukochane góry. I o ile w Alpach wspinacze zimą nie stronili od nart, o tyle w Tatrach twardym ludziom gór nie uchodziło przypinać do nóg czegokolwiek innego niż raki.

Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przyniósł nowe rozwiązania sprzętowe. Często stosować konstrukcje wiązań turystycznych, których zasada działania nie zmieniła się do dziś. Nowe technologie pozwoliły na wyprodukowanie znacznie wygodniejszych w użyciu fok. Doskonalszy ekwipunek zachęcił nie tylko wspinaczy, ale i narciarzy do powrotu na alpejskie szlaki. Ten renesans dało się też zauważyć w polskich górach, gdzie nieliczni początkowo

zapaleńcy odkryli na nowo ślady przedwojennych wyrp. Narciarstwo wysokogórskie, zwane też ski-alpinizmem lub ski-touringiem, ponownie połączyło w sobie alpinizm z narciarstwem. Pojawiły się nowe pomysły i wyzwania. Coraz częściej zdobycie szczytu czy przełęczy stawało się celem rozpoczęcia trudnego zjazdu. Znakomici ski-alpinści zaczęli zjeżdżać klasycznymi alpejskimi drogami wspinaczkowymi, dokonując coraz bardziej karkołomnych zjazdów. I u nas ten trend znalazł swe odbicie w wyczynach doskonałych zjazdowców rekrutujących się spośród taternickiej braci: Piotra Konopki, Jarosława Krzempka, Piotra Malinowskiego czy Karola Życzkowskiego, by wymienić tylko niektórych. W krajach alpejskich coraz większą popularnością zaczęły cieszyć się zawody, w których narciarze wysokogórscy rywalizowali ze sobą z dala od zatłoczonych nartostrad. Polska znów nie pozostała w tyle. Warto tu wspomnieć organizowany od trzynastu lat Memoriał Jana Strzeleckiego.

Dzisiejsze narciarstwo wysokogórskie można podzielić na kilka głównych nurtów. Łączy je we wspólną całość jedna podstawowa idea. Miejsce, z którego zaczyna się zjazd, czy to szczyt, czy to przełęcz, czy to grań, zdobywa się o własnych siłach. Używanie kolejki czy helikoptera w celu dostania się w bezpośrednie okolice początku zjazdu to już zupełnie inna dyscyplina. Najliczniejszą rzeszę narciarzy wysokogórskich stanowią ludzie podchodzący do tej zabawy jak do zimowej formy turystyki wysokogórskiej z wykorzystaniem nart. Można ich spotkać nie tylko w Alpach i Tatrach, ale także w innych, niekoniernie najwyższych, górach Polski i Europy. Następną grupę stanowią przedstawiciele formy, którą można by nazwać klasycznym narciarstwem wysokogórskim, gdzie wykorzystanie liny, raków i czekana staje się często koniecznością, na przykład do przejścia lodowca. Z niej wywodzi się narciarstwo ekstremalne, którego miłośnicy muszą często wykorzystywać klasyczny zestaw sprzętu wspinaczkowego, aby dostać się na początek swego wymarzonego zjazdu wiodącego najczęściej pokonaną przed chwilą drogą. Gdzieś między przedstawicielami wszystkich trzech nurtów zrodziła się potrzeba rywalizacji i stali się oni prekursorami kolejnej odmiany narciarstwa wysokogórskiego, jaką są zawody.

Nie tylko względy historyczne, ale i współczesne oblicze narciarstwa wysokogórskiego skłoniły grupki polskich zapaleńców do prowadzenia swej działalności w Klubach Wysokogórskich, z których przede wszystkim się wywodzili. Wspomniany już Memoriał Jana Strzeleckiego, mający status Mistrzostw Polski w Narciarstwie Wysokogórskim, jest organizowany przez Kluby Wysokogórskie z Krakowa i Warszawy. W krajach europejskich rzecz ma się podobnie. Tamtejsze federacje górskie od dawna mają autonomiczne ciała, które zajmują się ski-alpinizmem. W UIAA działa International Ski Mountaineering Competition Council (ISMC), który zajmuje się sportowym obliczem narciarstwa wysokogórskiego. Urządza liczne zawody w randze Pucharu Europy, co w najbliższym sezonie rozwinię się w Puchar Świata, pomaga organizatorom innych imprez oraz działa na rzecz wprowadzenia ski-alpinizmu do rodziny sportów olimpijskich.

Mniej więcej rok temu grupka zapaleńców i miłośników narciarstwa wysokogórskiego zaczęła pracować nad stworzeniem w PZA własnej autonomicznej Sekcji, która będzie działała na zasadach podobnych do Komisji Taternictwa Jaskiniowego czy Komisji Wspinaczki Sportowej. Wszystko zaczęło się od zorganizowania pod auspicjami Komisji Szkolenia dwóch tygodniowych spotkań w „Betlejemce”. Opracowano praktycznie i teoretycznie program przeszkolenia odpowiedniej kadry instruktorskiej, która powstanie w przyszłości. Znacznie ważniejszym skutkiem tej działalności było zauważenie przez władze PZA konieczności poważnego zajęcia się sprawą narciarzy. Dzięki zaangażowaniu w sprawę Wojtki Świąćickiego, w lipcu powołano do życia Sekcję Narciarstwa Wysokogórskiego.

Celem powstania tej organizacji jest stworzenie przedstawicielstwa wszystkich narciarzy wysokogórskich, i tych o podejściu turystyczno-rekreacyjnym, i tych z zacięciem wyczynowym. Prócz podjętego już zadania, jakim jest wykształcenie kompetentnej i profesjonalnej kadry instruktorskiej, złożono wszystkie konieczne dokumenty akcesyjne do ISMC. Pozwoli to wszystkim naszym zawodnikom na pełnoprawny udział w zawodach międzynarodowych, na których wymagane jest posiadanie licencji zawodniczej. Kolejnym celem jest połączenie wszystkich orga-

nizowanych w naszym kraju zawodów w Puchar Polski organizowany według jednolitych zasad. To dla zawodników. A co dla tych, którzy mają ambicje dokonywać swych mniejszych i większych „niepotrzebnych zwycięstw”? Im trzeba przygotować odpowiednie podstawy, dzięki którym będą mogli organizować wyjazdy i obozy w różnych ciekawych górach.

Pole działania polskich ski-alpinistów jest tak szerokie, jak szerokie są granice naszej wyobraźni. Mamy już naszą reprezentację, teraz musimy ją jak najlepiej wykorzystać. Kształt Sekcji nie jest jeszcze do końca opracowany. Każdy, kto

zechce się przyłączyć do dzieła jej tworzenia, ma taką szansę. Każdy z nowymi pomysłami i krytycznymi, ale konstruktywnymi uwagami jest mile widziany. Sekcja powinna być miejscem, w którym będzie kształtowało się oblicze polskiego narciarstwa wysokogórskiego. Czy takim się stanie, zależy jedynie od dobrej woli wszystkich, którzy narciarzami wysokogórkami się czują.

W imieniu tych, którzy nasze wspólne dzieło już zaczęli, zapraszam do współpracy.

Z narciarsko-taternickim pozdrowieniem

Jacek Mierzejewski
Sekcja Narciarstwa Wysokogórskiego PZA



Zjazd z Przełęczy Schodki. Fot. J. Mierzejewski



O szkoleniu skałkowym słów kilka

Reminiscencje po sezonie 2001

Jakub Rozbicki

Kursy wspinaczki skalnej organizowane pod egidą Polskiego Związku Alpinizmu cieszą się dużym zainteresowaniem osób chcących rozpocząć swoją przygodę ze wspinaniem. Klienci zgłaszający się na siedmiodniowy kurs są zazwyczaj zaznajomieni z systemem szkolenia oferowanym przez instruktorów PZA. Rzadko są to osoby, które o etapach szkolenia nic nie wiedzą. I najczęściej są to osoby, które patrzą na wspinanie przez pryzmat gór wyrażając tym samym chęć późniejszego uczestnictwa w kursie tatrzańskim. Patrząc na ludzi zgłaszających się na kursy skałkowe zauważamy, że najczęściej jest to młodzież licealna i studenci, a więc przedział wieku 16-27 lat. Zdarzają się również osoby starsze, np. w tym sezonie miałem okazję zorganizować kurs koledze z rocznika 1951. Patrząc na motywację kursantów i ich zaangażowanie w działalność wspinaczkową można również dokonać pewnej standaryzacji. Przeciętny kursant to człowiek, który przede wszystkim przyjeżdża na kurs, aby miło spędzić czas, przeżyć wspaniałą przygodę, otrzymać zastrzyk adrenaliny i dopiero na końcu – czegoś się nauczyć. Bardzo rzadko zdarzają się klienci dociekliwi tzw. pasjonaci, którzy „zadreczają” instruktora pytaniami daleko wykraczającymi poza ramy kursu. Zazwyczaj niestety – okazuje się, że przyszli adeptci są przytłoczeni ogromem nowych rzeczy, które trzeba sobie przyswoić. Asekuracja pełna przeróżnych szczegółów technicznych jest często balastem uniemożliwiającym bezpieczne rozpoczęcie działania w terenie. Możliwe powtarzanie podstaw w terenie „naziemnym” często pochłania dużo czasu i procentuje powoli. Takie rzeczy jak poprawne trzymanie liny hamującej przy asekuracji z płytki Stichta czy łączenie punktów na stanowisku, to często zadania arcytrudne i nadzwyczaj skomplikowane. Tymczasem okazuje się, że w programie szkolenia skałko-

wego zaleca się ćwiczenie przepuszczania liny przez węzeł, uwalniania od ciężaru wiszącego na linie czy demonstrowanie asekuracji dwużyłowej. Sądzę, że warto byłoby zastanowić się nad nieco zmodyfikowanym programem, który kładłby nacisk na szlifowanie czynności stosowanych we wspinaniu na co dzień. Czy jest sens zagłębiać się w układy bardziej złożone kiedy klient szóstego dnia kursu ma nadal, mimo długich ćwiczeń, problemy z zawiązaniem wyblinki? I nie ma się co dziwić. Wspinanie jest zajęciem bardzo złożonym. Ze wszystkich stron atakuje kursanta masa bodźców. Trzeba się technicznie wspiąć i nie spaść, poprawnie się asekurować i montować solidne kostki. Trzeba dojść do góry i zapewnić poprawną asekurację partnerowi, który za chwilę będzie podążał w naszym kierunku. Jest więc wspinanie szkołą życia bo grawitacja bezlitośnie ciągnie w dół, a mięśnie z każdym metrem odmawiają posłuszeństwa. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze intelektualna praca. Instruktor musi dodatkowo uświadamiać, że działając bezmyślnie wspinacz staje się wyśmienitym „kandydatem na bambus”. Na instruktorach ciąży więc obowiązek uświadamiania niebezpieczeństw, które może nieść za sobą bezmyślność i głupota.

A teraz kilka zdań o samych instruktorach. Niestety niezbyt miłych. Przepisy, które jasno określają zasady bezpieczeństwa podczas prowadzenia kursu, są permanentnie łamane. Widuje w skałkach instruktorów szkolących nieprzepisową ilość klientów – nawet do 8 osób w grupie. Kursanci wspinają się bez kasków stosując archaiczny sprzęt. Kursy są prowadzone niedbale, bywa że z narażeniem bezpieczeństwa innych osób. Instruktorzy nie stosują osobistych lin bezpieczeństwa, obserwując jedynie z ziemi kursantów budujących własny układ asekuracyjny. Ciężko w ten sposób skontrolować jakość kostek



umieszczanych w szczelinach. Widuje się instruktorów wpiętych pętlą osobistą do liny wspinającego się kursanta. Metody asekuracji pozostawiają również wiele do życzenia. Niektórzy instruktorzy pokazują zupełnie przestarzałe sposoby protekcji. Stosowanie upręży piersiowych czy asekuracja ze stanowiska odgórnego z przyrządu wpiętego do upręży bez zastosowania tzw. punktu wysyłowego to rzeczy, które powinny odejść do lamusa. Widuje się też kursantów zaopatrzonych w bezdzielnowe liny z Bielska Białej, które nie powinny znajdować zastosowania współcześnie. Spotykałem się również z łamaniem zasady stopniowania złożoności ćwiczeń. Czy rozsądne jest pokazywanie węzłów dopiero w szóstym dniu kursu? Czy sensowne jest wspinanie po drogach V-VI w drugim dniu zajęć? Kursanci dopiero pod koniec szkolenia dowiadują się o podstawowych rzeczach, które obligatoryjnie powinny być pokazane na samym początku kursu. Jak zaradzić tej sytuacji? Jak polepszyć poziom szkolenia? Często takie sytuacje są wynikiem niedoinformowania niż złej woli. Po prostu ciężko jest iść z duchem czasu i przestawić się na inny tor myślenia. Dlatego PZA powinien sumiennie zająć się unifikacją czynnych instruktorów tak, aby wiedza przekazywana na kursach była fachowa i w miarę jednolita.

Poziom wspinaczkowy instruktor PZA również bywa zenujący. Sądzę, że koledzy określający się mianem instruktora powinni z dużym zapasem prowadzić na własnej protekcji trudności VI. Unifikacja w tym zakresie nie byłaby również bezzasadna. Lepiej nie myśleć jak skończyłby się test instruktorów w naszym kraju na drogach o trudnościach skrajnie trudnych wg WHP.

I na koniec rzecz najbardziej bulwersująca. Instruktor Polskiego Związku Alpinizmu z piwkami w rękę czy skrętem z marihuany w ustach to rzeczy absolutnie dyskwalifikujące do dalszej pracy z ludźmi w kontakcie z wysokością. Są to ludzie postępujący nagannie. Znane są mi (z autopsji i opowieści zaufanych osób) przypadki palenia „trawki” przy kursantach czy wypijania trzech browarów przed pracą. Sądzę, że w tych przypadkach Komisja Szkolenia powinna działać zdecydowanie i karać takich ludzi w sposób spektakularny.

Pamiętajmy, że nasi klienci ufają nam – instruktorom z licencją. Ufają nam – ludziom najlepiej

znającym się na wspinaniu. Przynajmniej w teorii. Niestety praktyka często bywa inna.

Wylałem tutaj sporo gorzkich słów ale nie dotyczą one wszystkich. Zdecydowana większość instruktorów to ludzie z olbrzymią wiedzą i doświadczeniem, znający się na swoim fachu i autentycznie kochający tę wspaniałą pracę.

Szkoła Wspinania Jakuba Rozbickiego

Kursy na sztucznej ścianie

•
Siedem dni w skałkach
Kurs wspinaczki skalnej

•
Pracownik linowy
Szkolenie do prac wysokościowych

•
Konsultacje
wspinaczkowo – treningowe



31-328 Kraków, ul. Stachiewicza 40/71
tel./fax (12) 636 52 70, kom. (601) 63 18 38
e-mail: kuba_rozbicki@poczta.onet.pl
www.szkolawspinaniajr.republika.pl



Pit Schubert specjalnie dla „Taternika”

Podczas tegorocznego kongresu UIAA w Austrii, „Taternik” przeprowadził wywiad z przewodniczącym Komisji Bezpieczeństwa UIAA. Pytania nawiązują do najistotniejszych kwestii dyskutowanych przez instruktorów PZA. Rozmowa przebiegała w języku angielskim. W celu uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień Pit Schubert był uprzejmy dodatkowo nadesłać w języku niemieckim odpowiedź na zadane pytania List przetłumaczył Bogdan Mac, instruktor senior PZA.

Taternik: Co roku producenci lin oferują modele o coraz mniejszej średnicy. Obserwujemy, że producenci przyrządów asekuracyjnych nie uwzględniają tej tendencji. Nowoczesne liny przesuwają się coraz łatwiej przez przyrządy. Jest to wygodne, ale czy bezpieczne? Czy Komisja Bezpieczeństwa UIAA dostrzega ten problem? Czy były prowadzone badania w tym zakresie?

Pit Schubert: Na każdym przyrządzie asekuracyjnym podana jest średnica liny „od-do”, dla której dany przyrząd jest przystosowany. Jeżeli użytkowana lina mieści się w tym przedziale, nie ma powodu do obaw. Przy zastosowaniu cieńszych lin (ale jeszcze dopuszczalnych dla danego przyrządu) może powstać wrażenie, że siła hamowania jest zbyt mała. Różnice nie są zbyt wielkie, co w praktyce oznacza tylko nieznaczne wydłużenie drogi hamowania. Doświadczenia prowadzone przez UIAA pokazały, że na prawidłową asekurację największy wpływ ma zdolność reakcji (Reaktionsvermögen) osoby ubezpieczającej. Prześlizg liny przez przyrząd w głównej mierze zależy od wyszkolenia wspinacza. Jeżeli asekuruje osoba o dobrze wytrenowanych odruchach, to nawet w przypadku użycia cienkiej liny uzyska krótszą drogę hamowania, niż osoba źle wyszkolona używająca liny grubszej.

Taternik: Obserwujemy wyraźny podział na tzw. niemiecką szkołę asekuracji polegającą na ubezpieczaniu z centralnego punktu asekuracyjnego, oraz na inne szkoły narodowe preferujące ubezpieczanie z przyrządu wpiętego bezpośrednio w uprząż. W wielu przypadkach asekuracja na sposób angielski czy francuski wydaje się równie dobra. Czy istnieją rzeczowe argumenty wykluczające inny sposób asekurowania niż niemiecki?

Pit Schubert: Podczas wspinaczki z dolną asekuracją, kiedy lina przechodzi przez liczne punkty przelotowe, asekurowanie z przyrządu wpiętego w uprząż jest oczywiście dopuszczalne. Inaczej jest podczas asekurowania osoby idącej na drugiego oraz podczas wspinaczki w trawersie. Asekurujący zostaje wówczas najczęściej rzucony na skalę i może się zdarzyć, że odruchowo wypuści linę z rąk (osobiście znam wiele takich przypadków). Jest interesujące, że kiedy siła działa w górę, odruch wypuszczania liny z rąk nie występuje. Jeżeli asekurujący zostanie poderwany do góry, to wypuszcza linę z rąk dopiero na skutek utraty przytomności w następstwie uderzenia głową w okap. Większość wspinaczy asekuruje w tylko w jeden sposób, gdy tymczasem wybrana metoda asekuracji powinna być dostosowana do okoliczności. Wiele zależy od instruktora, który wprowadzał w arkana asekuracji. Ja osobiście asekuruję głównie z haków stanowiskowych, ale obserwuję, że wspinacze przyzwyczajeni do asekuracji „na wędkę” praktycznie znają tylko asekurację z przyrządu wpiętego w uprząż. Ta prawidłowość występuje wśród wszystkich narodowości. W krajach niemieckojęzycznych (w Niemczech, Austrii i niemieckich kantonach Szwajcarii) rzeczywiście przeważa asekuracja z centralnego punktu stanowiskowego, a w krajach romańskich dominuje aseku-

rowanie z przyrządu wpiętego w uprząż. Podczas wspinaczki sportowej, przy dużej ilości solidnych punktów przelotowych i małej odległości pomiędzy nimi asekuracja z przyrządu wpiętego w uprząż jest w pełni usprawiedliwiona (i tak też robi się w Niemczech). Natomiast na drogach typu alpejskiego, kiedy haki występują rzadko, a ich jakość nie jest znana, zasadniczo należy asekurować ze stanowiska. W obu przypadkach podczas asekuracji górnej najlepsze efekty daje asekuracja bezpośrednio z punktów stanowiskowych.

Taternik: W Tatrach coraz częściej widuje się polskich przewodników posiadających certyfikaty UIAGM/IVBV. Niektórzy z nich wspinają się z klientami od stanowiska do stanowiska, bez przepinania liny przez stałe haki, które mijają podczas wspinaczki. Wspinają się w ten sposób także pomiędzy zespołami stosującymi tradycyjną asekurację. Czy takie metody przeniesione z Alp są uzasadnione w małych górach, gdzie nie ma wielu powodów do pośpiechu?

Pit Schubert: Jeżeli zespół wspinają się bez asekuracji, to równie dobrze może robić to bez liny. Te sprawy należą do indywidualnego wyboru i nie są nigdzie uregulowane. Sam chętnie wspinalem się solo bez żadnej asekuracji. Jednakże, nigdzie nie uczy się (a zwłaszcza wśród przewodników), że można wyprzedzać inny zespół nie wpinając się w punkty przelotowe. Wyprzedzanie innego zespołu jest dopuszczalne tylko wtedy, kiedy wyprzedzający uzyskują zgodę od zespołu

wyprzedzanego. Jest to standard urastający do rangi kodeksu honorowego (Ehrenkodex), a chodzi o to, aby wyprzedzany zespół nie był narażony na dodatkowe niebezpieczeństwo, którego może sobie nie życzyć. W „małych górach” nie powinno być żadnego powodu żeby jeden zespół wyprzedzał drugi, bowiem nie istnieje pojęcie „presji czasu”. Pewien wyjątek może stanowić tylko łatwy teren (I-II), ale tylko wtedy gdy jest wystarczająco dużo miejsca, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać. Jest całkiem możliwe, że polscy przewodnicy widzieli tego typu zachowanie w Alpach u dyplomowanych przewodników, ale nie ma wątpliwości, że nie należy tak postępować.

Rozmawiał Wojciech Świąciecki

Pit Schubert (urodzony w 1935r. we Wrocławiu) jest alpinistą o wybitnym dorobku. Jest dyplomowanym inżynierem. Przez wiele lat był zawodowo związany z przemysłem lotniczym. Od 1978 roku przeszedł do pracy w DAV, gdzie zajął się problematyką bezpieczeństwa górskiego. Od kilkunastu lat przewodniczy Komisji Bezpieczeństwa UIAA. Z jego inicjatywy powstało i nadal powstaje wiele norm na sprzęt wspinaczkowy. Jest autorem kilku książek, z których najważniejsza jest „*Sichereit und Risiko in Fels und Eis*” (1995). Jego artykuły były kilkakrotnie publikowane w „Taterniku” (1/83, 1/84, 2/84). Jest członkiem honorowym PZA. Bliższa charakterystyka Jego osoby znajduje się w „Taterniku” 2/99

GÓRSKI KODEKS DROGOWY

Przebywanie kilku zespołów na jednej drodze rodzi szereg niebezpieczeństw. Nie są to nowe sprawy, zwłaszcza dla tych, którym przyszło się kiedyś ścigać na popularnych drogach alpejskich. Skoro problemy z nadmiernym zagęszczeniem dotyczą także dróg tatrzańskich należy pilnie zastanowić się nad kodeksem honorowym o którym wspomina Pit Schubert. Proponuję wziąć za punkt wyjścia następujące ustalenia:

1. Staraj się nie wchodzić w drogę, na której już ktoś się wspinają,
2. Jeżeli wspinasz się za innym zespołem staraj się zachować bezpieczną odległość,
3. Jeżeli musisz wyprzedzać, to poproś o zgodę tych co nad tobą,

4. Rozważ możliwość obejścia wolniejszego zespołu bokiem,
5. Nie wyprzedzaj w terenie trudnym i kruchym,
6. Staraj się nie zakładać wspólnych stanowisk asekuracyjnych,
7. W trakcie wyprzedzania stosuj asekurację z punktów przelotowych,
8. Jeżeli musisz korzystać z tych samych przelotów, wpinaj swoją linę w swoje karabinki,
9. Podając komendy użyj imienia osoby do której jest skierowana,
10. Upewnij się, czy wyprzedzony zespół nie doznał uszkodzenia.

Wojciech Świąciecki



Nowa droga na Mendenhall Towers (Alaska)

Ryszard Pawłowski

Uczestnicy spektaklu

David, niewysoki, mocno zbudowany i poruszający się kaczym krokiem na zewnętrznych krawędziach stóp, nie sprawiał wrażenia ekstremalnego wspinacza skalnego. Zadziwił mnie ilością przywiezionego ze sobą specjalistycznego sprzętu. Oprócz wielkiej ilości różnorodnych friendów, kostek i haków miał też dwa wiszące łóżka tzw. portaledge, potrzebne do biwaków w dużej pionowej ścianie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że żartów chyba nie będzie.

W agencji Northstar Trekking, w której negocjowaliśmy cenę za wynajęcie helikoptera, na wiszącym w eksponowanym miejscu plakacie po raz pierwszy ujrzałem pln. ścianę Mendenhall Towers. Prawie dokładnie w środku najwyższy z wierzchołków ubrany w lodową czapę seraka spływał aż do podstawy ściany stromym, skalnym filarem, który tylko w dwóch miejscach przecięty był zalegającym na półkach śniegiem.

Byłem pod wrażeniem. Zrozumiałem podniecenie Dava i Jacka, którzy przez ostatnie dwa dni mówili tylko o przejściu drogi. Nic dziwnego, już dwukrotnie próbowali sił w roku 1999 oraz 2000. Przeszli wtedy 120 m skały dochodząc do ostrogi na filarze. Wielokrotne próby kończyły się zawsze w strugach ulewnego deszczu. Konkurencja też nie spała, a jeden z zespołów spędził 30 dni przeczekując deszczową pogodę. Warto więc było spróbować.

Akcja

Pogoda była niepewna. Dzień rozpoczęliśmy poręczając 120-metrowy odcinek wyprowadzający na siodło w filarze. Był to system szerokich rys o trudnościach 5.10a. Pod wieczór sytuacja wyjaśniła się definitywnie, zaczęło intensywnie padać, a radiowa prognoza nie pozostawiała złudzeń: ...deszcz okresami intensywny z niewielką szansą na poprawę...

Cały dzień zajął nam transport pod ścianę sprzętu oraz lin i mimo ponownego załamania pogody urobiliśmy dodatkowe 80 m skalnego terenu, wracając na noc do namiotu. Rankiem widząc rąbek błękitnego nieba oraz korzystne wskazania altimetru z okrzykiem ...teraz albo nigdy!... wbiliśmy się w nasz filar. Wory transportowe oraz system bloczków sprawdzone przez Davida w yosemitowskich ścianach również tutaj działały bez zarzutu. Uskrzydleni coraz lepszą, chociaż mroźną pogodą i bezczynnością dni poprzednich, pokonywaliśmy coraz to wyższe, teraz już całkiem dziewicze partie skalnego filara. Wyglądająca z dołu bardzo lito i nieprzystępnie pionowa, płytowa formacja doprowadzająca do partii śniegu, ku naszej radości puściła klasycznie, chociaż nie obyło się bez dłuższej dyskusji i przymiarek, którądy uderzyć. Specjalistyczny sprzęt w postaci nitów, ławeczek i wymyślnych haczyków okazał się zbędny. Wystarczył zestaw friendów i stalowe palce Dava. Wspomagał się co prawda od czasu do czasu jakimś hakiem, ale tylko po to, aby oczyścić zarośnięte rysy i wcisnąć tam swoje paluchy bądź osadzić przelot w postaci frienda albo kości. Późnym wieczorem osiągnęliśmy miejsce wypatrzonego z dołu biwaku.

Podziwialiśmy panoramę skalnych turni oraz ciągnące się po horyzont jezory lodowców. U naszych stóp, 400 m poniżej, na lodowcu, w poświęcie księżycy i nigdy niezachodzącego o tej porze roku słońca majaczył nasz mały namiot, który opuściliśmy rankiem. Było zimno, a wiatr huśtał rozpalony wewnątrz płachty palnik.

Final

Poranne promienie zaledwie co nas musnęły. Zaczął się następny dzień bez opadów, do tego bardzo wyjątkowy, był 24.06., dzień moich urodzin.

– Happy birthday Pedrino – pozdrowili mnie Ja-

cek i Dave siedzący jeszcze w śpiworach. Thank you guys życzenia przyjmę na szczycie, odrzekłem podając im gorący kubek z kawą. Pedrino ojczulek (sekwencja z Ojca chrzestnego) wzięło się stąd, że młodszy koleczy prosząc często o radę trochę zartobliwie, ale z pełnym szacunkiem zwracali się do mnie właśnie w ten sposób.

Moja propozycja potraktowana została poważnie i całkowicie na lekko zostawiając jedzenie i sprzęt biwakowy ruszyliśmy w kierunku szczytu. Brakowało nam, bagatela, 400 m w pionie, w terenie zupełnie nieznanym. Mimo że skalne trudności wcale się nie zmniejszały, szansa na ukończeniu drogi wyraźnie nas uskrzydliła. Teren stał się niezwykle zróżnicowany, raz były to pionowe płyty z wąską rysą, innym razem wyłudzona formacja kominowa lub śliska i omszała skała ze strużkami spływającej po niej wody, a czasem osadzony w śniegu luźny kamień. Dave poruszał się pewnie i nadzwyczaj sprawnie. Trudno było uwierzyć, że na co dzień robił „tylko” 5.12. Zacząłem doceniać jego klasę.

Co jakiś czas przytulaliśmy się do skały, aby uniknąć spadających kamieni bądź to zrzuconych przez któregoś z prowadzących, bądź wytopianych z górnych partii filara. Przydałyby się nity lub haki na stanowiska, ale te, jak się dopiero teraz okazało, w wyniku przyspieszonej redukcji sprzętu pozostały na biwaku. Droga absorbowała nas całkowicie, ale już zastanawiałem się, jak sobie damy radę w zjazdach.

O godz. 19.00 byliśmy w partiach podszczytowych. Zamieniliśmy wspinaczkowe buty na skorupy, a w ruch poszedł zimowy sprzęt i czekany. Była nadzieja na ukończenie drogi, chociaż potężny śnieżno-lodowy serak wcale nie wyglądał łatwo. Całodzienne zmęczenie i stromizna terenu spowodowały chwilowe wątpliwość w powodzenie akcji. Przerwał je Jacek zdecydowanym wyjściem na prowadzenie i zmianą Dave'a, który niezbyt pewnie czuł się w tak obcym dla siebie terenie.

O godz. 21.30 byliśmy na wierzchołku. Radość, uściski i zdjęcia. Nagroda za wytrwałność i piękny prezent w dniu moich urodzin.

– Happy birthday Pedrino – zakrzyknęli chłopcy.
– Congratulations boys – byłem naprawdę wzruszony.

Dookoła jak okiem sięgnąć w poświacie zawieszono nad horyzontem słońca przepiękne

widoki, dla których warto było tutaj stanąć. Jacek przez radio poinformuje agencję o naszym wejściu. Jesteśmy usatysfakcjonowani. Za dwa dni przyleci po nas helikopter. Teraz tylko bezpiecznie w dół. Biorę to na siebie. Nie mamy haków ani nitów, tym bardziej więc trzeba uważać. Nie jest to łatwe. Używamy dwóch 70-metrowych lin, a mimo to idzie jakoś niemrawo. Zjazdy tylko z kostek i pętli, w dodatku jest już półmrok i trudno obejść się bez czołówek. W oczekiwaniu na swoją kolej chłopcy zasypiają na stojąco. Byle do biwaku.

Staram się robić wszystko jak najdokładniej. Wreszcie ostatnim długim zjazdem ląduję przy jedzeniu i pozostawionej wczoraj wodzie. Jest godz. 6 rano. Dwadzieścia cztery godziny akcji non stop, padamy ze zmęczenia. Osiem pełnych 70-metrowych zjazdów, a oprócz pętli i karabinków tylko dwie pozostawione kości. Prawdziwie słowiańska oszczędność. Promienie słońca rozleniwiają nas ostatecznie. Każdy znajduje jakieś miejsce na gołej skale i zapada w drzemkę. Pada propozycja, aby zostać tutaj do jutra, ale łagodna sugestia Pedrino ponownie zostaje przyjęta i o godzinie 13.00 zaczynamy nową serię zjazdów. Jest już jasno, a na dodatek wreszcie mogę użyć pozostawionych wcześniej haków. Komfort wręcz niebiański.

Trochę strachu, gdy z furkotem całkiem blisko nas przelatuje blok wielkości szafy zrzucony przez ściaganą linę. Jeszcze mały desant z wahadłem na ostatnich centymetrach zjazdowej liny i wreszcie jesteśmy u podstawy ściany. Związani liną ze względu na całkiem okazałe szczeliny lodowcowe ciągniemy za sobą wory ze sprzętem teraz już tylko w dół.

O godzinie 22.00 wciąż w pięknej pogodzie dochodzimy do namiotów. Rozpiera nas prawdziwa duma.

Rejon działania: Alaska, okolice Juneau, masyw Mendenhall Towers, pln. ściana

Dokonanie: nowa droga i pierwsze przejście 800-metrowego środkowego filara

Czas akcji: 5 dni, w tym efektywny czas przejścia filara od startu do wierzchołka i zjazdami do podstawy ściany 3 dni.

Trudności: skalne 5.10 5.10d nastromienie śnieżno-lodowe 50-70 stopni.

Skład zespołu: Jacek Maselko, Ryszard Pawłowski
David Sorric



Przypadek Doktora Weathersa

Anna Beutler

W lipcu tego roku na jednej z konferencji medycznych w Denver w Kolorado miałam okazję wysłuchać wykładu Becka Weathersa, amerykańskiego lekarza, uczestnika tragicznych wydarzeń na Evereście w roku 1996, opisanych w głośnej książce Jona Krakauera „Into Thin Air”. Konferencja nie dotyczyła medycyny wysokogórskiej, ale Weathers został zaproszony jako mówca gościnny i atrakcja spotkania. W czasie ponad godzinnego występu Beck Weathers opowiadał o swoich przeżyciach nie pokazując ani jednego przezrocza. W istocie był to teatr jednego aktora. W trakcie swojej opowieści, trzymającej w dużym napięciu prawie jednotysięczną publiczność, demonstrował jak z największym wysiłkiem pokonywał wysokość, naśladował gwizd huraganu, płakał wspominając zmarłych, śmiał się, opowiadając o momentach humorystycznych. W czasie występu publiczność wyraźnie mogła obserwować u mówcy odmrożony i plastycznie zrekonstruowany nos, protezę prawej dłoni i liczne amputacje u lewej ręki. Kończąc wystąpienie sformułował swoje przesłanie: kochaj swych bliskich, bo to jest w życiu najważniejsze, i ufaj w to, że w każdym z nas drzemia niezwykle siły, które zmobilizowane, mogą doprowadzić do rzeczy uznawanych za niemożliwe. Poruszeni opowieścią słuchacze nagrodzili Weathersa oklaskami na stojąco. Beck Weathers opowiadał o wydarzeniach, które przypomnijmy miały miejsce 10 maja 1996 r. na stokach Everestu i wstrząsnęły opinią publiczną na całym świecie. Ponad 30 ludzi schodzących ze szczytu (lub wycofujących się) zostało uwięzionych przez niez-

wykle gwałtowną burzę. W ciągu 24 godzin zmarło 7 osób, w tym 3 zawodowych przewodników. Jednym z zaskoczonych przez burzę był Beck Weathers. Wówczas 49-letni lekarz patolog z Dallas w Teksasie, wspinacz amator, uczestniczący w wyprawie Roba Halla (jednej z kilku komercyjnych ekspedycji). Weathers nie wszedł na wierzchołek. Wycofując się został pozostawiony na stoku przez swoich towarzyszy w stanie nieprzytomności i uznany za zmarłego. Telefonicznie powiadomiono żonę Peach i rodzinę o jego śmierci. Jednakże następnego ranka, po burzy i nocy spędzonej na wysokości ponad 7000 m, Weathers odzyskał przytomność i o własnych siłach zdołał zejść do najbliższego (czwartego) obozu. Intuicyjnie wybrał właściwy kierunek i dotarł do namiotów, gdzie udzielono mu pierwszej pomocy. Był poważnie wychłodzony, stracił wzrok, czucie w obu rękach i lewej stopie. Kiedy dwa dni później przy pomocy kolegów doszedł do obozu drugiego, okazało się, że jest zbyt chory, żeby zejść o własnych siłach lodospadem Khumbu. W tym czasie żona Weathersa w USA, powiadomiona o jego dramatycznej sytuacji, zorganizowała rzecz prawie niemożliwą na tej wysokości: helikopterową akcję ratunkową. Tego rekordowego i niebezpiecznego lotu dokonał młody pilot armii nepalskiej Madan Khatri Chhetri, który dwukrotnie wylądował na wysokości 6500 m, ratując najpierw (na życzenie Weathersa) Gau Ming Ho z Tajwanu, a później jego samego. Swoje doświadczenia everestowskie Weathers opisał w wydanej niedawno książce „Left for Dead: My Journey Home from Everest” (Villard, 2000).

(Wspinacz, 21/ 2001)



Jerzy Kolankowski

Kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych moje górskie fascynacje skierowały się ku wspinaniu, zacząłem pojawiać się w Sudeckim KW.

Jerzy Kolankowski był już wtedy dojrzałym człowiekiem stojącym nieco na uboczu ówczesnych nurtów.

Jego przygoda z górami zaczęła się jeszcze przed 1939 r. Umiłowawszy krajobrazy górskie wędrował po Gorganach, Czarnohorze, Karpatach Marmaroskich, Alpach Rodniańskich. Potem nastąpiła długa przerwa – wojna.

Swoje miejsce na ziemi odnalazł „KOLAN”, bo tak powszechnie nazywano go w środowisku ludzi gór, w Kotlinie Jeleniogórskiej.

Wprawdzie walory wspinaczkowe tego rejonu doceniono jeszcze przed rokiem 1939, ale nie dysponując materiałami źródłowymi, polscy wspinacze trafili na grunt niemal dziewiczy. Pozostałości jakie zastali po poprzednikach to kilka starych haków zjazdowych i asekuracyjnych czy ostro naruszone zębem czasu puszczy szczytowe. Nie dysponując przewodnikami czy opisami dróg, ówczesni musieli na nowo poznać te góry.

To był grunt do rozwoju życiowej pasji Kolana. Z grupą entuzjastów z Cieplic, Sobieszowa i Jeleniej Góry jeździł w Góry Sokole, gdzie konkurowano z eksploratorami z Wrocławia i Wałbrzycha, odkrył też walory wspinaczkowe Śnieżnych Kotłów i rejonu Małego Stawu w Karkonoszach.

Szczególnie jego osoba kojarzy się właśnie z karkonoskimi wspinaczkami. Z grupą zapaleńców dokonał tam Kolan szeregu pierwszych przejść. Zdobył w 1955 roku filara Pierwszomajowego zapoczątkowało tradycję obozów pierwszomajowych.

Owoce wieloletniej pracy eksploratorskiej było wydanie w 1971 roku pierwszego przewodnika wspinaczkowego po Sudetach Zachodnich. Przewodnik ten wzbudził wiele kontrowersji. Zas-

trzeżenia budziło zarówno nazewnictwo jak i podani autorzy pierwszych przejść. Po latach muszę przyznać rację Kolanowi. Rzeczywiście bardziej swojsko brzmi nazwa „Czarci Mur” niż zapożyczona „Eiger”. Trzeba też powiedzieć, że lepszy przewodnik, może nie do końca dopracowany niż żaden. Skały w Rudawach Janowickich doczekały się kilku nowszych przewodników, ale dla młodych taterników Śnieżne Kotły znane są z powielaczowych kopii przewodnika Kolankowskiego i niezlicznych uaktualnień dotyczących monografii tylko kilku ścian – innych autorów.

Wspinaczki skałkowe i Karkonoskie Jerzego Kolankowskiego stanowiły wstęp do wyjazdów w góry znacznie wyższe. Począwszy od Tatr po Alpy, Kaukaz i Himalaje.

Kolan to wielka osobowość, którą nie sposób pominąć w historii taternictwa. Przyczynił się niewątpliwie do założenia Sudeckiej Sekcji Alpinizmu PTTK, potem Koła Sudeckiego Klubu Wysokogórskiego. Sercem oddany był tej organizacji i bezsprzeczne jest, że to pod wodzą założyciela okrępla ona na tyle, że w 1975 r. uzyskała własną osobowość prawną i funkcjonuje po dzień dzisiejszy pod nazwą Sudecki Klub Wysokogórski.

Dla Jerzego Kolankowskiego góry nie były jedynie pasją. Był doktorem medycyny i wieloletnim ordynatorem Oddziału Wenerologii i Dermatologii. Był też autorem rozlicznych prac plastycznych i literackich. Uznanie przyniosły mu tłumaczenia z literatury włoskiej. W jego twórczości przebiegał akcent górski, ale nie była to jedyna tematyka, która go nurtowała. Świadczy o tym wiele wystaw i spotkań literackich jakie miały miejsce za jego życia.

W mojej pamięci Kolan pozostanie jako samotny wędrowiec przemierzający górskie szlaki. Pomimo podeszłego wieku wyprostowany niczym młodzieniaszek dreptał uparcie pod górę. Wędrowki te nie miały już bezpośrednio związku ze wspinaniem, ale upór w kontynuowaniu kontaktu z ukochanymi górami godny jest podziwu. Nieliczni znają tajemnice plecaka Kolana. Zawsze nosił tam termos z herbatą „po góralsku”.

Marek Pisarski





Arno Puškaš

W dniu 10 czerwca 2001 roku odszedł na zawsze z grona ludzi gór Arno Puškaš znakomity taternik, przewodnik tatrzański, ratownik THS, autor przewodnika wspinaczkowego, publicysta i artysta grafik.

Był człowiekiem niezwykle, wielostronnie utalentowanym, a także osobą powszechnie znaną po słowackiej stronie Tatr. Ponad pół wieku swego życia związał ściśle z górami, Tatry znalazł jak mało kto i miał z nimi kontakt na wielu płaszczyznach. Z jego niezwykle bogatego życiorysu trudno jest wybrać to, co najważniejsze, gdyż wszystko co robił, zasługuje na obszerniejsze potraktowanie.

Tatry poznał najpierw jako tragarz górski i „chatar” w schroniskach. Szybko zaznajomił się z topografią ścian tatrzańskich, dzięki czemu stał się najwybitniejszym taternikiem słowackim lat powojennych, a także autorem 10-tomowego przewodnika wspinaczkowego „Vysoké Tatry”. Znał również Tatry jako ratownik Tatrarskiej Horskéj Služby, uczestniczący w wielu wyprawach ratunkowych organizowanych często w trudnych warunkach pogodowych i terenowych. Te góry znał również jako świetny organizator wspinaczkowych przedsięwzięć na dużą skalę oraz jako artysta grafik i autor górskich kolaży. Arno nie koncentrował się tylko na Tatrach, interesowały go również góry w różnych częściach świata, niektóre z nich miał możliwość poznać.

Urodził się w Koszycach, ale już w okresie swojej młodości związał się z Tatrami, w pobliżu których zamieszkał w 1946 roku. Te pierwsze lata spędzone w większości w schronisku pod Rysami,

jak wspominał nieraz Arno, zdecydowały o tym, że bez reszty poświęcił się górcom. Tam spotykał się często z polskimi taternikami, którzy przyniesili mu „Taternika”, wiele z nimi rozmawiał na tematy górskie, tam zawiązały się przyjaźnie. Wspominał Wawrzyńca Żuławskiego, Stanisława Grońskiego, Czesława Łapińskiego, Kazimierza Paszuchę i Witolda Paryskiego, z którym przez wiele lat łączyła go przyjaźń. Wzajemnie wymieniali się materiałami potrzebnymi do opracowania przewodników wspinaczkowych.

Jego niezwykle aktywność wspinaczkowa zaoferowała wieloma nowymi drogami w Tatrach. Ma na swym koncie 210 pierwszych przejść, w tym połowę zimowych. W swoim najlepszym 15-letnim okresie wspinaczkowym przechodził rocznie od 50 do 70 dróg tatrzańskich. Miał niezwykle intuicję w wyszukiwaniu nowych przejść, wiele z nich poprowadził filarami lub otwartymi ścianami, lubił przetrzeć i ekspozycję. Do dziś niektóre drogi Puškaša cieszą się dużym powodzeniem, jak prawy filar Galerii Gankowej czy też drogi na Wołowej Turni, Ganku i Szarpanych Turniach. Arno przeszedł solo około 40 dróg, chociaż wspinaczki samotnej nie preferował. W zespołach dwójkowych prawie zawsze wspinął się na pierwszego, tylko pięciu partnerom pozwolił na prowadzenie. Ani razu nie odpadł od ściany. Arno był świetny we wspinaczce zimowej, ale przestrzegał następującej zasady: jeżeli miał dokonać zimowego przejścia np. południowej ściany Ostrego Szczytu czy Małego Lodowego Szczytu, kiedy na tych ścianach nie było śniegu, to nie podejmował wspinaczki, mimo że był to okres kalendarzowej zimy. Zimowe przejście Kominą Stanisławskiego na północnej ścianie Małego Kieźmarskiego Szczytu, którego dokonał razem Karolem Cermanem, było największym osiągnięciem początku lat pięćdziesiątych. Był kierownikiem zespołowego, zimowego przejścia grani Tatr Bielskich, a trzy lata później w 1955 roku zimowego przejścia grani Tatr Wysokich. Również w zimie nie miał nigdy żadnego wypadku. To wszystko świadczy o znakomitej klasie wspinacza, jakim był Arno, gdyż zawsze potrafił właściwie ocenić trudności, zagrożenia i warunki śniegowe.

Nie poprzestał na działalności tatrzańskiej, wspinął się również w Alpach, Kaukazie, Pa-

mirze, Atlasie Wysokim, Górach Fańskich oraz w Himalajach. Dokładnie 30 lat temu ustanowił swój rekord wysokościowy w górach, wchodząc na przedwierzchołek Nanga Parbat (7910m) w czasie wyprawy czechosłowackiej. Wiele również podróżował, znał góry w Europie od Romsdału w Norwegii po Olimp w Grecji. Znał sześć języków, co ułatwiało mu kontakty międzynarodowe. Znajomość języka polskiego, którego, jak mówił, nauczył się w Chacie pod Rysami, wielokrotnie mu się potem przydała. Po wyprawie na Nanga Parbat miał w Warszawie, przed licznym audytorium, prelekcję w języku polskim.

Największym dziełem jego życia, nad którym pracował 30 lat, był niewątpliwie przewodnik wspinaczkowy „Wysoké Tatry” jedyny, jaki dotychczas ukazał się w języku słowackim; do dziś służy taternikom z południowej i północnej strony Tatr. Pierwsze lata pracy nad przewodnikiem rozpoczął od gromadzenia materiałów. Część z nich została opublikowana w „Nowych drogach wspinaczkowych w Tatrach Wysokich”. Kiedy w 1951 roku rozpoczął pracę w Kieżmarskiej Chacie, zabrał się do pisania pierwszego tomu i do kreślenia map. Zdecydował się na wersję ilustrowaną fotografiami ścian, na których rysowane były drogi wspinaczkowe. Całość opatrzył grafikami. Potem średnio co trzy lata ukazywały się kolejne tomy. W sumie publikacja zawiera około 3000 stron, 800 fotografii i 80 map. W okresie, kiedy był kierownikiem schroniska w Dolinie Kieżmarskiej, zorganizował ośrodek szkolenia taterników, narciarzy, ratowników HS i kadry turystycznej. W tych latach odbywały się tam również spotkania i szkolenia polskich taterników i ratowników TOPR. Kieżmarska chata stała się kolebką nowej generacji taterników. Arno Puškaš opracowywał programy szkoleniowe i kierował tym ośrodkiem. Za zasługi przyznano mu tytuł Mistrza Sportu, a po wyprawie na Nanga Parbat tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu.

W latach 1958-1967 pracował w THS jako ratownik zawodowy. W tym okresie wiele już publikował, opracowywał też scenariusze do filmów polskich i był konsultantem w tej dziedzinie.

Napisał 18 książek, z których warto wymienić chociaż dwie: „Przyjaźń na linie” i „Wspinacze na tatrzańskich ścianach”, oraz około 1800 artykułów. Większość swoich książek ilustrował. W ciągu ostatnich 30 lat zajmował się publicystyką, kończył swój przewodnik, projektował plakaty o tematyce górskiej i zajmował się twórczością artystyczną. Malował, nadal zajmował się grafiką, a w ostatnim dziesięcioleciu komponował kolaże (wykonał ich około 80). Dla swojego przyjaciela Marcusa Schmucka, uczestnika zdobywczej wyprawy na Broad Peak, z okazji 70 urodzin, wykonał kolaż siedmiu ośmiotysięczników. Potem na prośbę Schmucka dorobił jeszcze pozostałe siedem do kompletu. Niektóre spośród dzieł Puškaša zdobiją tatrzańskie schroniska. W ubiegłym roku z okazji 75 urodzin Arno Puškaša władze miasta Wysoké Tatry przyznały mu nagrodę za całokształt działalności i twórczości. Już w 1974 roku otrzymał członkostwo honorowe Polskiego Związku Alpinizmu, w 1995 roku został członkiem honorowym Koła Przewodników Tatrzańskich im. Klimka Bachledy w Zakopanem. Miał także odznakę członka honorowego HS i Złotą Odznakę JAMES-u.

Arno Puškaš reprezentował pokolenie taterników, które przeszło już do historii. Sam znacznie przyczynił się do rozwoju taternictwa lat powojennych. Z jego dorobku będą korzystały jeszcze przez długie lata następne pokolenia, a drogi Puškaša będą się cieszyły z pewnością dużym powodzeniem. Nasze pokolenie zapamięta go z pewnością jako serdecznego przyjaciela, zawsze młodego, pełnego uroku osobistego i energii.

Urna z prochami Arno Puškaša spoczęła w kurhanie na cmentarzu w Nowym Smokowcu obok jego małżonki Antoniny. Dzień wcześniej Tatry pożegnały go rześnym deszczem, ale w czasie uroczystości pogrzebowych promienie słoneczne przebiły się wśród drzew i odsłoniły się tatrzańskie szczyty. Kapela góralska zagrała mu „Smutnego zbójnika”, a w ostatniej drodze towarzyszyli mu przyjaciele, taternicy, ratownicy i przewodnicy górscy. Nie zabrakło również delegacji taterników z Polski, przewodników tatrzańskich i ratowników TOPR.

Apoloniusz Rajwa



TABLE OF CONTENTS:

1. Editor's letter – Zbigniew Piotrowicz
3. Letter from the President – Wojciech Świącicki
5. Thoughts before the congress – Waclaw Sonelski
8. Madagascar granite – blood, tears and joy – Marcin Zieliński, Waldemar Niemiec, Tomasz Samitowski
26. Polish Pilar in Pakistan – Marcin Tomaszewski
27. Cho Oyu 2001. Notes from the expedition – Anna Czerwińska
30. Darkness and the Blue – Anne Sauvy
33. Photo Gallery
36. News from the Tatras
37. Archives – „Taternik” from Winterthur
46. Fiechtnerschachthohle – Marcin Czart
48. Winter cave exploration – Tomasz Kuźnicki
54. Polish sandstone caves – Marcin Furtak
54. Visit of friendship – Piotr Atanasov
55. Info
57. Hard Rock
58. Club info
59. Letters
61. Overheard
63. Seen by the participant Ladek Film Festival – Jacek Mierzejewski
64. Barryvox – Piotr Jasiński
67. Why ski alpinism? – Jacek Mierzejewski
70. Critical view of teaching – Jakub Rozbicki
72. Interview with Pit Schubert
74. Mondenhall Towers – Ryszard Pawłowski
76. Doctor Weather – Anna Beutler
77. Passages

TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu
Ukazuje się od 1907 roku
Nr 3 (295) Rok 76 ISSN 01373155
kwartalnik

Redaktor naczelny
Zbigniew Piotrowicz

Adres redakcji
pl. Staromłyński 5, 57-540 Ładek Zdrój
tel. +48 602 21 61 57, e-mail: taternik.ladek@wp.pl

Redakcja działu jaskiniowego
Wojciech W. Wiśniewski
ul. Św. Bromisławy 18 m. 1, 30-203 Kraków
tel. +48 12 427 13 11, e-mail: taternik.speleo@wp.pl

Opracowanie graficzne, skład, realizacja
Piotr Niewierowicz,
STUDIO PN, ul. Piłkarska 40, 94-121 Łódź
tel. +48 601 35 84 72, e-mail: studio-pn@wp.pl

Korekta
Iwona Janus

Współpracownicy
Anna Beutler, Krzysztof Cudzych, Władysław Cywiński,
Krzysztof Drożdżeński, Władysław Janowski,
Michał Kochańczyk, Adam Kuras, Janusz Kureczab,
Marek Maluda, Adam Marasek, Jacek Mierzejewski,
Witold Sas Nowosielski, Józef Nyka, Ryszard W. Schramm,
Beata Slama, Maciej Sokolowski, Wojciech Świącicki,
Maciej Tertelis, Jakub Wiejacksi, Wiesław Wójcik,
Piotr Xięski.

Wydawca
Polski Związek Alpinizmu
ul. Ciolka 17, 01-445 Warszawa

Dystrybucja
Antykwiariat Górski „Filar”,
25-753 Kielce, ul. Alabastrowa 98,
tel. (41) 34 56 219, 0 502 397 162,
e-mail: filar@antykwiariat-filar.pl,
Internet: www.antykwiariat-filar.pl

Prenumerata
Koszt rocznej prenumeraty w roku 2001 wynosi 28 zł.

Prawa do tytułu „Taternik” posiada
Polski Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do
publikowanych w „Taterniku” tekstów, zdjęć, rysunków
i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe wyłącznie
za pisemną zgodą redaktora naczelnego i pod warunkiem
powołania się na źródło.

Na okładce:
Madagascar. Twaranaro, notecia drogi, kluczowe słodny wyciąg.
Wspina się Tomasz Samitowski.
Fot. Marcin Jankowski.

NOWOŚCI **PETZL**



WYŁĄCZNY PRZEDSTAWICIEL

PHU AMC

30-705 KRAKÓW

ul. Niwy 21

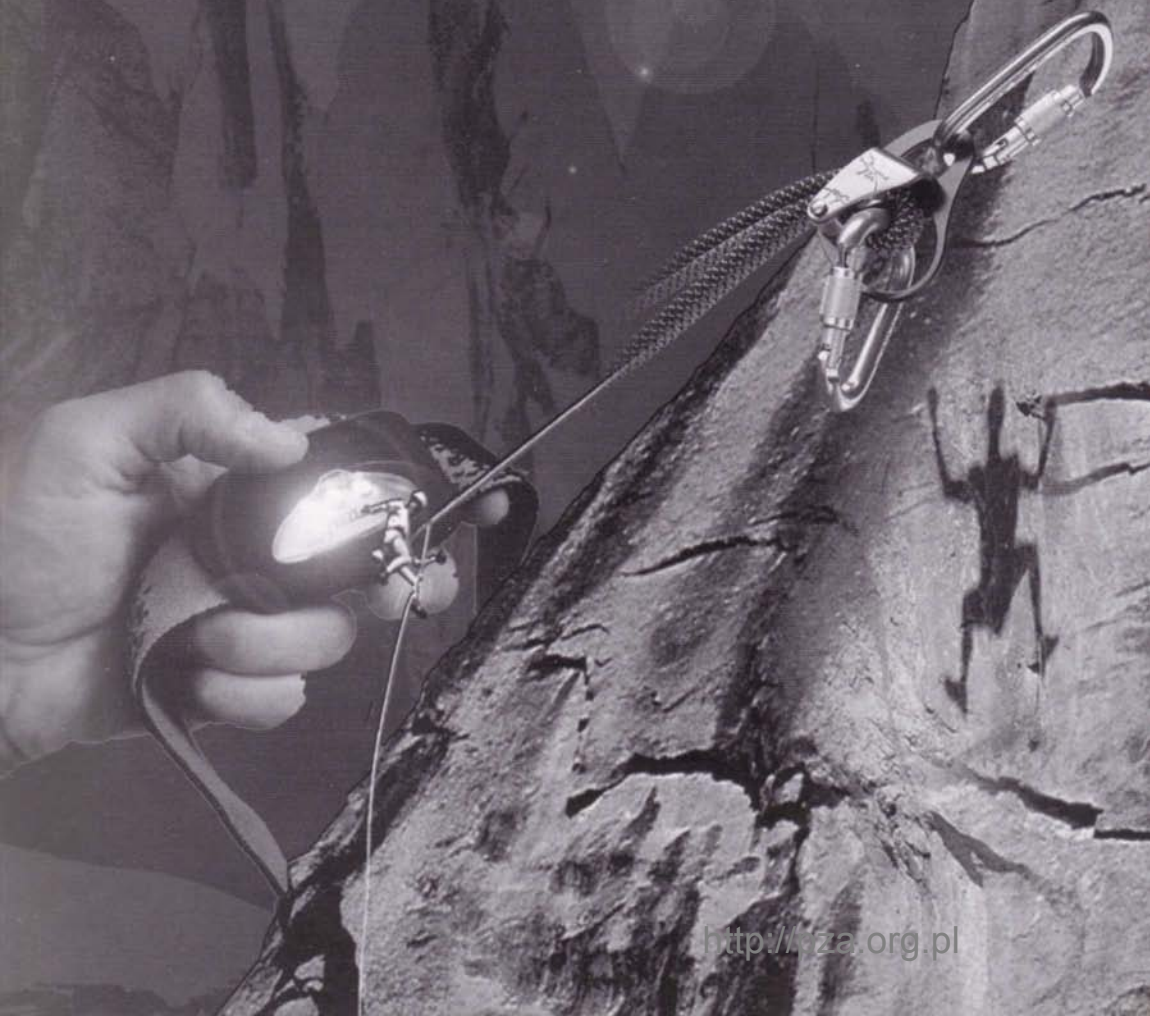
tel. (012) 656 70 88

656 70 89, 423 53 87

423 53 99, 423 54 12

fax wewn. 19

www.petzl.pl



<http://za.org.pl>



Poznajmy się bliżej...

PROGRAM RODZINA

to kompleksowa ochrona ubezpieczeniowa przy jednoczesnym uproszczeniu skomplikowanej procedury zawierania kilku umów.



Program Rodzina obejmuje:

- ubezpieczenie mieszkań i domów od kradzieży z włamaniem oraz skutków ognia i innych zdarzeń losowych;
- ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym
- ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków.



Towarzystwo Ubezpieczeniowe COMPENSA S.A.

ul. Łucka 13, 00-842 Warszawa, tel. (22) 620 95 65, fax (22) 620 45 97, e-mail: centrala@compensa.com.pl, <http://pza.org.pl>, www.compensa.com.pl